

MOC CZYTANIA STĄD DO WIECZNOŚCI | ŚMIERĆ NA INSTAGRAMIE
W OBRONIE KOBIET | SPOSOBY NA ŻYCIE TERAZ | KTO PORWIE AMERYKĘ
KŁAMSTWA OBRAZÓW | TROSKLIWE ZMYŚLENIA NA DNI ZADUSZNE

TYGODNIK POWSZECHNY

Wszystkich bliskich

Kraków 1 listopada 2020
nr 44 (3721)
cena 10 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo
społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

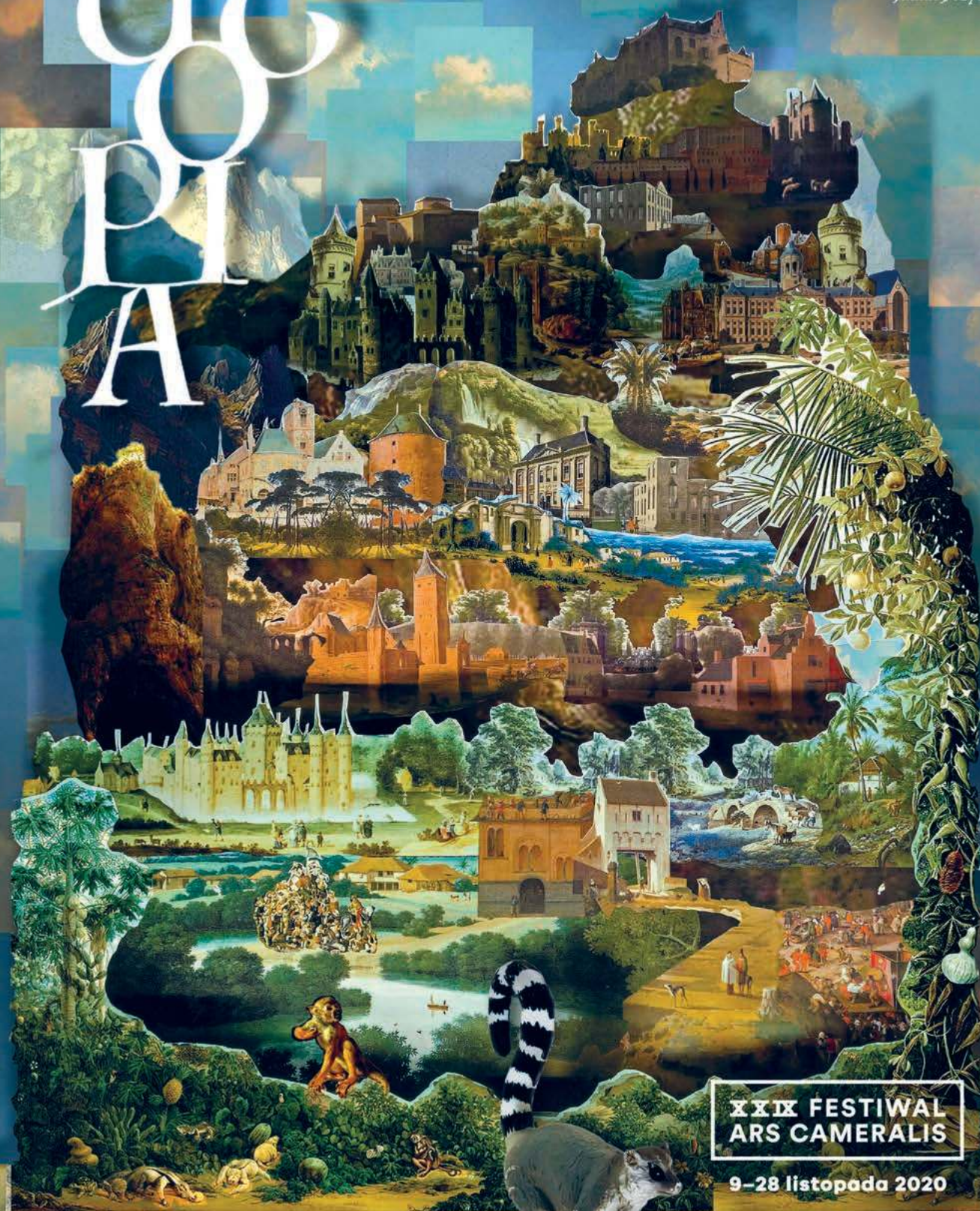


9 770041 480000

Świat nie jest. Świat się wiecznie zaczyna.

Julian Przyboś

Utopia



XXIX FESTIWAL
ARS CAMERALIS

9–28 listopada 2020

Organizatorzy



Województwo
Śląskie



Ars Cameralis
Superioris

Partnerzy



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Definowane są tożsamość
kulturową i historyczną
Narodowe dziedzictwo
kulturowe i historyczne
z Fundacji Pomocy Kultury



FUNDACJA WSPIERANIA
POLSKICH MIAST
STOWOZDROŻE
FÜR DEUTSCHSPRACHIGE
ZUSAMMENARBEIT



TYGODNIK
POWSZECHNY



TEATR ŚLĄSKI
im. M. Rejzysławskiego



SILESIA
FILM



HOTEL
POLONIA

Patronat medialny



Polskie
Radio
Katowice



ukraina

Bilety



ticketportal
www.ticketportal.com

KS. ADAM

Boniecki: *Dni kobiet*

ANNE DUFOURMANTELLE, FILOZOFKA FRANCUSKA, autorka między innymi książki o życiu jako ryzyku, zginęła w morzu w kurorcie Biarritz, ratując (skutecznie) dwoje dzieci. Zasłużyła na podziw i szacunek należny temu, co w człowieku najlepsze. Pisano w prasie o jej odwąnym czynie, podkreślając między innymi to, że postąpiła zgodnie z własnymi przekonaniem.

Od przypomnienia tej historii rozpoczyna się esej „O zgodności działania z przekonaniem” w znakomitej książce Roberta Piłata „O rozsądku i jego szaleństwach”. Profesor filozofii stwierdza, że gdyby Anne Dufourmantelle wówczas nie wskoczyła do wody, nie moglibyśmy powiedzieć, że postąpiła wbrew własnym przekonaniom. Bo nikt nie ma i nie powinien mieć „silnych przekonań” o tym, jak by postąpił widząc dwoje dzieci we wzburzonych wodach oceanu. Zbyt mało wiemy o sobie. Co najwyżej możemy mieć nadzieję, że postąpilibyśmy jak ona, wiedząc równocześnie, że prawdopodobnie i tak nic z tego nie będzie: „zawahamy się, sparaliżuje nas lęk, albo skoczymy do morza, a po uderzeniu pierwszej fali zawrócimy zwątpiwszy w powodzenie swego działania”. Zachowamy nasze przekonania o szlachetności samopoświęcenia i ludzkiej solidarności, ale też będziemy „racjonalnie wątpić, czy zdołamy zgodnie z nimi postąpić”.

Wywód, który tu streszczam, prowadzi do ważnej konkluzji: „Czyny chwalebne, heroiczne, zawsze wykraczają poza nasze przekonania i racjonalnie zaakceptowane normy. Wychwalamy je, lecz na gruncie własnych przekonań nie możemy powiedzieć, że należy je wykonać. Możemy jedynie użyć nieco wymijającej, nie tyle nakazowej, ale marzycielskiej formuły: »Byłoby wspaniale, gdyby postąpić tak a tak«”. Bowiem „przejście od konstatacji heroizmu do wymagania heroizmu, czy choćby tylko oczekiwanie heroizmu jest nieuzasadnione – czyny chwalebne nie są kategorią etyczną w tej samej mierze co nakaz czy zakaz moralny”.

Do książki profesora Piłata sięgnąłem zaraz po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego (z 22 października 2020 r.) stwierdzającym niekonstytucyjność przepisu zezwalającego na aborcję w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Jak wiadomo, dotychczas – na podstawie ustawy z 1993 r. zwanej „kompromisem aborcyjnym” – aborcja w Polsce była dopuszczalna w trzech przypadkach: gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej, w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia itd. jak wyżej, oraz gdy istnieje podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego.

Wyrok TK wywołał gwałtowny sprzeciw. Tysiące protestujących wyszło – mimo pandemii – na ulice. Pytacie, przeciw



czemu protestują? Przecież nie przeciw dopuszczeniu do urodzenia dzieci niepełnosprawnych. Wszyscy chyba znamy rodziców, którzy wiedząc o tym, że ich oczekiwane dziecko należy do kategorii wymienionych w ustawie i słysząc sugestie aborcji – nie poszli za tą sugestią i z całą świadomością dziecko z jego nieodwracalnymi upośledzeniami przyjęli. To zmieniło ich życie. Czasem okazywało się wielkim dobrem. Widziałem, jak ważną i pozytywną rolę w rodzinach odgrywa dziecko urodzone z zespołem Downa.

Albo historia, której byłem bezpośrednim świadkiem: młodzi rodzice, dziecko urodzone bez ważnych narządów wewnętrznych. Wyjazd z noworodkiem do Włoch, tam znakomity szpital, sławny włoski chirurg daje nadzieję. Każe czekać, aż dziecko trochę urośnie. Rosło więc, rozwijało się otoczone miłością i troską rodziców. Rok, może trochę dłużej. Dla rodziców to był rok nadziei, że może się uda. Potem sławny włoski chirurg gości w Polsce. Operacja. Lekarze oceniają, że udana. Niestety, po operacji dziecko umiera. Straszliwy ból rodziców, którzy przez ten rok, dzień i noc, z ogromną czułością chronili to od początku zagrożone życie. Spotkaliśmy się wtedy. Milczeliśmy, bo nie było słów, które mogłyby pocieszyć. I po kilku miesiącach list od mamy tego dziecka. List o wdzięczności za to, że dany był im ten czas, który mogli przeżyć ze swoim dzieckiem. Że to był dla nich dar.

Ale przecież znamy i te sytuacje, w których konsekwencje decyzji o przyjęciu dziecka z upośledzeniem są tak trudne, że patrząc z boku mówimy, iż są ponad ludzkie siły. Jednak są ludzie, którzy heroiczne decyzje podejmują, bo człowiek jest zdolny do czynów heroicznych. To prawda – ale czy jest zdolny jako gatunek, zgodnie ze swoją własną naturą? Każdy jest zdolny? Czy zawsze, czy tylko czasem, w pewnych tylko okolicznościach? W odpowiedzi powtórzmy: „przejście od konstatacji heroizmu do wymagania heroizmu, czy choćby tylko oczekiwanie heroizmu jest nieuzasadnione – czyny chwalebne nie są kategorią etyczną w tej samej mierze co nakaz czy zakaz moralny”. Dziś tysiące ludzi na ulicach protestuje przeciw wymuszaniu heroicznych decyzji przy użyciu prawa karnego.

Podjęcie lub niepodjęcie heroicznej decyzji jest poza zasięgiem prawa karnego. Heroiczne (zwane uczenie „supererogacyjne” czy po prostu chwalebne) decyzje podziwiamy, bo one realizują ideał człowieczeństwa. W wielu sytuacjach można – przez zapewnienie realnej pomocy w niesieniu ich konsekwencji, w niesieniu ciężarów związanych z opieką nad niepełnosprawnym dzieckiem.

Straszenie ewentualnością kar (doczesnych lub wiecznych) za ich zaniechanie jest strasznym nieporozumieniem i z pewnością nie jest pomocą tym dramatycznie rozdartym ludziom.

©P

Już teraz zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj prezent

„Ks. Adam Boniecki. Ćwiczenia z optymizmu. Książka do pisania” – to wyjątkowy notes z fragmentami wypowiedzi księdza Bonieckiego ilustrowany zdjęciami autorstwa Grażyny Makary i z prywatnego archiwum bohatera książki.

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.

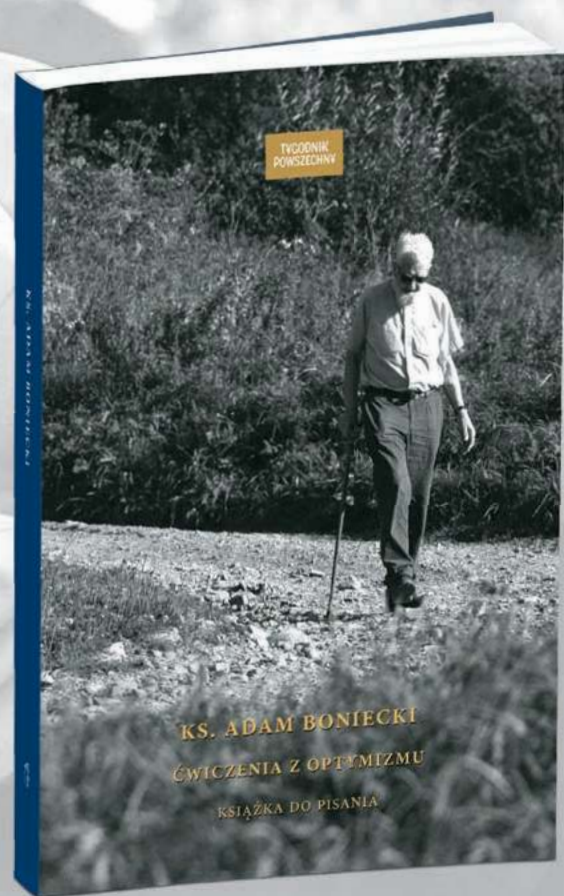
Jak zachować optymizm i pogodę ducha? Jak nie poddać się zwątpieniu? Czy Bóg ma poczucie humoru?

Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadał redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. Jeśli wykupisz lub odnowisz prenumeratę do 1 grudnia br., „Książkę do pisania” otrzymasz jeszcze przed świętami – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 1 grudnia 2020 będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.



WYDAWCA:

**TYGODNIK
POWSZECHNY**


AUSTERIA

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.



i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00-15.00 pod nr. tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00-14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny***		
+ 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	



PREZENT!

* ważny do 1 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze

na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation



34 W poszukiwaniu straconego umiaru

JAROSŁAW FLIS

Zmiany postaw zachodzą w Polsce na tyle powoli, że mogą pozbawić PiS władzy dopiero za jakieś 10 lat.



44 Życie, teraz

NATALIA DE BARBARO W ROZMOWIE

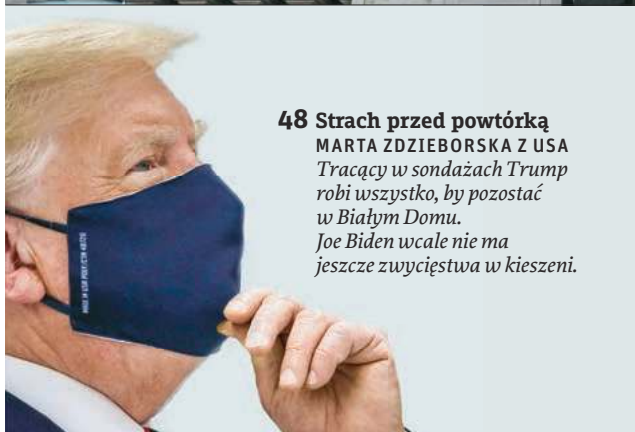
Z MARCINEM ŻYŁĄ
Teraz wydaje mi się kluczowe, by stanąć, popatrzeć do tyłu na to, co się zdarzyło od marca, i pokłonić się wszystkiemu, co zrobiliśmy.



48 Strach przed powtórką

MARTA ZDZIEBORSKA Z USA

Tracący w sondażach Trump robi wszystko, by pozostać w Białym Domu. Joe Biden wcale nie ma jeszcze zwycięstwa w kieszeni.



72 Marsz przez pustynię

Ja nie ubarwiam. Mam odwrotną tendencję: do pomniejszania faktów, stosownie do mojej miary

— JÓZEF RURAWSKI
PRZEKONUJE KALINĘ BŁAŻEJOWSKĄ.



78 Daremne ramy

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kiedy warszawskie Muzeum Narodowe czciło obrazy polskości, w teatrze bunt przeciwko władzy obrazów wzniesł Oliver Frlić, ten od „Klątwy”.

92 Troskliwe zmyślenia

MACIEJ TOPOLSKI

O czym mówią porzucone albumy fotograficzne? Na ich opowieść składają się informacje zawarte nie tylko na fotografiach, ale też w komentarzach na rewersach zdjęć i przedmiotach dodanych do albumu.



KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora

prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Poczta Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego”. W przypadku ewentualnych opóźnień

upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dolożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

8 Zbuntowana rzeczywistość
ZUZANNA RADZIK

9-13 Obraz tygodnia

32-33 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

34 W poszukiwaniu straconego umiaru
JAROSŁAW FLIS

38 Prądu naszego powszedniego
MAREK RABJ ROZMAWIA
Z IZABELĄ ZYGMUNT
o transformacji energetycznej

40 Cztery łapy ratownika
KRZYSZTOF STORY: *Pies, który ratuje życie, musi umieć imprezować*

■ ■ ROZMOWA

44 Życie, teraz
MARCIN ŻYŁA ROZMAWIA
Z NATALIĄ DE BARBARO

■ ■ ŚWIAT

48 Strach przed powtórką
MARTA ZDZIEBORSKA
Z NOWEGO JORKU

51 Każdy scenariusz jest możliwy
ROZMOWA Z PROF. STEVENEM
HUEFNEREM: *Konstytucja USA
nie jest przygotowana na sytuację,
w której prezydent nie chce oddać
władzy w sposób pokojowy*

54 Barbarzyńcy w szkołach
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
*Przyszłość francuskiej edukacji
po zabójstwie nauczyciela*

56 Martin wciąż walczy
EWA KLEWAR Z MEDELLÍN

58 Nowa ikona światowej lewicy
AGNIESZKA LICHNEROWICZ:
*Trzecia droga Nowej Zelandii
pod rządami Jacindy Ardern*

WSZYSTKICH BLISKICH



ROMAN PACH / FORUM

14 Puścić życie

PIOTR SIKORA

Czego właściwie się boję?
Że ubywa mi wdechów? Lecz ile ich mam
– czy więcej niż jeden?

18 Posklejaj sobie śmierć

ANNA KIEDRZYNEK ROZMAWIA Z ANNĄ CHARKO

21 Moi święci

S. MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

22 Oswoić brzydką twarz

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Babcia mówiła jej, żeby nie bała się umarłych,
więc teraz pokazuje ich na Instagramie.

25 Częsteczki wszystkich świętych

EDWARD AUGUSTYN

Czym są i czym powinny być relikwie.

28 Wieczność pcha się sama

WOJCIECH BONOWICZ ROZMAWIA
Z KS. PROF. MICHAŁEM HELLEREM

■ FELIETONY ■

43 ANNA DZIEWIT-MELLER **63 WOJCIECH BONOWICZ**

90 JAN KLATA **91 PAWEŁ BRAVO**

98 STANISŁAW MANCEWICZ

98 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: JUSTYNA KRZEPKOWSKA
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

60 Hambardzumjan został w domu
REPORTAŻ PAWŁA PIENIĄŻKA
Z GÓRSKIEGO KARABACHU

■ ■ HISTORIA

64 Nieśmiertelny barak

ANNA ŁABUSZEWSKA:
*Internetowa encyklopedia ofiar
komunizmu stała się także
największym pomnikiem ku ich czci*

■ ■ NAUKA

68 Kamienie i skanery

KASPER KALINOWSKI:
*Ludzki mózg najszybciej rozwijał
się w paleolicie – może dlatego,
że nauczyliśmy się wtedy używać
narzędzi*

**70 Pierwszy amerykański
wynalazek**

JAKUB MEJER o naturze wynalazczości

■ ■ Z ODDECHEM

72 Marsz przez pustynię

KALINA BŁAŻEJOWSKA ROZMAWIA
Z JÓZEFEM RURAWSKIM

■ ■ KULTURA

78 Daremne ramy
DARIUSZ KOSIŃSKI

82 Nowa odsiecz wiedeńska
DOROTA KOZIŃSKA o twórczości
Krystiana Lada

85 Świata nie zmieniłem. Niestety
RAFAŁ WOŚ ROZMAWIA
Z REŻYSEREM KENEM LOACHEM

88 Zabawa w umieranie
ANITA PIOTROWSKA zaprasza na film
„Dick Johnson nie żyje”

90 Kobieta z cienia
LEKTOR o książce „Kowalska. Ta
od Dąbrowskiej” Sylwii Chwedorczuk

■ ■ ZMYŚŁY

92 Troskliwe zmyślenia
MACIEJ TOPOLSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Rokowania między Amerykanami, kabulskim rządem i talibami
być może przerwą blisko 20-letnią wojnę. Afganki martwią się
jednak, że ceną za pokój będzie utrata ich swobód i praw
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Wędrowny Zakład Fotograficzny [Podkast Powszechny]

O fotografii, o polskiej wsi i o reporterskiej czułości z fotografką
i kulturoznawczynią **AGNIESZKĄ PAJĄCZKOWSKĄ**
rozmawia **KRZYSZTOF STORY** w swoim autorskim cyklu #DOM
powszech.net/podkast



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ
TYGODNIA



ZBUNTOWANA RZECZYWISTOŚĆ

Aborcyjna zmiana dokonała się bez szacunku i słuchania kobiet.
Poprzez wymuszenie i polityczne oszustwo.

ZUZANNA RADZIK

WIELU KATOLIKÓW – OD KAI GODEK, przez Tomasza Terlikowskiego, aż po abp. Stanisława Gądeckiego – ogarnął dziwny festiwal triumfu wokół wyroku Trybunału Konstytucyjnego o kłopotliwie politycznym składzie i wbrew woli społecznej. Z drugiej strony jest rozpacz i gniew. A ty, zawodowa niby-katoliczka, uświadamiasz sobie, że stajesz po stronie niby-niekatolickiej, choć wypełnionej równie zagniewanymi i przerażonymi katoliczkami.

Myślę, że ich odruch lęku o siebie i siostrzeńskiego lęku o inne kobiety wygrywa dziś z głosem biskupów, dziedzictwem pol-

skiego papieża i triumfem braci i siostr katolików, którzy są przekonani, że wygrali walkę o godność i życie. A przecież stworzenie systemu, który byłby faktycznie „za życiem” we wszystkich aspektach, a nie tylko w tym jednym i kontrolującym je w łonie kobiet, to żmudna praca. Nie lubią jej publicyści i krzykacze. Nie starcza na nią cierpliwości, uwagi oraz pieniędzy politykom.

Napięcie między zasadą świętości każdego życia ludzkiego, prawem do życia kobiet oraz poszanowaniem ich wolności i decyzji sumienia jest rzeczywiste i nie znieśnie go żadna ustawa ani wyrok. Człowiek nie rozmna-

*Protest przeciw
zaostreniu prawa
aborcyjnego,
Katowice,
25 października
2020 r.*

za się składając jajka, a zatem kobieta i jej wola donoszenia ciąży do końca są niezbędne. Może to właśnie jest w ciążach i temacie aborcji tak frustrujące: że mimo restrykcyjnych przepisów właśnie kobiety mają ostatnie słowo? Powie wam to każdy ginekolog, który przyjmował pacjentkę z poronieniem. Czy wywołanym pigułkami z internetu? Tego przecież nie dociekał.

Państwo i Kościół lęka się, że mogą zdecydować za kobiety. Jedno i drugie nawykło do rozwiązywania naszych spraw ponad naszymi głowami, niesłuchania potrzeb, niezastanawiania się, jak nas realnie wesprzeć ani co czujemy i czy nie jest nam zbyt trudno. Jedno i drugie nakłada na nas normy oraz wyobrażenia, jakie mamy być. A także ciężary nad miarę, zakładając, że jakoś to sobie ogarniemy.

Nie wiem, jak Kościół i państwo to robią, że nie dostrzegają kobiet i młodych dziewcząt stojących w obliczu sytuacji, z których nie ma dobrego wyjścia. O tym, że aborcja nie jest prostym etycznie tematem, wiele kobiet wie i czuje, zanim stanie się ich udziałem. Ten brak możliwości zero-jedynkowej oceny sytuacji musi być dla władz duchownych i świeckich kolejną przykrą ambiwalencją związaną z tym, co dzieje się w naszych macicach. Cała ta kobiecość to służ, krew i nic prostego, więc witajcie w naszym świecie. Albo wybiacie rzeczywistość, albo ideologię.

Do 2016 r. robiłam wszystko, by nie zabierać na ten temat publicznie głosu, uspokajając sumienie tzw. kompromisem jako najlepszym rozwiązaniem. Ale po każdym filmie czy reportażu o podziemiu aborcyjnym śniłam koszmary o niechcianej ciąży oraz budziłam się z pytaniem, co bym zrobiła? Jednak koszmar, w którym likwiduje się to nasze polskie „aborcyjne minimum”, stanie się rzeczywistością z chwilą rychłej publikacji wyroku TK. Dokona się to bez szacunku i słuchania kobiet, wbrew opinii publicznej, poprzez wymuszenie i polityczne oszustwo. Wiele z nas już nie zaryzykuje próby zajścia w chcianą ciążę – ze względu na ryzyko związane z wiekiem czy genetycznymi obciążeniami, od których nie będzie ucieczki. Zamiast poważnej rozmowy i budowania społeczeństwa, w którym można takie narodziny zaryzykować, będzie terror, przymus i rzekomy triumf katolickiego nauczania. ©

Do czego jeszcze wykorzystać pandemię

ANDRZEJ STANKIEWICZ



ORZECZENIE TRYBUNAŁU W SPRAWIE aborcji to dla Jarosława Kaczyńskiego znakomita zasłona dymna. Może dzięki niej przeprowadzić inne kontrowersyjne operacje. Gdy stadiony i areny przerabiane są na szpitale, gdy chorych nie ma kto leczyć, Kaczyński postanowił w swym stylu jeszcze bardziej podgrzać emocje. To nie tylko zerwanie obowiązującego ponad ćwierć wieku, jednego z nielicznych i najtrwalszego porozumienia społecznego w Polsce. To także drastyczne odejście od myśli Lecha Kaczyńskiego, który mówił: „Osiągniętego kompromisu aborcyjnego nie wolno naruszać. Powtarzam – nie wolno naruszać”.

Paradoksalnie to covidowy kryzys przyczynił się do decyzji. Wniosek leżał w TK kilka lat i akurat teraz, gdy PiS dramatycznie nie radzi sobie z zarazą, trafił na wokandę. Władza liczy, że aborcją można wywołać emocje większe niż COVID-19. Że uda się zewrzeć własne szeregi osłabione wojną o ochronę zwierząt i kryzysem koalicyjnym. No i scementować sojusz z Kościołem. To ma być polityczna baza na wypadek, gdyby partia nie poradziła sobie z koronawirusem.

Skutków ubocznych będzie masa. Gigantyczny konflikt społeczny to jedno: dziesiątki tysięcy ludzi od kilku dni wychodzą na ulice większych i mniejszych miast. Polityczne bijatyki o aborcję przy okazji każ-

dych wyborów to drugie. Jeśli lewica i liberalowie kiedyś będą rządzić, to zrobią wszystko, by przepisy drastycznie zliberalizować. Część polityków PiS uważa, że to kolejna po „Piątce dla zwierząt” decyzja z samobójczego arsenału prezesa, która przyczyni się do utraty władzy.

Szczególny moment związany z zarazą Kaczyński może jednak wykorzystać, by pójść jeszcze dalej, ekspresowo wprowadzić inne rozwiązania, o których od dawna marzy. Przykłady? Przejmowanie mediów. Dom mediowy założony przez Orlen i PZU już negocjuje zakup gazet regionalnych wydawanych przez niemiecki koncern Passauer, co dałoby PiS możliwość dotarcia do wielu czytelników w terenie. Gotowa jest już koncepcja całkowitej czystki w Sądzie Najwyższym opartej na fikcyjnej reorganizacji jego struktury. Samorządowcy także nie powinni spać spokojnie.

Niestety swej sprawczości świeżo upieczony wicepremier nie wykazuje w obszarach, które krzyczą o zmiany. Chodzi głównie o niedofinansowaną i zdekompletowaną kwarantannami służbę zdrowia, a także edukację krok po kroku przesuwaną ze szkół do domów. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

To nie jest kraj dla samotnych matek

NAJNOWSZY RAPORT NIK – „Jak powiaty wspierają potrzebujące schronienia matki z dziećmi i kobiety w ciąży” – niewiele mówi o samych kobietach, poza tym, że trzy czwarte z nich na pytanie o najważniejszą potrzebę odpowiadało: „schronienie, dach nad głową”, a co dziesiąta: „odizolowanie od sprawcy przemocy”.

Pomoc kobietom (także ojcom, opiekunom) z małoletnimi dziećmi, oraz tym w ciąży, jeśli znalazły się w kryzysowej sytuacji, doświadczyły przemocy, mają zapewnić powiaty.

„95 proc. kontrolowanych ośrodków i centrów pomocy nie wywiązało się prawidłowo z zadania, jakim jest prowadzenie specjalnych ośrodków wsparcia (...). Chodzi o DMD, czyli domy dla matek z dziećmi i dla kobiet w ciąży” – czytamy w raporcie.

Ze wynikiem 95 proc. kryją się: brak miejsc w domach dla matek, wpisywanie kobiet, które potrzebują pomocy na listę oczekujących czy, wobec braku miejsca, kierowanie ich z dziećmi do schronisk dla bezdomnych, niezapewnianie im izolacji od sprawcy. W samych domach brakuje osobnych pomieszczeń do spania dla osób z dziećmi i łazienek (jedna na pięć osób), większość placówek nie jest przystosowana dla osób z niepełnosprawnością ruchową. Matki z małymi dziećmi i kobiety w ciąży – jak pokazuje kontrola NIK – nie były także wyodrębnione jako szczególna kategoria osób: ofiar wymagających pomocy.

© ANNA GOC

W niełasce wirusa

MACIEJ MÜLLER



SYSTEM OCHRONY ZDROWIA MA ZA SOBĄ NASTĘPNY tydzień balansowania na granicy wytrzymałości. Kolejne szpitale dostają decyzje o przekształceniu oddziałów chirurgii, pediatrii czy interny w covidowe. Na papierze pula łóżek wzrosła o kilka tysięcy. A rzeczywistość? W Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie lekarze sporządzili służę między strefą „czystą” i „brudną” z folii szklarniowej, z drzwiami na suwak, uszczelnioną workami na śmieci i taśmą klejącą.

Chorymi z COVID-19 zajmują się placówki bez zaplecza anestezyjologicznego, nieposiadające tomografu (bez niego nie da się ocenić stanu pacjenta, a więc i dobrać leczenia). Coraz więcej chorych z ciężkim przebiegiem pozostaje w domach; karetki krążą od szpitala do szpitala, a od dyspozytorki można usłyszeć: „Skoro pan ze mną rozmawia, to jeszcze nie umiera”. A testy? Zatory powstają tak na etapie pobierania wymazów, jak i w laboratoriach.

Ekspert nie spodziewają się wypłaszczenia wykresów przed grudniem i ostrzegają, by przygotować się nawet na 30 tys. wykrytych zakażeń dziennie. Mogą je podbić listopadowe wizyty na cmentarzach, nie mówiąc już o trwających manifestacjach. Prezes PAN prof. Jerzy Duszyński napisał: „Gdy z dnia na dzień gwałtownie wzrasta liczba wykrytych przypadków, ogłasza się decyzję Trybunału Konstytucyjnego, która wyprowadza tłumy ludzi na ulice”.

Prezes samorządu lekarskiego prof. Andrzej Matyja obawia się, że Polskę może czekać scenariusz bardziej tragiczny od włoskiego, gdzie w marcu przybywało dziennie po kilka tysięcy przypadków, a system w błyskawicznym tempie uległ przeciążeniu, co spowodowało masowe zgony. W rozmowie z Radiem Zet prof. Matyja ocenił, że epidemia przebiega poza kontrolą państwa, że nie przygotowano się na jesień, a restrykcje wprowadzono zbyt późno. Podsumował: „Szybkość infekcji, liczba pacjentów wymagających hospitalizacji, tlenoterapii, przerosła wszelkie oczekiwania”. © P

LICZBA TYGODNIA

4 484 582

Tyle mieliśmy w Polsce pod koniec ub. roku osób w wieku 70 lat i więcej. Grupa ta podlega wprowadzonym przez rząd – wedle części komentatorów: z pogwałceniem Konstytucji – obostrzeniom w poruszaniu się poza domem.

KRAJ W SKRÓCIE

BUSOLA

Wydawnictwo Fratria, właściciel kilku prorządowych mediów (m.in. tygodnika „Sieci” i portalu wpolityce.pl), przyznało wicepremierowi Jackowi Sasinowi nagrodę Polskiego Kompas 2020 za udowodnienie, że „patriotyzm gospodarczy oznacza przede wszystkim sprawne podejmowanie odważnych i bezkompromisowych decyzji”. Sponsorami nagrody dla wicepremiera są spółki Skarbu Państwa, które Sasin nadzoruje jako minister.

BOSMAN

Dariusz Piontkowski, niedawny minister edukacji narodowej w rządzie Mateusza Morawieckiego, został wiceministrem edukacji narodowej w rządzie Mateusza Morawieckiego.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

BALAST

Sejm, głosami większości rządowej i rezygnując z możliwości wystąpienia jej wystąpienia, odrzucił kandydaturę popieraną przez ponad tysiąc organizacji pozarządowych Zuzanny Rudzińskiej-Balszcz na rzeczniczka praw obywatelskich. Procedura powołania następcy Adama Bodnara rozpocznie się od nowa.

BLOKADA

W całym kraju nie ustają protesty rolników w związku z pracami parlamentarnymi nad „Piątką dla zwierząt”. Podczas jednej z blokad dróg policja skuta kajdankami lidera związku Agrounia Michała Kołodziejczaka.

Zapomnijcie o nauce, witajcie w szkole przetrwania

ZA DYREKTORAMI OSIEM TYGODNI MATNI: niemal zerowego wpływu na kluczowe ruchy, za to pełnej odpowiedzialności. Tuż przed rządową decyzją o wysłaniu części klas podstawówek na nauczanie zdalne i hybrydowe ponad 11 proc. szkół (wzrost względem początku września o kilka tysięcy procent) zostało zamkniętych przez sanepidy. A i pozostałe działały kryzysowo: tysiące dzieci i nauczycieli zakażonych lub na kwarantannach, dyrektorzy desperacko dzwoniący do stacji sanitarnych. „Czy ktoś z Państwa ma dostęp do Sanepidu, jakiegoś znajomego, który mógłby z tony maili i smsów odgrzebać nasze zgłoszenie o pozytywnym wyniku ucznia?” – pytała w mailu do rodziców dyrektorka jednej z krakowskich podstawówek. I dodawała: „Czuje się bezradna wobec polskiego systemu opieki zdrowotnej i oświatowej”. – To nie wszystko: musiałam w trosce o zdrowie i życie ludzi działać nielegalnie, sama wysyłając klasę na kwarantannę – mówi w rozmowie z „TP” dyrektorka. – A było to do uniknięcia. Już w sierpniu my, dyrektorzy, wiedzieliśmy, że ten system musi się posypać.

PRZED NIMI JESZCZE TRUDNIEJSZY CZAS: teraz naukę w murach szkoły dla klas 1-3 trzeba godzić z powrotem do łączenia online (4-8). A nie są to dwa odrębne obiegi: niektórzy nauczyciele (np. angliści, informatycy, katecheci czy przedmiotowcy mający dyżury w świetlicach) będą funkcjonować w obu rzeczywistościach. – Dochodzi pytanie, jak organizować zastępstwa w nauczaniu zdalnym – zauważa krakowska dyrektorka. – Jest też inny kadrowy problem: wielu nauczycieli już odeszło w ostatnich miesiącach z zawodu, pozostali pracują pod większą presją. Boję się, że za moment nie będzie miał kto uczyć.

CZY TO JESZCZE EDUKACJA, czy już epidemiczna szkoła przetrwania? – Od marca robimy wszystko, by było normalnie, ale nie oszukujmy się: to była, a tym bardziej będzie teraz edukacja połowiczna – mówi dyrektorka. I dodaje, że najgroźniejszy może być lęk i spadek morale. Sama jakiś czas temu wykupiła ubezpieczenie na wypadek pozwów o odpowiedzialność za zakażenia. – To, co kochamy robić, przeradza się powoli w źródło nieustannego napięcia – puentuje. – Jestem dyrektorką od dekady, przeżyłam wiele. Ale takiego czasu nie pamiętam.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



DEBAYOTI CHAKRABORTY / GETTY IMAGES

KOBIETA O WIELU RĘKACH, otoczona demonami – tak się ją przedstawia w Indiach. Ale w tym roku bogini Durga, symbolizująca zarazem siły zniszczenia i stworzenia, przybiera inne formy. Podczas trwającego właśnie festiwalu Bengalu Durga Pudża bogini przedstawiana jest jako lekarka walcząca z demonami o głowach w kształcie koronawirusa. Rzeźbiarz Pallab Bhowmick pokazał z kolei Durgę jako matkę, która wędruje za pracą od miasta do miasta, chroniąc przy tym dziecko. Los milionów ubogich, szukających zarobku daleko od miejsca zamieszkania, w czasie pandemii stał się jednym z głównych problemów społecznych Indii. W kraju odnotowano blisko 8 milionów zakażeń. © © MR

Lockdown, choć nienazwany

EUROPA ZNÓW ZAMRAŻA życie społeczne i mobilność obywateli, a także niektóre sektory gospodarki. Aby zatrzymać szybki wzrost wskaźników epidemicznych – w tym zwłaszcza liczbę leczonych na intensywnej terapii, która, bywało, podwajała się w ciągu kilku dni – na całym kontynencie wprowadzano w minionym tygodniu nowe restrykcje. Do niedzieli oficjalny lockdown ogłoszono w Czechach (dynamika epidemii była tu ostatnio największa w skali globu: liczba infekcji na 100 tys. mieszkańców, notowanych w ciągu 14 dni, sięgnęła 1211 – w Niemczech było to 118, a w Polsce 295) i Irlandii. W pozostałych krajach rządy unikały słowa *lockdown*, nawet jeśli restrykcje były tylko nieznacznie łagodniejsze niż wiosną.

I tak, w Hiszpanii, gdzie w miniony piątek zanotowano 20 tys. nowych infekcji i 231 zmarłych, ogłoszono znów stan nadzwyczajny (rząd może dekretem ograniczać swobody obywatelskie). We Francji, gdzie liczba dziennych infekcji sięgnęła 45 tys., w większości krajów obowiązuje nocna godzina policyjna. W Austrii do sześciu ograniczono liczbę osób, które mogą się spotkać w pomieszczeniach poza własnymi czterema ścianami. We Włoszech władze apelują, by nie opuszczać swej

dzielnicy. W Brukseli praca zdalna jest obowiązkowa (chyba że jej wykonywanie jest niemożliwe); władze zakazały tu dzieciom chodzenia od drzwi do drzwi w Halloween. Sytuacja w Belgii jest niemal tak zła jak w Czechach: liczba nowych infekcji na 100 tys. mieszkańców w ciągu 14 dni sięgnęła 1116. W Walii zakazano supermarketom sprzedawania innych produktów niż „kluczowe” (zakaz, który obejmuje np. zabawki, jest czasowy: do 9 listopada). Pewne ograniczenia wprowadzono nawet w Szwecji, która dotąd unikała ostrzejszych restrykcji (za wysoką cenę: śmiertelność jest tu 10 razy wyższa niż w Norwegii i Finlandii).

Tendencja zauważana w wielu krajach to także coraz silniejsze napięcia społeczne i polityczne, na tle ograniczeń i kwestii, czy zrobiono wszystko, by zapobiec obecnej sytuacji. Przeciw restrykcjom protestują nie tylko epidemiczni negacyjniści, ale też przedstawiciele wielu branż, jak gastronomia i kultura. Podczas protestów dochodziło do zamieszek. W Neapolu przybrały one charakter, jak ujął to wiceszef włoskiego MSW, „miejskiej guerilli”, a podsycali je „kibice-chuligani, grupy kryminalne i polityczni ekstremiści”. W Berlinie nieznanymi sprawcy obrzucili nocą butelkami z benzyną budynek Instytutu Kocho, głównej instytucji koordynującej działania sanitarne. Ochroniarz ugasił płomienie.

© © WOJCIECH PIĘCIAK

Nigeria: bunt młodych trwa

JUŻ TRZY TYGODNIE w Lagos i innych nigeryjskich miastach trwają protesty rozpoczęte po kolejnym zabójstwie dokonany przez członków specjalnych oddziałów policji SARS. Powołano je w 1992 r. do walki z rosnącymi w siłę gangami (Lagos to jedna z najbardziej niebezpiecznych metropolii świata), ale z czasem same się do tych gangów upodobiły. Według Amnesty International tylko od początku 2017 r. ich funkcjonariusze odpowiadają za 82 przypadki morderstw i tortur.

Pod presją demonstracji rząd rozwiązał SARS, lecz protesty, podsycane przez brutalność policji i wojska (do minionej soboty zginęło co najmniej 56 osób), nie ustają. Zjednoczyli młodych z różnych grup etnicznych, a stosowane wcześniej w takich sytuacjach przez władze pogłębianie regionalnych podziałów tym razem okazało się nieskuteczne – mimo że np. siły bezpieczeństwa rozwoziły po innych częściach kraju chuliganów z prorządowej północy, aby „tłumił” protesty.

Nigeria to najludniejsze państwo Afryki (207 mln mieszkańców), a za kilka dekad Lagos może być też największym miastem świata. Kłopot, jaki nigeryjska władza ma z ruchem EndSARS, to zapowiedź trendu: z czasem siła demografii i postulatów młodych będzie coraz skuteczniej wymuszać na afrykańskich rządach zmianę – nawet w poprzek etnicznych linii podziałów. © © ŻYM

TOK Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie

„Światopodgląd” Agnieszki

Lichnerowicz w Radiu TOK FM.

Zapraszamy do słuchania.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POLKA W WATYKANIE

Nową konsultorką Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego została przełożona generalna misjonek kłaretnek s. Jolanta Kafka z Bytomia (na zdjęciu). W zeszłym roku została przewodniczącą Międzynarodowej Unii Przełożonych Generalnych (UISG), która zrzesza 1900 przełożonych generalnych zgromadzeń i instytutów żeńskich, reprezentujących ponad 450 tys. zakonnic. Siostra Kafka ma 61 lat.



UISG

NOWI PURPURACI

W najbliższą sobotę Franciszek wyniesie do godności kardynalskiej 13 hierarchów, w tym czterech bez możliwości uczestniczenia w konklawe. Są wśród nich najbliżsi współpracownicy papieża: sekretarz generalny Synodu Biskupów abp Mario Grech oraz niedawno mianowany na miejsce skompromitowanego kard. Becciu prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych bp Marcello Semeraro. Honorowy kapeluszy otrzyma m.in. Kaznodzieja Domu Papieskiego o. Raniero Cantalamessa.

ASYŻ W RZYMIE

Religie nie chcą wojny, przeciwnie, zadają kłam tym, którzy sakralizują przemoc – mówił Franciszek podczas Międzynarodowego Spotkania i Modlitwy o Pokój pod hasłem „Nikt nie ratuje się sam. Pokój i braterstwo”. Odbity się ono na Kapitolu w Rzymie z inicjatywy Wspólnoty św. Idziego, jako kontynuacja spotkań, które zainaugurował w Asyżu Jan Paweł II.

Fasadowe sumienie kardynała Dziwisza



JACEK PRUSAK SJ

TO MIAŁ BYĆ PRZEŁOM. KARD. STANISŁAW Dziwisz zgodził się na rozmowę przed kamerami TVN24 z okazji zbliżającego się Dnia Papieskiego. Owa zgoda dotyczyła również poruszenia aktualnych problemów polskiego Kościoła – a więc przynajmniej w domyśle stawianych mu zarzutów o zaniedbania w sprawie pedofila ks. Jana Wodniaka. Sprawa jest już publicznie znana, ale okazało się, że kardynał niczego nie ma sobie do zarzucenia – ani w tej, ani w innych kwestiach. Był po prostu „pokornym sługą Kościoła” omijającym watykańskie dykasterie i niewytakającym nosa w problemy polskich biskupów. Nie tylko, jak to wielokrotnie podkreślił, ma „czyste sumienie”, ale sam uznał się za ofiarę medialnej nagonki. Dowiedzieliśmy się, że nie przypomina sobie rozmowy z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim o sprawie Janusza Szymika, ofiary ks. Wodniaka, że nie miał w rękach dostarczonej mu przez niego dokumentacji, bo inaczej byłaby w archiwach – a tam na pewno jej nie ma, gdyż już raz to sprawdził, ale dla naszego „spokoju” sprawdzi po raz dru-

gi. Zapewnił również, że o problemach Legionistów Chrystusa miał jakieś mgliste pojęcie, ale w Watykanie nic konkretnego do niego nie docierało, więc o szczegółach właśnie się dowiaduje w trakcie rozmowy. Kardynał był również bardzo skromny w podkreślaniu swojej roli w polityce Watykanu zarówno za pontyfikatu polskiego papieża, jak i jego następcy – Benedykta XVI. Był tak skromny, że zapomniał, jaką rolę odegrał w sprawie arcybiskupa Paetza. Okazało się również, że nie oglądał filmu braci Sekielskich – więc wie tylko tyle, ile chce wiedzieć o pedofilii w polskim Kościele.

Było to i bolesne, i gorszące doświadczenie dla widzów, bo kard. Dziwisz swoim zachowaniem obnażył wszystkie bolączki kościelnego klerykalizmu i zamiatania problemów pod dywan. Chciałbym to wszystko rzucić na karb jego potencjalnych trudności z pamięcią i chęci pozostania w cieniu jego życiowego bohatera. Ale tak się nie da – ze względu na dobro ofiar i „święte imię” polskiego papieża. Ta rozmowa to był jubileuszowy falstart. ©

Tak, tak i nie, nie papieża Franciszka

CO NAPRAWDĘ POWIEDZIAŁ papież w filmie, który miał premierę tydzień temu w Rzymie? Dlaczego jego słowa budzą u jednych entuzjazm, u innych oburzenie, a u wielu wątpliwości? Tak – Franciszek powiedział, że konieczne jest prawo chroniące osoby żyjące w związkach jednopłciowych. Nie oznacza to akceptacji dla homoseksualnych małżeństw. Termin „małżeństwo” papież rezerwuje dla związku kobiety z mężczyzną. Tak – osoby homoseksualne mają prawo żyć w rodzinie. Papież nie ma na myśli tylko rodzin, w których te osoby się wychowywały i które nie powinny odmawiać im wsparcia. Tak – rodzinami są także pary jednopłciowe, które wychowują dzieci. Nie wiadomo, czy również to miał na myśli, mówiąc o prawie osób homoseksualnych do życia w rodzinie. Tak – ma on świadomość, że takimi wypowiedziami idzie krok do przodu, i że w ten sposób rozwija się nauczanie Kościoła.

Na czym opiera się powyższa pewność, a skąd biorą się wątpliwości? Co z wypowiedzi Franciszka zostało „ocenzurowane” przez Watykan? Czytaj na: powszech.net/copowiedzial

© EDWARD AUGUSTYN

Odpust rozszerzony

PRZEZ OSIEM DNI LISTOPADA, ale niekoniecznie oktawy Wszystkich Świętych, można uzyskać odpust zupełny za zmarłych. Dni te wybieramy dowolnie i „mogą być od siebie oddzielone”. Tak na polecenie papieża zdecydowała Penitencjaria Apostolska, by zmniejszyć zagrożenie epidemiczne.

W każdym dniu nawiedzenia cmentarza można uzyskać jeden odpust zupełny za jedną zmarłą osobę pod tradycyjnymi warunkami (stan łaski uświęcającej, uczestniczenie w mszy i przyjęcie komunii, brak przywiązania do grzechów oraz modlitwa w intencjach, za które modli się papież).

Penitencjaria ustanowiła też ważny wyjątek. Osoby starsze, chore oraz ci, którzy z ważnych powodów nie mogą opuszczać domu, także mogą uzyskać taki odpust. Pod warunkiem, że „łącząc się duchowo z tymi wiernymi, którzy pobożnie nawiedzają miejsca święte, wykluczając wszelkie przywiązanie do jakiegokolwiek grzechu oraz postanawiając spełnić – kiedy to tylko będzie możliwe – trzy zwyczajne warunki, odmówią pobożnie modlitwy za zmarłych przed obrazem Pana Jezusa lub Najświętszej Maryi Panny”. © ASK

KULTURA W SKRÓCIE

LISTA ŻYCZEŃ

Wśród setki najgorętszych premier gier komputerowych tego roku aż dwadzieścia to polskie produkcje. Najwyżej jest oczywiście „Cyberpunk 2077”. Kolejne miejsce na Top Wishlists popularnego wśród graczy serwisu Steam zajmuje druga część gry „Dying Light”, zaś miejsce ósme to „Ghostrunner” krakowskiego studia One More Level. Premierę gry zaplanowano na ten tydzień.

FESTIWAL FANTASTYKI

W miniony czwartek zakończyła się 20. edycja największego polskiego festiwalu fantastyki Pyrkon – w tym roku w wersji wirtualnej jako PyrkOnline. W programie znalazło się również spotkanie ze współtwórcą „Cyberpunka 2077”. Jego nagranie, jak wszystkie festiwalowe spotkania, dostępne jest w mediach społecznościowych organizatora.

SPEKTAKLE ONLINE

Także teatry coraz częściej prezentują swój repertuar w internecie – powstają nowe platformy VOD oferujące wybrane spektakle w czasie rzeczywistym. Na takie rozwiązania zdecydowały się już m.in. stołeczny Teatr Powszechny, Teatr Ateneum czy TR Warszawa.

9 KILOMETRÓW KSIĄŻEK

Prawie 300 tysięcy egzemplarzy – tyle książek zebrała Fundacja Zacytani.org podczas trwającej miesiąc zbiórki. Mimo epidemii udało się zmobilizować do pomocy społecznej dla szpitali i placówek opiekuńczych mieszkańców ponad 200 miejscowości.

JULIUSZ ZA JAREMĘ

Agnieszka Daukszę wyróżniono Górnśląską Nagrodą Literacką „Juliusz” za biografię malarki Marii Jaremy. „Jaremianka” była także finalistką tegorocznej Nagrody Nike.



MAIA KRALIK / ROYAL METEOROLOGICAL SOCIETY

BRYTYJCZYCY ZNANI SĄ ze swojej obsesji na punkcie pogody. Nic dziwnego, że Królewskie Towarzystwo Meteorologiczne już po raz czwarty wybrało i nagrodziło Pogodowe Fotografie Roku. Zwycięzcą tegorocznego plebiscytu został Amerykanin Rudolf Sulgan, który uchwycił w kadrze nowojorską zamieć śnieżną. Ponieważ zima jeszcze przed nami, prezentujemy pracę zdobywczyni wyróżnienia, Mai Kraljik. „Ten przerażający wał szkwałowaty rozpościerający się nad chorwackim Umagiem to najpiękniejsze zjawisko, jakie fotografowałam. Narobił niezłego zamieszania” – mówi autorka zdjęcia. © P MOC

Największy twardziel wśród chrząszczy

JESUS RIVERA / UNIVERSITY OF CALIFORNIA



KOLEKCJONERZY

NIE MAJĄ z nim łatwo: chrząszcza *Phloeodes diabolicus*

nie da się przyczepić szpilki do korkowej gabloty. Jego pancerz jest zbyt twardy. I tak wytrzymały, że owad może przetrwać nawet przejechany samochodem. Inżynierowie z USA i Japonii postanowili zbadać, jak to możliwe.

Pancerz zbudowany jest z elementów zachodzących na siebie niczym luźno ułożone puzzle. Pod naciskiem cała struktura układa się w ściśle przylegające warstwy. Badaczom udało się skopiować to rozwiązanie w sztucznych materiałach, co otwiera drogę do praktycznych zastosowań.

Większość chrząszczy potrafi latać. Żyjący w suchym środowisku *P. diabolicus* obrał inną ewolucyjną ścieżkę: jego pancerz anatomicznie odpowiada pokrywom skrzydeł u innych gatunków. Zaczął się zrastać, by chronić organizm przed utratą wody. Potem stał się świetnym zabezpieczeniem przed drapieżnikami. Dzięki temu *P. diabolica* dożywa dwóch lat – to kilka razy dłużej niż typowe chrząszcze.

© P ŁK | „NATURE”

Widziane na Festiwalu Conrada

PODZAS SIEDMIU FESTIWALOWYCH DNI ponad siedemdziesiąt razy spotykaliśmy się z autorami i autorkami z całego świata. Naszymi gośćmi byli m.in. Sigrid Nunez, Etgar Keret, Bianca Bellová i Roy Jacobsen. Poznaliśmy literackie światy m.in. Marka Bieńczyka, Małgorzaty Rejmer i Joanny Rudniańskiej, dyskutowaliśmy o rynku książki i jego przyszłości oraz polecaliśmy najlepsze lektury dla dzieci i młodzieży. Zakończony tej niedzieli Festiwal Conrada w całości odbył się online, jak dotąd festiwalowe spotkania obejrzało Państwo tylko na Facebooku i YouTube'ie ponad 150 tys. razy (dane o zasięgu i liczbie widzów wszystkich platform, na których dostępne były wydarzenia, podamy niebawem).

Laureatką wręczanej już po raz szósty Nagrody Conrada została Dorota Kotas – autorka debiutująca niezwykle ciekawym zbiorem opowieści „Pustostany” o życiu wbrew oczekiwaniom i na przekór mieszczańskiemu gustom. „Jestem szczęśliwa, że mogę reprezentować kobiety na tej scenie” – powiedziała Kotas po odebraniu statuetki. Zarówno galę wręczenia Nagrody, podczas której wyklady mistrzowskie wygłosili Andrzej Leder i Elif Şafak, a także wybrane spotkania oraz magazyny literackie poświęcone tegorocznemu Festiwalowi znajdują się w otwartym serwisie powszech.net/conrad2020. Wszystkie festiwalowe wydarzenia dostępne są na stronach facebook.com/ConradFestiwal oraz na platformie PLAY KRAKOW.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA

TEMAT
TYGODNIKA

PUŚCIĆ ŻYCIE

Każda i każdy z nas ma w sobie
dziecko-niemowlę, które zgodnie
z nauką Jezusa może przyjąć
Królestwo Boga.
Zawsze i wszędzie.

PIOTR SIKORA



→ **D**ESZCZ PADAŁ OD CZTERECH DNI, a pandemia trwała ponad pół roku. Niewielką pociechę dało nawet to, że Polka wygrała Rolanda Garrosa – ta informacja szybko zniknęła ze stron największych internetowych portali, zastąpiona przez inną: Stadion Narodowy zamienia się w połowy szpital. Zaczynałem żałować, że nie przechorowałem tego świństwa w lipcu albo w sierpniu. Jakby co, gdyby się okazało, że jestem z tych, co mają cięższe objawy, jeśli bym zaczął się dusić albo miał gorączkę powyżej 40 stopni, przyjęliby mnie spokojnie do najlepszego szpitala. Nie jeździłbym karetką tam i siam przez kilka godzin, jak – donoszą skwapliwie media – teraz się robi.

Zapatrzyłem się w okno – mżawka wciśnęła się między bloki, szara przesłoniła szare. Nawet sumaki, zwykle płonące o tej porze roku, przygasty, oblepione wilgocią. Ciężkie krople powoli, lecz nieubłagane odrywały się od liści i znikwały gdzieś w dole.

Z zamyślenia wyrwał mnie ćwierk esemesa: do szpitala, chory na covid, trafił mój dobry znajomy – kilka lat młodszy ode mnie. Natychmiast uruchomiły się łańcuchy skojarzeń, przypomniał mi się artykuł o nieodwracalnych uszkodzeniach, jakie koronawirus cichcem powoduje w płucach nawet tych, co nie mają objawów – i poczułem ucisk w klatce piersiowej, narastający odruch kaszlu, straciłem pewność – jak tam mój wdech? Chwilę później, zanurzony w bizarnym świecie noblistki – z zaskoczeniem odkryłem, że wyraźnie czuję zapach papieru. Pijąc herbatę i słuchając chorału – zorientowałem się nagle, że oddycham swobodnie.

Złudzenie

Śmieszny jest czasami ten organ, z którego my, ludzie, jesteśmy tak dumni – umysł. Wczepiony w układ nerwowy, który przecież nie kończy się w głowie, lecz sięga najdalszej powierzchni skóry. Uzależniony od poziomu hormonów, wysokiego ciśnienia i światła w powietrzu. Oficjalnie fanatyk poznawania obiektywnej rzeczywistości, który zwodząc siebie i innych z lubością wymyśla i opowiada niestworzone historie, tworzy cielesne (niby)wrażenia i autoportret wierny niczym kot chodzący zawsze własnymi drogami.

Niektórzy filozofowie uważali go za niewzruszony szczyt ducha, niezależny od otaczających go stanów materialnego świata. A przecież – zwłaszcza pod dłuższym naciskiem informacji o sprawach tak mało wyrafinowanych, wcale nie duchowych, jak wirusy i ekonomiczne skutki ich namnażania się w ludzkich ciałach – męczy się szybko. Zmęczenie mojego umysłu urosło jak Odra, która zalała już niżej położone wrocławskie bulwary, odcięła od brzegu i od klientów drewniane budynki nadbrzeżnej knajpy. Prosta, jakby japońska architektura, ale deski ciągną w górę wilgoć, stojąc od kilku dni w półmetrowej warstwie burej wody. Zen zanurzony w szlamie.

„Jak na zewnątrz, tak i w środku” – coraz jaśniej rozpoznawałem prawdę hermetycznej sentencji. Świat odciska się w duchu. Kiedy będzie po wszystkim? Czas płynie, miało być lepiej, jest gorzej. Nie pójdę w tym roku w pierwszych dniach listopada na grób ani jednej, ani drugiej babci, żadnego z dziadków. W dodatku, gdyby liczyć lata, bliżej mi do nich niż do noworodka, który niedawno wrzasnął po raz pierwszy w życiu. Ale taki sam wdech bierzemy przed krzykiem – ten mały i ja. Jak to zapisano w Ewangelii Tomasza? „Powiedział Jezus: »Człowiek stary według swych dni nie zawaha się pytać dziecka siedmiodniowego o miejsce życia – i będzie żył«”. A zatem: Mały, gdzie to jest?

Nieświadomy nauczyciel

Drzesz się wniebogłosy albo cicho przysysasz do piersi, jakbyś zrozumiał uwagę Wittgensteina: „Tylko ten, kto żyje w teraźniejszości, a nie w czasie, jest szczęśliwy. Życie w teraźniejszości nie zna śmierci”. A co, jeśli to Wittgenstein zrozumiał ciebie? Być może zapisał powyższą mądrość zaraz po tym, gdy kilka lat przed wybuchem grypy hiszpanki w jakieś galicyjskiej wiosce pod Tarnowem zobaczył, jak matka karmi niemowlę – podobnie jak ja to dostrzegłem przez szybę przedziału nocnego pociągu, którym wracam do domu?

Głodne ssie, śpiące śpi, jest mu moko, płacze. Całym sobą (albo i całą sobą – skąd wiem, że to nie dziewczynka? – męskie i żeńskie nie odgrywają w tym ssaniu, spaniu i krzyku większej roli, niż muszą jeszcze ujawniać się światu) chłonie ciszę chwili, albo po brzegi na-

pełnia ją dźwiękiem. Przed wszystkimi słowami, bez żadnej koncepcji, bez wspomnień dawnych dobrych czasów, bez planów pokrzyżowanych pandemią, bez gorzkiego roztrząsania alternatywnych historii, bez ambicji do zrealizowania jako warunku szczęścia, bez autoprezentacji i analiz, jak je widzą inni, bez spekulacji o życiu wielkich filozofów. „Jeśli przez wieczność rozumiemy nie nieskończony okres czasu, lecz beczasowość, to żyje wiecznie, kto żyje w teraźniejszości” – rozważał Wittgenstein. Niemowlę nie rozważa. Żyje wiecznie.

Ja tracę cierpliwość, czas mi się dłuży. A czego chcę (i czego nie chcę), sam do końca nie wiem. Na pewno skomplikowane jest to i odległe. Jego zdobycie (albo uniknięcie) wymaga po drodze wielu nieprostych czynności. Tylko zdrowy będę w stanie wszystkim im podołać. Rodzi się więc we mnie wściekłość na widok ludzi z maseczką pod brodą, albo i bez maseczki. Takich jak choćby ów chudy wyznawca Wielkiej Polski (jego kurtka krzyczy o tym na cały wagon). Śmieje się do telefonu, a we mnie budzi się strach, że przez jego dumną głupotę będę chory.

„Lęk jest jak gęsta mgła – i nikt nie może widzieć, i umacnia się błąd” – odkrył wczesnochrześcijański mistyk, autor Ewangelii Prawdy. Chcę i lękam się, że nic z tego. Mam, co chcę – boję się stracić. Lęk wciska się w szczeliny między budynkiem stacji a szybą wagonu. Strach przed konieczną zmianą planów, lęk przed chorobą, bólem, dusznością. Przed śmiercią. Moja pamięć przywołuje dawne obrazy, gdy w pierwszolistopadowym tłumie trzeba było uważać co najwyżej na kieszonkowców, albo gdy w kilka zaprzyjaźnionych rodzin piliśmy wino i wycinaliśmy z dziećmi straszne dyniowe mordy – snując plany, gdzieś to pojedziemy w wakacje następnego roku. Światła stacji uciekają do tyłu, żal pęcznieje mi w gardle.

Droga oddechu

Zaprawdę, słusznie powiedział Mistrz Życia, wskazując na przynoszone do niego niemowlęta: „Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego”. A zatem – jak pouczał w nocy Nikodem – trzeba się nam powtórnie narodzić, z niemowlęcym umysłem. Dorosły

umysł starego nauczyciela, dumnie przepełniony gromadzonymi przez całe życie informacjami i schematami myślenia, bronił się: Jak to możliwe? Nie da się wejść na starość do macicy swej matki!

Odpowiedź Mistrza jest równie prosta, co tajemnicza: „Jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z *pneumy*, nie może wejść do królestwa Bożego. To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co się z *pneumy* narodziło, jest *pneumą*. Nie dziw się, że powiedziałem ci: Trzeba wam się powtórnie narodzić. *Pneuma* wieje tam, gdzie chce, i słyszysz, jak szumi, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąży. Tak jest z każdym, który narodził się z *pneumy*”.

Tak trzeba grać słowami, by zaprowadzić w miejsce, gdzie słów jeszcze nie ma! Język polski nie nadąży tutaj za greką. *Pneuma* to „duch” oczywiście, jak przekładają najczęściej tłumacze. Ale też „wiatr”. Jak również „oddech”. Nie można pominąć tych znaczeń, rozważając wskazówkę Rabbiego, jak strząsnąć z siebie dorosłość, uwolnić z zamknięcia dziecko, które – nawet gdy zapomniane – w żadnej i żadnym z nas nie umarło, i które zna drzwi do Królestwa. A zatem co? No tak! Ten sam wdech bierzemy przed krzykiem – ja, ten mały i wszyscy inni...

Oddycham. Przepona wciąga w płuca powietrze, które przeciska się przez ochronną maseczkę, ta przylega mi niezbyt przyjemnie do twarzy. Czuję delikatne napięcie. Wydech – i ciało powoli staje się luźne. Najpierw tylko przestrzenie między żebrami, ale z każdym kolejnym świadomym wypuszczeniem powietrza coraz dalsze spięcia stawów puszczają, rozwiązują się węzły mięśni: jakby wywracały się kostki domina ułożone w kształt ciała. Emocje i myśli wychodzą z ukrycia, ruszają gwałtownie, zaczynają przebiegać przez świadomość jak krajobraz za oknem. Niektóre, wyraźniej atrakcyjne lub bardziej bolesne, ciągną umysł za sobą. Na szczęście oddech odrywa uwagę od każdej. Powoli rozluźniają się pęta wspomnień, łagodnieje uchwyt niepokoju, co będzie. Coraz wyraźniej czuję ciało – czyli siebie. Stopy, kregosłup, tętno.

Słyszę, jak w nozdrzach i w krtani szumi *pneuma*. Miarowo, z przerwami – pomiędzy wydechem a wdechem zawsze jest moment ciszy. Taki sam będzie, gdy



MAREK ZALEJSKI

Na cmentarzu Père-Lachaise, 2019 r.

Czego właściwie się boję?

Że ubywa mi wdechów?
Lecz ile ich mam – czy więcej
niż jeden?

wdechu zabraknie – uświadamiam to sobie i kolejny ruch przeponą w dół brzucha robię trochę nerwowo, z załazkiem paniki. Jeśli nawet Wittgenstein nie mylił się w swoich dociekaniach i słusznie napisał, iż „ten spełnia cel istnienia, kto już nie potrzebuje innego celu poza życiem”, to przecież, tłumaczę siebie, chodzi właśnie o to, żeby nie umrzeć. Nawet nie mówię, ten wzór do naśladowania, choć nie planuje kariery, chce żyć.

Wystarczy jeden

Czego właściwie się boję? Że ubywa mi wdechów? Lecz ile ich mam – czy więcej niż jeden? Ten właśnie? Pasuje do mnie uwaga Marka Aureliusza: „A chociażbyś miał żyć jeszcze trzy tysiące lat albo dziesięć tysięcy razy dłużej, przecież pamiętaj o tym, że nikt innego nie traci życia nad to, którym żyje, a innym nie żyje, jak tym, które traci. Najdłuższe

więc równa się najkrótszemu. Teraźniejszość jest bowiem równa u wszystkich, a więc i to, co się traci, jest równe. Tak więc to, co się traci, przedstawia się jako pozbawione czasu co do długości. Nikt bowiem nie może stracić tego, co już przeszło lub co przyjdzie. Jakże bowiem można być pozbawionym tego, czego się nie ma?”.

Jeśli tak, to liczenie na przyszłe oddechy, pomysł, że im więcej ich będzie, tym bardziej zaspokojone zostanie nasze pragnienie życia, wynika z pomyłki: z brania oczekiwania za rzeczywistość. Jak by to ujął Pascal: kto postępuje w ten sposób, zawsze tylko spodziewa się żyć, ale nie żyje nigdy.

Jak to jest zatem z tym zobaczeniem Królestwa, wejściem do niego, przyjęciem go w siebie? Mówi Nazarejczyk: „Kto lgnie do swojej duszy, traci ją, a kto wzgardzi swoją duszą na tym świecie, ustrzeże ją na życie wieczne”. W języku autora pisaćego ewangelię dusza, *psyche*, to ta a nie inna postać życia. Tożsamość pojęta jako konkretna nić egzystencji, określona historia. Chcę ujawnić, kim jestem – opowiadam, w myślach bądź na głos, o sobie. Czyli o kim? Zawsze pasażer – tylko przejeżdżam przez czas. Jak szybko bym nie mówił – nie tylko opowiadam o kimś, kogo już nie ma – nigdy nie jestem na bieżącym ze sobą.

Ustrzec duszę można – mówi Jezus – tylko wtedy, kiedy się nią wzgardzi, to znaczy: kiedy się do niej nie lgnie. *Pneuma* życia wiecznego to nie tylko wdech. Również, a może i bardziej, wydech – wypuszczenie, pozwolenie na odejście. Wdech, wydech, wdech, wydech. Taki sam mój, noworodka, narodowca bez ochronnej maseczki.

Rytm przepony zgrał się z kołysaniem wagonu. Niemowlę usnęło. Narodowiec chyba wysiadł na jednej z poprzednich stacji. Gdzieś z pamięci przeszły słowa Orygenesza: „Czy nie widzisz, że zmartwychwstanie już się zaczęło w każdym człowieku? Kto bowiem jest w *pneumie*, nie przebywa na ziemi”. Chciałem sprawdzić, jak to jest ze mną, zobaczyć swoje odbicie w szybie okna wagonu. Nic z tego. Woda pokryła szkło strużkami gęsto ułożonymi przez pęd powietrza. Zbierały całe światło. Ciemności za nimi, i tego, co odbijała, nie było widać.

©© PIOTR SIKORA



ANDRZEJ SIDOR / FORUM

Na cmentarzu Katedralnym w Łomży, październik 2017 r.

Posklejaj sobie śmierć

ANNA CHARKO, PSYCHOLOŻKA:

Rozmowa o umieraniu może być otwierająca dla obu stron. Coraz więcej osób nie chce odkładać tego tematu na później.

ANNA KIEDRZYNEK: Po co w ogóle rozmawiać o śmierci?

ANNA CHARKO: Żeby mniej się bać. Istnieją badania pokazujące, że rozmowa na ten temat zmniejsza nasz lęk przed umieraniem.

Czy karty konwersacyjne o śmierci to był Pani pomysł?

Nie, na świecie istnieje przynajmniej kilkanaście wariantów takich kart. Można ich używać w parach, w grupach albo nawet samemu. Uczestnicy gry losują albo wybierają kartę z jakimś hasłem – na przykład: „jak chcę być zapamiętany” – i rozmawiają o tym, co to dla nich oznacza. Po raz pierwszy usłyszałam o kartach na konferencji o komunikacji medycznej w Porto. Anglojęzyczne karty oparte są na badaniach naukowych i rozmowach z pacjentami hospicjów. Pomy-

ślałam wtedy: może warto zrobić coś takiego w języku polskim?

Takie karty to nie jest zadanie dla jednej osoby. W temacie śmierci nikt nie jest ekspertem, dla każdego z nas to podróż w nieznaną. Dlatego do projektowania polskiej wersji kart zaprosiłam moją ciocię, seniorkę, Barbarę Obarską. Wspierało nas także Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „e”. Kluczowe dla mnie okazały się też konsultacje z ludźmi, którzy podłapali ten pomysł, bo na jakimś etapie życia poczuli, że rozmowa o umieraniu jest im potrzebna.

Jakie to były osoby?

Jedną z pierwszych była Katarzyna Linard, autorka bloga Rakieta Kasia. Kiedy chorowała na chłoniaka, w pewnym momencie poczuła potrzebę rozmowy z bliskimi na temat śmierci. Oni z początku

tego nie chcieli, bali się. Razem z Kasią próbowałyśmy odpowiedzieć na pytanie, czego naprawdę dotyczył ten strach.

Dziś, po wielu rozmowach z różnymi osobami, w tym bliskimi chorych, wiem już, że taki temat często kojarzy się z pożegnaniem, poddaniem się chorobie, jakąś formą domykania swojego życia. A tak wcale być nie musi. Rozmowa o śmierci może być dla obu stron otwierająca. Wielu chorych nie chce odkładać tego tematu na później. Także osoby starsze mogą odczuwać potrzebę podzielenia się z rodziną swoimi refleksjami i obawami. Jednak często nie mają takiej możliwości, bo rodzina mówi: „nie przesadzaj, mamy jeszcze czas”. W efekcie do rozmowy nie dochodzi i ktoś, kto tego potrzebuje, zostaje z tym tematem sam.

Im dłużej pracowałam nad kartami, tym częściej słyszałam takie głosy. Wkrótce doszły kolejne – zainteresowanie kartami wyrazili specjaliści: psychoonkolodzy, terapeuci, psychologowie, pracownicy hospicjów.

Czyli osoby, dla których poruszanie trudnych tematów to codzienność.

Po co im więc karty?

W tym temacie nie ma ekspertów. Bezradność jest wpisana w próby jego poruszania. Może dlatego, że podczas rozmowy o umieraniu odsłaniają się obie strony? Każda rozmowa o śmierci z drugim człowiekiem dotyczy w jakimś sensie mnie samego/mnie samej – nawet gdy rozpozynam ją jako specjalistkę, a nie na przykład przyjaciółkę lub krewną. W zetknięciu z takim tematem trudno o dystans, bo odnoszę się do moich przekonań, lęków, własnych doświadczeń. Mądrze dobrane i wymyślone karty konwersacyjne są narzędziem, które mogą tę rozmowę ułatwić.

Na kartach pojawiają się takie sformułowania jak: „umrzeć w domu” albo „mieć dobrą śmierć”. Dlaczego użyła Pani bezkoliczników, a nie pytań?

Ten pomysł podsunęły mi osoby, które testowały karty podczas specjalnych warsztatów – byli to głównie seniorzy i osoby chore, ale także bliscy chorujących. Uznali, że pytania, nawet te otwarte, za wiele sugerują i są zbyt ograniczające. „Mieć dobrą śmierć” to sformułowanie na tyle otwarte, że dyskusja, którą wywołuje, może potoczyć się w zupełnie niespodziewanym kierunku. Z ko-

lei pytanie „jak wyobrażasz sobie dobrą śmierć?” już lekko popycha użytkowników kart w konkretną stronę.

Jakie to jeszcze były sugestie?

Na jednym ze spotkań, na których można było wypróbować karty, pojawił się 80-letni pan, który stracił żonę. Na kartce wypisał całą listę swoich uwag, a najważniejsza z nich dotyczyła tego, że stratę da się przewartościować pozytywnie, że można się z niej czegoś nauczyć.

Takich głosów było zresztą więcej. Młodzi uczestnicy mówili, że zmierzenie się z własną śmiertelnością może być pozytywne w tym sensie, że pomaga intensywniej doświadczać życia. Pod wpływem tych sugestii w talii pojawiła się cała nowa kategoria kart, którą nazwaliśmy „Odradzanie”. Znalazły się w niej karty z takimi hasłami jak: „wykorzystać dobrze swój czas”, „pogodzić się ze stratą”, „zmienić coś w swoim życiu”, „nazwać, co dobrego dała mi choroba/strata”.

Inna ważna sugestia dotyczyła poradnika. Bo karty to jedno, one podsuwają pewne hasła, jak np. dobra śmierć albo zachowanie godności – ale samo rozpoczęcie rozmowy na taki temat to kompletnie inne zagadnienie.

Jak w takim razie zacząć rozmowę o śmierci?

Na przykład od pytania: kto zajmie się moim zwierzątkiem, gdy mnie już nie będzie? To bezpieczny, w miarę bezbolesny temat, który potrafi uruchomić w ludziach coś głębszego. Na warsztatach karta z hasłem „zadbać o dobry los swojego zwierzęcia” niesamowicie otwierała uczestników. Bo przecież zostają po nas nie tylko koty i psy, ale też przedmioty: biżuteria, pamiętki, ubrania, rośliny... Kto się tym zajmie? Co się z tym stanie? Czy jest to w ogóle dla mnie ważne? A może ważniejsze jest coś innego, na przykład zaplanowanie tego, jak zostaną upamiętniony/a w mediach społecznościowych? Takie hasło też jest zresztą na kartach. Jedno konkretne zagadnienie, nie tak potężne i abstrakcyjne jak „śmierć” czy „umieranie”, może sprawić, że gładko przejdziemy do tematów cięższych – strachu przed bólem albo uporczywej terapii.

Czasami jednak takie zabiegi nic nie dają. Rozmówca się zamyka, nie chce się z tym mierzyć, stawia mur. Wtedy trzeba to uszanować, bo zmuszanie człowieka



Karty zaprojektowane zostały jako narzędzie, które ułatwia rozmowę na trudne tematy. Dzięki nim można nadać dialogowi uporządkowaną formę, oswoić lęk i określić bezpieczne ramy spotkania.

do konfrontacji z tematem umierania jest robieniem mu krzywdy. Na szczęście tersterzy kart i w tym przypadku znaleźli rozwiązanie.

Jakie?

Pamiętam starszą panią, która przyszła na warsztaty i powiedziała, że czuje potrzebę rozmowy o śmierci, ale jedyna bliska jej osoba nie jest na to gotowa. Ta pani wymyśliła, że wybierze spośród kart tę, które są dla niej najważniejsze, opatrzy je komentarzem i włoży do koperty. Jedną z wybranych przez nią kart dotyczyła odczuwania bólu. Bardzo się tego bała i chciała ten swój strach komuś przekazać. Na kopercie napisała: „otworzyć, gdy trafię do szpitala”. Nazwałyśmy takie rozwiązanie „kopertą bezpieczeństwa” i później włączyłam je do poradnika.

Jakie jeszcze wskazówki dostała Pani od uczestników tych spotkań?

Nie wiem, czy można nazwać to wskazówką, ale reakcja jednej z senierek uświadomiła mi, co jest podstawową trudnością w rozmowach o śmierci. Sama śmierć jest przecież faktem biologicznym i przez to neutralnym. Wbrew pozorom wiele tematów z nią związanych to również sprawy mało kontrowersyjne. Bo co jest dziwnego w plano-

waniu własnego pogrzebu albo zadbania o to, kto się zajmie moim psem? Z zasady nic. Mimo to budzą one silne emocje. Teraz myślę, że dzieje się tak dlatego, bo każda z tych spraw uruchamia w nas skojarzenia związane nie tyle ze śmiercią, co z tym, jak przeżywamy swoje życie.

Seniorka, o której wspomniałam, dostała ode mnie talię kart do przetestowania. Pierwsza karta, po którą sięgnęła, zawierała hasło „nazwać sens swojego życia”. Co w tym kontrowersyjnego? Na pierwszy rzut oka nic. Jednak starsza pani była tym hasłem oburzona, dotknięta wręcz. Nie chciała mi powiedzieć dlaczego. Musiało to uruchomić w niej pokłady bardzo silnych emocji, mających związek z czymś dla niej najintymniejszym. Wiele zagadnień związanych ze śmiercią czy odchodzeniem uruchamia tego typu reakcje, nie oznacza to jednak, że dana karta zadziała na każdego tak samo.

A czy mimo to były hasła, które użytkownicy zgodnie uznali jednak za przekroczenie pewnych granic?

Nie. Ciekawe okazało się co innego: sprzeciw wielu osób wywołały niektóre ilustracje. Dostępne są dwa warianty graficzne kart do rozmawiania o śmierci. Oba stworzyła graficzka Marta Podolska. Jeden jest abstrakcyjny, a drugi bardziej dosłowny, ale wciąż bardzo estetyczny, elegancki. Przedstawia on poszczególne części ciała jako połączenie ich dwóch luźnych odbić. Ukazana jest w ten sposób głowa kobiety, dłoń, ucho, noga, stopa.

Gdy testowaliśmy karty, pozwalałam wybrać użytkownikom jeden z wariantów. Zdecydowana większość wybierała ten abstrakcyjny. Wariant cielesny, bo tak go nazywam, budził lekką niechęć. Zdaniem niektórych przywoływał na myśl deformację ciała. To była kolejna lekcja dla mnie: rozmowa o rytuałach i pamięci to jedno, ale tematy związane z fizycznością śmierci i umierającym ciałem to kompletnie inna kategoria, dla wielu osób trudniejsza. Zwłaszcza dla tych, którzy nie przepracowali jeszcze swojego stosunku do zmienionego przez chorobę ciała.

Nad którym hasłem pracowała Pani najdłużej?

Zdecydowanie nad tym dotyczącym religijności. Wiedziałam, że karta z takim hasłem jest potrzebna, i chciałam sformułować je tak, aby nie wypychało użytkowników w jeden domyślny nurt →

→ i nie sugerowało oczywistych ścieżek jego rozumienia. Jak stworzyć kartę, która nie będzie wymuszała deklaracji wiary bądź niewiary? Pytałam o to psychologów, konsultantów, użytkowników. Były różne wersje: „pojednać się z Bogiem”, „zrobić rachunek sumienia”. Wszystko to wyleciało.

W końcu po długich dyskusjach doszliśmy do wniosku, że nie chodzi o to, aby pytać ludzi, jak się poukładali z siłą lub bóstwem, które uznają. Ostateczne hasło brzmiało: „odpowiedzieć sobie na pytanie, w co wierzę”. Z tego jednego podstawowego pytania – które niczego nie sugeruje i nie odcina od żadnych dróg – biorą się kolejne: o pojednanie albo rozgrzeszenie, bez względu na to, kto lub co miałoby go udzielać. Pracownik hospicjum, jeden z testerów kart, opowiadał mi o tym, jak pacjenci, którzy podjęli świadomą refleksję nad tym, co jest dla nich ważne w sferze duchowej, odchodzili bardziej spokojni.

Czy są osoby, którym Pani jako psycholog odradzałaby sięgnięcie po te karty?

Nikt, kto nie jest gotowy na taką rozmowę, nie powinien być do niej nakłaniany. Mam tu na myśli także te osoby, które dopiero co dowiedziały się o swojej ciężkiej chorobie. Przypomina mi się teraz historia mojej koleżanki, która ma za sobą chorobę nowotworową i na jednej z grup dyskusyjnych dla chorych rzuciła, że chciałaby porozmawiać o śmierci. W odpowiedzi została zbanowana przez administratora. Czyli nawet w miejscu, w którym z zasady poruszane są trudne tematy, zabrakło przestrzeni na rozmowę o umieraniu. Rozumiem jednak dlaczego: rak to choroba, którą coraz częściej można wyleczyć, albo taka, z którą żyje się latami. Może administrator nie chciał, aby nowi użytkownicy forum od razu na starcie poczuli, że ktoś odbiera im nadzieję.

Zdarza się, że osoba po diagnozie jest w stanie zaprzeczenia i wtedy również poruszanie przy niej tematu umierania, czyli *de facto* wybijanie jej siłą z tego stanu, byłoby wręcz niebezpieczne. Kolejna kwestia to gotowość do odsłonięcia się tej osoby, która chce zainicjować rozmowę. Jeśli poruszam ten temat w obecności ciężko chorego dziadka, to powinienem lub powinna być gotowy/a na to, że ja też się w tej rozmowie otworzę, odsłonię, dotknę miejsc dla mnie bolesnych.

Inicjując rozmowę muszę być gotowa na to, że dotknę też miejsc bolesnych dla mnie.

Jeżeli tego nie zrobię, rozmówca może mieć poczucie, że został „rozbabrany” emocjonalnie, ale niczego nie dostał w zamian.



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA CHARKO jest psychologką, na co dzień zajmuje się tematyką z pogranicza medycyny, psychologii i projektowania.

Jeżeli tego nie zrobię, mój rozmówca może mieć poczucie, że został obnażony i „rozbabrany” emocjonalnie, ale niczego nie dostał w zamian. Taki temat nigdy nie powinien służyć do wyciągania informacji z drugiej osoby. Konieczna jest wymiana.

Razem z Anją Franczak, pierwszą w Polsce towarzyszką w żałobie, organizujecie spotkania w ramach Death Cafe – obecnie w formie online. Kto się tam pojawia?

Death Cafe to pomysł zaczerpnięty z krajów anglojęzycznych, gdzie takie spotkania stają się coraz popularniejsze, także wśród młodych. Formuła „o śmierci przy kawie” tworzy przestrzeń dla swobodnej dyskusji. Przykładowo, na jednym z naszych spotkań uczestnicy mówili o sytuacjach i praktykach przybliżających do doświadczenia śmierci. Ktoś opowiedział o rytuale *ayahuasca*, ktoś inny o medytacji buddyjskiej albo wpadaniu w trans. Kilka osób miało też potrzebę podzielenia się opowieściami o tym, jak odchodzili ich dziadkowie. Wspólnym mianowni-

kiem tych spotkań jest potrzeba rozmowy o tym, co ma związek ze śmiercią. I wbrew temu, co może się wydawać, ta potrzeba okazała się zdumiewająco silna.

Bo śmierć została wygumkowana, wyparta z naszej rzeczywistości?

To może być jeden z powodów. Myślę, że obecnie ludzie nie rozmawiają o śmierci, bo nie wiedzą, jak to robić – a nie dlatego, że tego nie potrzebują. Gdy rozłożymy ten wielki temat na mniejsze „częstki”, okazuje się nagle, że jest mnóstwo rzeczy, o których chcemy rozmawiać, i robimy to naturalnie, bez skrepowania i strachu. Kiedyś istniały określone rytuały, które pomagały zrealizować tę potrzebę, dziś wiele z nich zanikło, ale pragnienie zmierzenia się z własną śmiertelnością pozostało. Jak widać, wystarczy odpowiednie narzędzie, nie muszą być to karty, może to być coś zupełnie innego.

Fascynujący jest zresztą eksperymentalny wymiar takich rozmów. Jeszcze sto lat temu ludzie funkcjonowali niejako w trybie domyślnym, który dawała im kultura, w tym religia. Teraz sposoby mówienia o śmierci wymyślamy na nowo. Porównuję to do współczesnego doświadczenia macierzyństwa, które także wypadło z dawnych, sztywnych ram i stało się podróżą w nieznanne, eksperymentowaniem na samej sobie. Nie ma już społeczności, która rozwieje wątpliwości i powie: rób tak, a nie tak. Teraz trzeba to sobie samemu posklejać: z własnych przeczuć, porad obcych ludzi, mądrości z książek lub internetu. Uważam, że w równym stopniu dotyczy to początku oraz końca życia.

Skoro temat śmierci zawsze dotyczy nas samych, to co z tego projektu zaczerpnęła Pani dla siebie?

Wątki osobiste są tworzywem, na którym pracuję. Jednak to nie śmierć jest moją największą fascynacją, lecz temat choroby, zwłaszcza chronicznej. Jako twórczyni Fundacji „Ludzie i Medycyna” przyglądam się temu, jak ludzie doświadczają choroby i co potem z tym doświadczeniem robią, jak je przetwarzają. Na tej podstawie tworzę narzędzia, które mogą uczynić chorowanie łatwiejszym, bez względu na to, czy zmierzają one w stronę zdrowienia, choroby chronicznej, czy właśnie odchodzenia. Oprócz kart do rozmawiania o śmierci mamy też „kartki na złe okoliczności”

– ich zadaniem jest ułatwić rozmowę z chorym przyjacielem. Ze strony fundacji można ściągnąć grafiki z hasłami: „Nie mam słów... ale jestem”, „Możesz płakać” albo „Dla mnie jesteś tą samą osobą co zawsze”. Są i takie, na których nie brakuje czarnego humoru, np. „Gentlemen prefer balds”, czyli „Mężczyźni wolą łyse”, albo „Nie bądź złośliwy/a – nowotwór przez ciebie przemawia”. W tworzeniu tych kartek brały udział osoby z diagnozą choroby nowotworowej, graficy, psychoonkolodzy.

Moim doświadczeniem jest genetyczna choroba nerek. Zmarł na nią mój tata, odziedziczył ją po mnie mój syn. Tata przed śmiercią przeszedł dwa przeszczepy nerek. Schorzenie genetyczne to o tyle ciekawy stan, że widzi się swoją przyszłość w losach rodziców. Z drugiej strony w medycynie nic nie jest pewne, dlatego nie można zakładać, że u mnie będzie to wyglądało tak samo.

Która z kart jest dla Pani szczególnie ważna?

Chyba ta z hasłem „umrzeć po swojemu”. Ważne jest też dla mnie chorowanie po swojemu i to, żeby nie dać się wepchnąć w stereotyp biednego chorego, który potrzebuje współczucia. Tak nie musi być, można chorować z przytupem, wyciągając coś z tego doświadczenia, budując na nim.

Na ile karty do rozmawiania o śmierci mogą przydać się zdrowej osobie? Czy w takim przypadku refleksja o umieraniu nie jest w jakimś sensie wbrew naturze?

Do pewnego stopnia zgadzam się z tym, dlatego nikogo nie namawiam do korzystania z kart. One mają odpowiadać na potrzebę, która już w kimś zaistniała, a nie kreować ją w potencjalnym użytkowniku, który na co dzień kompletnie o śmierci nie myśli. Z drugiej strony... Skoro osobom chorym, niekoniecznie terminalnie, świadomość własnej skończoności tak często pomaga przewartościować swoje życie i docenić je bardziej, to dlaczego miałyby nie pomóc także i zdrowym? Choćby i z tego powodu warto czasem o śmierci pomyśleć. Albo porozmawiać o niej przy kawie.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK



DANYLO SWOLYENKO / GETTY IMAGES

Moi święci

S. MAŁGORZATA BORKOWSKA

Teraz to oni wiedzą wszystko, podczas gdy ja wciąż jeszcze tonę w cząstkowym poznaniu.

PRYWATNI ULUBIENI ŚWIĘCI, NIEKONIECZNIE kanonizowani? Według jakiego kryterium ich dobrać? Może ci, o których pisałam – licząc z Ojcami Pustyni byłaby wcale ładna gromadka. Może ci, o których czytałam fascynujące biografie? A może zastosować inne kryterium: ci, do których faktycznie się zwracam w chwilach radości albo potrzeby?

Okazuje się, że w tej konkurencji zdecydowanymi faworytami są moi rodzice. To do nich mówię spontanicznie. Jestem przecież wytworem ich psychiki, ich postaw; łączy nas także spory kawał czasu przeżyty wspólnie, mnóstwo dzielonych skojarzeń i przeżyć. A najlepsze, że chociaż przez jakiś czas tu na ziemi to ja byłam dla nich w jakimś sensie autorytetem, teraz to oni wiedzą wszystko, podczas gdy ja wciąż jeszcze tonę w cząstkowym poznaniu. Pewnie mniej teraz niż za życia cenią sobie moje osiągnięcia, ale za to lepiej niż ja znają moje prawdziwe potrzeby.

I żadnych uroczystych zwrotów. Kot! Yogi! To były role zwierzątek z jakiegoś

rysunkowego serialu, rozdzielone na naszą rodzinę. Trudno to nazwać modlitwą do świętych... ale mniejsza o nazewnictwo. Chodzi o kontakt. Nie, oczywiście ten kontakt w moim odbiorze jest jednostronny – nie dostaję odpowiedzi. Nic mi to nie przeszkadza. Oni są i wiedzą lepiej ode mnie.

Mój brat powiedział o nich, kiedy już ich zabrakło, że sławy nie zdobyli, ale miło się od nich pochodzi. Kanonizacji także nie będzie, poza tą jedną, kiedy wszyscy dostaną po denarze. Właściwie to oni już dostali, bo przecież w wieczności nie czeka się na koniec czasu. Choćbym i nie dorastała do ich standardu, miło się pochodzi od ludzi szczerze i czynnie kochających, bezwzględnie uczciwych, łączących łagodność z ogromnym poczuciem humoru. Po prostu miło. Na pewno było i jest podobnych kandydatów do denara mnóstwo, ale moi są ci właśnie. Ja ich rozumiem i oni mnie.

Nacierpieli się w życiu oczywiście, ale i naradowali. Największą ich radość mogłam oglądać z bliska w ostatnich latach ich życia, kiedy Yogi odnalazł Boga i mogliśmy iść we troje do komunii. Naśmiali się też w życiu niemało, i to im niewątpliwie pomogło w zachowywaniu proporcji spraw i problemów, a tym samym psychicznej równowagi. Fraszki i wszelkie wierszyki aluzyjne były u nich w wielkiej modzie, czy to na tematy domowe, czy publiczne. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby i teraz czasem śmiali się ze mnie i mówili: Ty, Mysz niemądra, czego się boisz? Zaufaj!

Kot. Yogi.

©

Oswoić brzydką twarz

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

„Ty się nie bój zmarłych, ale żywych” – mawiała jej babcia. Mniej więcej to samo i ona mówi 113 tysiącom obserwujących jej konto na Instagramie.

ŚMIERĆ PRZYSZŁA ZA POŚREDNICTWEM komunikatora Skype, zanim zdążyliśmy się połączyć. A ściślej: „Pełzająca śmierć” Beksińskiego, umieszczona przez nią jako ilustracja do skypowego profilu. – Ona tu zbiera żniwo wbrew murom, które budujemy, wbrew naszym protestom. Lubię ten obraz – powie.

Na co dzień Agnieszka (nazwiska podać nie chce; za dużo wokół jej profilu kontrowersji, także „w branży”). Na Instagramie Pani z Domu Pogrzebowego. Młoda (rocznik 1986), blond włosy, poważna mina przechodząca czasem zniechacka w zaraźliwy śmiech.

W godzinach pracy szykuje ciała do pogrzebu: myje, czesze, maluje, ubiera. Po godzinach wrzuca na swój profil posta o śmierci.

Kanapki i termos

Scena z dzieciństwa: jesienny, chłodny dzień, babcia szykuje kanapki i termos. „Idziemy, poodwidzamy” – mówi. Idą razem na cmentarz.

– Taki klimat wokół tych wizyt budowała, że się nie bałam – opowiada Agnieszka. – Myśmy tam szły na spotkania. Powtarzała: „Nie bój się zmarłych, ale żywych”. Miała też predyspozycje, powiedzmy, paranormalne. Miałam kilka lat, a ona opowiadała mi o tykających zegarach, które nagle przestawały tykać. Albo że coś w nocy spadło, bo ktoś umarł. Nawet to nie było dla mnie przerażające. Ona to przedstawiała jako część życia, a mnie już wtedy ten świat ciekawił.

Z dzieciństwa zapamięta śmierć babci: – Miałam 11 lat, jej odejście mnie bardzo zabolowało. Po pierwsze byłam z nią zżyta. Po drugie dlatego, że się z nią nie pożegnałam. Ostatni obraz to jej odjazd do szpitala. I słowa lekarza: „Sądząc po wyglądzie palców, do jutra nie przeżyje”. Nie

przeżyła. To była dla mnie wczesna lekcja: jak ważne jest to domknięcie. Gdy odchodził mój dziadek, powiedziałam mu za życia to, co chciałam. I widziałam go po śmierci. A nawet włożyłam mu do kieszeni papierosa.

Jak planować

Post na Instagramie: wielka klepsydra; na usypanym w górnej części piasku siedząca postać. „A co gdybyś już dziś mógł zaplanować swój pogrzeb? – pyta w komentarzu obok Pani z Domu Pogrzebowego. „Wybrać za życia trumnę lub urnę, ubranie, kościół, oprawę muzyczną w kościele i na cmentarzu (...) Pamiętam, jak moja babcia wiele lat przed śmiercią naszykowała sobie ubranie (...) Wtedy byłam zła i nie rozumiałam, dlaczego to robi i o tym mówi. Dziś patrzę na to zupełnie inaczej”.

Pod postem lawina komentarzy. Jedni piszą o życzeniach („Czerwona sukienka, bo to mój ulubiony kolor”), inni o traumie śmierci niespodziewanej („Mama zmarła w wieku 55 lat, nikt nie był przygotowany. Podziwiam Siostrę, bo to Ona przy mierzała jedną z sukienek Mamy, w którą zdecydowaliśmy się Mamę ubrać”).

Kolejny post: czarne szpilki na obcasie. „Buty to dla mnie najbardziej przykra rzecz, która zostaje po zmarłych (...) Jak umrę, proszę pochować mnie w szpilkach z obcasem 10 cm”.

– Dlaczego buty? – pytam.

– Ktoś w nich przeszedł kawał życia: są dla mnie najmocniejszym symbolem zatrzymania, końca – odpowiada Agnieszka. – Anna Przybylska, znana aktorka, która w młodym wieku umarła na raka, przed śmiercią dała na Instagram wpis: „Tyle mam tych new balansów, co teraz z nimi będzie?”.

– Z bliskimi pani o tym rozmawia?

– Mówię mamie, co chcę po niej mieć. I nie chodzi o wartość materialną, ale sentymentalną. „Dobrze, córuniu, weź.



Wiesz, gdzie leży” – odpowiada. Wiem też od niej, że chce być pochowana w koronkach, i że woli kremację. A także jaką piosenkę chce mieć na pogrzebie. Podczas pierwszej takiej rozmowy płakałyśmy. A potem było łatwiej. Te rozmowy stają się potem ważne, bo w chwili bezradności wiemy, co robić. Mamy na coś wpływ.

Poczucie wpływu zaburzyła epidemia. W tygodniach wiosennego lockdownu w mszy i pogrzebie mogło uczestniczyć pięć osób. – Byłam świadkiem dramatycznych decyzji: kto wejdzie, a kto zostanie za płotem – wspomina Agnieszka. – Pracownicy niektórych zakładów wynosili głośniki, by do pozostałych docierał choć głos. Wiem, że niektórzy zostali z traumą. Epidemia pokazała, jak ważny jest to dla nas moment.

Pokazy makijażu

Scena z czasów nastoletnich: Agnieszka trenuje na licealnych koleżankach nakładanie makijażu.

I wcześniej, w dzieciństwie: podbiera mamie kosmetyki, pewnego razu brudzi



MARIE VAN DEN MEERSCHAUT / EAST NEWS

się cała lakierem, innym razem wypija błyszczki do paznokci.

Po liceum i studiach przez osiem lat pracuje w branży kosmetycznej. – Byłam zatrudniona w perfumeriach – wspomina. – Jako sprzedawczyni, ale i konsultantka. Organizowaliśmy pokazy makijażu. Poza tym dorabiałam prywatnie jako wizażystka, przygotowując kobiety do wesel czy imprez. Tam nauczyłam się, jak likwidować niedoskonałości.

W 2015 r. w życiu prywatnym przeżywa kumulację śmierci: odchodzi pięcioro jej bliskich. – Gdzie się wtedy odwróciłam, był cień. Pytałam siebie, ile może udźwignąć jedna osoba. A równocześnie po dłuższym czasie starań zaaszłam w ciążę. Ten rok pokazał mi, jak śmierć przeplata się z życiem.

Jak się nie bać

Kolejny post: twarz umarłego, nad nią dłonie trzymające strzykawkę. „Wielokrotnie wspominałam, jak lubię pracować z wypełniaczem tkankowym (...)

Spotykacie się czasem ze stwierdzeniem, że zmarły płakał? To wynik nieumiejętnego wypełnienia gałki ocznej. Wycieka i daje efekt łzy, a rodzina żegnająca swojego bliskiego myśli, że to oznaka życia lub słabości osoby zmarłej. Wypełniać można pracować na każdej płaszczyźnie ciała. Kości policzkowe, zuchwa, łuk brwiowy, płatki nosa, usta, żyły, a nawet opuszki palców. Technika idzie do przodu i warto z niej korzystać, szczególnie jeśli ma pozytywnie wpłynąć na to ostatnie pożegnanie i wygląd ciała, któremu, jak zawsze podkreślam, należy się szacunek”.

– Po co nam, żywym, ten „wygląd ciała”?

– Śmierć w jej fizycznym wymiarze jest zawsze brzydka. Więc ją łagodzimy, ocieplamy, przybliżając zmarłego do wyglądu, jaki miał za życia. Do różowych kolorów twarzy, do ubioru, jaki nosił. Choć nie wszyscy tego chcą. Raz podszedł do mnie klient po pogrzebie: „Wie pani, tata wyglądał dobrze, ale wolałem go bez makijażu”. Szanuję to.

Choć inni dziękowali: „Wyglądał tak dobrze, że odważyłam się robić zdjęcia”. Wiem, że pracując profesjonalnie, daję ukojenie.

Heniek, ty się rozluźnij

Scena z roku 2017. Agnieszka idzie na rozmowę kwalifikacyjną, wcześniej przeczytała w ogłoszeniu: „praca biurowa”. W środku wita ją widok i woń drewnianych trumien. Po urodzeniu dziecka chciała coś w życiu zawodowym zmienić – tu trafia przypadkiem.

– Od razu poczułam, że to moje miejsce, i że mnie te trumny nie przerażają – opowiada. – Zaczynałam jako pracownica biura, ale po jakimś czasie opowiedziałam szefowi o swoim wcześniejszym doświadczeniu. Do tej pory ciała przygotowywali zwykli pracownicy. Poprosiłam o możliwość przyglądania się ich pracy. „Kurczę, ja bym to zrobiła lepiej!” – pomyślałam. Nie zwracali uwagi na ułożenie włosów, kosmyki zalegające na ubraniu, brudne buty. Któregoś dnia mówię: „A może i ja bym spróbowała?”. Szef się zgodził.

Dziś Agnieszka w jednym z zakładów wykonuje nadal pracę biurową. Z kilkoma innymi – w Warszawie i okolicach – współpracuje jako tanatocosmetolog. Jej obowiązki: pośmiertna toaleta, zabezpieczenie otworów ciała, dezynfekcja włosów, ubieranie. Także wtedy, gdy rodzina – jak większość w ostatnich latach – wybiera kremację.

– Mówi coś pani?

– Zawsze. I może się pan dziwić, ale dzielę tych ludzi na dobrze współpracujących i stawiających opór. Mówię: „Heniek, tam czeka twoja żona i córka. Chcesz ich straszyć wyglądem? Puść te ręce, rozluźnij się, a ja dobrze cię umaluję”. No i Heniek się często rozluźnia. I palce się lepiej układają, i całe ciało. Wierzę, że te duchy gdzieś ze mną są, i się ich nie boję.

– Co jeszcze pani mówi?

– Że mają ładny łuk brwiowy. Albo włosy. Staram się zawsze znaleźć coś pozytywnego. Zawsze też się witam i żegnám. „Dzień dobry”, „szerokiej drogi”.

– A relacje z bliskimi?

– Niektórzy później dzwonią, bo zostali serdecznie potraktowani. Czasami jeszcze podczas organizacji pochówku jest śmiech. Pytam, kto leży już w tym grobie. No i ktoś z rodziny się gubi: „Franciszek leży na Hani, albo odwrotnie”. →

→ Innym razem są tak przytłoczeni bólem, że jedyne, co mogą zrobić, to im po cichu towarzyszyć.

– Najdziwniejsze zlecenie?

– Nie mam prawa ich tak oceniać. Nawet jeśli różnią się od innych. Raz pogrzeb mamy organizowały nieco ponad dwudziestoletnie córki. Zażyły sobie puchowej kurtki i ciepłych kozaków dla mamy. To nasz naturalny odruch: otulić, żeby było ciepło.

Jak płakać

Z Instagrama: „Nie wypada w żałobie słuchać muzyki”; „Dlaczego nie nosisz czarnych ubrań?”; „Jak możesz myśleć teraz o sobie?”; „Dlaczego się uśmiechasz?”.

„Nie słuchaj takich rad – komentuje przytoczone zdania Pani z Domu Pogrzebowego – Przeżywaj żałobę na swój własny sposób i rób to, co ukoji Twój ból. Twój (...) Rób to, co kochasz, i żyj. A jeśli masz ochotę nakryć się kocem i płakać, to rób to”.

Z komentarzy: „Gdy umarła moja kochana babcia (...), świat mi się rozpadł na 8 miesięcy. Nie lubię czarnego koloru, ale nie mogłam założyć niczego innego, nie potrafiłam się zmusić do żadnych rozrywek, płakałam (...) Aż któregoś dnia przyszła nagle ulga. Dopiero po tym oczyszczającym doświadczeniu udało mi się zejść w ciążę. Moja córeczka ma dłonie po mojej babci, i jest to niesamowite, bo trzymając ją za rączkę trzymam jednocześnie dwie istoty, które kocham najbardziej. Dziękuję Ci za ten profil”.

Zaspany kafar w fartuchu

Scena sprzed roku, powtórzona kilka razy: na stoliku wibruje jak oszalały telefon. Te wibracje to dla Agnieszki sygnał: znowu jakaś znana youtuberka poleciła jej profil, albo celebrytka się nań oburzyła. Więc społeczeństwo rusza do internetu – ludzie chcą sprawdzić, o co chodzi. Część już na profilu zostanie, rejestrując się jako „obserwujący” – i o tym powiadamia Agnieszkę jej aparat.

– Skąd ten Instagram?

– Pomyślałam: może warto pokazać tę naszą pracę. Odpowiedzieć na te wszystkie stereotypy: zaspany, gruby kafar w fartuchu, który musi pić w pracy, żeby przetrwać. No i „zarabia na trupach i nie-szczęściu”.

W sierpniu 2019 r. wybucha skandal. Profil „Pani z Domu Pogrzebowego”

poleca znana blogerka. Agnieszka słyszy rano wibracje: w ciągu jednej doby z wcześniejszych 500 zrobiło się 5 tysięcy obserwujących. A potem jest głos aktorki Soni Bohosiewicz. Zarzuca autorce profilu epatowanie śmiercią (dziś Bohosiewicz nie chce wracać do sprawy).

– Bałam się oddychać: z jednej strony celebryta, z drugiej anonimowa matka. Zawiesiłam konto. Mimo że na zdjęciu, o które poszło, pokazałam tylko nasadę włosów, i nikt nie miał prawa na tej fotografii nikogo rozpoznać. Ludzie mnie wyzywali, ślali wiadomości, że profanuję zwłoki itd. Ale z drugiej strony: „Robisz super rzeczy, łamiesz tabu”. Po jakimś czasie odblokowałam konto. I okazało się, że jest 47 tys. obserwujących.

Teraz ma ich 113 tys. W przestrzeni rzadko kojarzonej ze śmiercią – choć Instagrama trudno dziś etykietować (ma on tylko w Polsce kilka milionów użytkowników i coraz bardziej zróżnicowaną treść), potocznie nadal kojarzy się z obrazami świata lekkiego, łatwego i przyjemnego. Strojami, potrawami, pięknymi i młodymi ciałami.

– Po co u pani te fragmenty ciał, trupie jady, techniczne opisy?

– Możemy o śmierci zawsze rozmawiać „ładnie”, sprowadzając ją do emocji, żałoby. Ale ona ma też tę brzydką twarz, której się wielu z nas boi. Chcę te lęki oswajać – mówi Agnieszka.

Trzyście tysięcy śmierci

O opinię na temat jej profilu proszę Anję Franczak, pierwszą polską towarzyszkę w żałobie, czyli osobę pomagającą w radzeniu sobie ze stratą. Dorastała w Chorwacji i Niemczech, w 2015 r. sama przeżyła stratę – podczas ciąży zmarło jej dziecko (rok temu opowiedziała o tym i o swojej pracy „Tygodnikowi Powszechnemu”). Właśnie założyła Instytut Dobrej Śmierci – „przestrzeń dialogu i edukacji o przemijaniu, śmiertelności i sprawach ostatecznych” – zapraszając do współpracy m.in. Panią z Domu Pogrzebowego.

– Wcześniej śledziłam podobne profile w innych krajach: pracownicy bądź właściciele domów pogrzebowych w Niemczech, Anglii czy USA piszą o swojej pracy, edukują, łamią stereotypy – mówi Franczak. – W tym polskim profilu najciekawsze są reakcje. Setki historii, które być może gdzie indziej nie mogłyby wy-

brzmieć. Dla mnie to jest wirtualna strefa bez tabu.

– A ta fizyczność śmierci: nie razi cię? – pytam.

– Przy bardziej drastycznych treściach są ostrzeżenia: kto nie chce, nie wchodzi. Swoją drogą, ciekawy jest ten sprzeciw, bo zawsze istnieje w kontekście kultury. Było wiele momentów, gdy coś takiego było normalne. Weźmy np. nurt pośmiertnej fotografii w XIX-wiecznej Anglii.

– A może ten sprzeciw to wypadkowa czasów, w których wypieramy widok śmierci?

– Dzisiaj jest wielu ludzi, którzy nigdy nie widzieli zmarłego. A równocześnie epatujemy obrazami śmierci w popkulturze. Widziałam dane, według których statystyczny amerykański nastolatek widział już 13 tysięcy śmierci w filmach czy grach. Tylko że to nie jest prawdziwa śmierć. Tę wypieramy. A nasz lęk przed tym, czego nie znamy, jest znacznie większy. Wiem to po sobie: w mojej rodzinie ciało zmarłego natychmiast zniknęło, w efekcie czego ja się tego widoku panicznie bałam. Aż zobaczyłam go w dorosłym życiu, na praktykach w domu pogrzebowym. To nie był widok piękny, a jednak mnie uspokoił.

Jak rozmawiać

Z Agnieszka rozmawiamy popołudniową porą: za jej plecami widzę fragment łóżeczka i regału na książki dla dzieci. Pytam, jak przechodzi się z trybu pracy w tryb życia. Odpowiada, że wraca do domu – jak z każdej innej pracy.

– A pani dzieci? Wiedzą?

– Wiedzą, a nawet mnie odwiedzają. Chodzą swobodnie, dotykają trumien. Pytają, dlaczego ta jest taka, a tamta taka.

– Jak rozmawiać z dziećmi o śmierci?

– Nie ukrywać, że jest. Oszukując, że dziadek wyjechał lub zniknął, przed niczym ich nie chronimy. Rozmawiamy, a gdy ktoś umrze, starajmy się wyczuć, czy chcą pożegnać babcię lub dziadka.

– Pani rozmawia?

– Rozmawiam, choć raz się rozkleiłam. Córeczka mówi przed snem: „Mamusiu, boję się, że babcia kiedyś umrze”. Odpowiedziałam: „Tak, umrze, ale zrobimy wszystko, żeby być wtedy razem, i żeby jej było dobrze”. To cholernie trudne rozmowy, ale gdy już się je odbędzie, to potem jest łatwiej.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Fragment kolekcji relikwii, należącej do króla Filipa II, w bazylice w Escorialu.

Cząsteczki wszystkich świętych

EDWARD AUGUSTYN

Dziś trudno byłoby o relikwię ręki czy głowy, a przecież całkiem niedawno w codziennym użytku specjalistów od kanonizacji były noże i piły. Spore lub charakterystyczne kawałki ciała uchodziły za szczególnie pożądane.

BYLEM RAZ 1 LISTOPADA W WATYKANIE. Jakieś spotkanie w ostatni dzień października i zmieniona siatka połączeń lotniczych z posezonowymi dziurami sprawiły, że do Polski, na groby rodziców, mogłem lecieć dopiero we Wszystkich Świętych wieczorem. Na rzymskie cmentarze, choćby te z polskimi akcentami, jak Campo Verano czy Prima Porta, nie było już czasu. A zresztą – sam Watykan to jeden wielki cmentarz. Zbudowany na grobach nie tylko pierwszych męczenników chrześcijańskich, ale też tysięcy czcicieli wielu bogów.

W Krakowie, jak mi doniesiono, spadł właśnie pierwszy śnieg, a Rzym był złoty i ciepły. Bazylika św. Piotra czekała niemal pusta. Podszedłem do konfesji św. Piotra i patrzyłem oniemiały. Ołtarz do ostatniego miejsca wypełniały złote głowy, srebrne dłonie, ampułki, puszkę, szkatułki, krzyże i ostensoria. Zaskakiwał nie tylko sam widok – niecodzienny, raz doroczny – ale i genialna prostota znaku. Kiedy jak kiedy i gdzie jak gdzie – pomyślałem – ale tu, w ten dzień, można naprawdę zobaczyć relikwie wszystkich świętych.

Popyt i podaż

Pytanie o liczbę relikwii przechowywanych w Watykanie jest kłopotliwe, bo chyba nikt nie potrafiłby jej precyzyjnie określić. Trudniejsze nawet od pytania o liczbę świętych, bo przecież ciała wielu beatyfikowanych i kanonizowanych zostały rozdrobnione na tysiące części, przechowywanych nie tylko w tych zażytkowych i cennych wytworach sztuki złotniczej.

Siostry dominikanki klauzurowe z rzymskiego klasztoru na Monte Mario wykonują, na zlecenie Watykanu, współczesne relikwiarze. „Materiał” przechowują w setkach kasetek – posegregowany, skatalogowany i ułożony w alfabetycznym porządku: *Ex carne St. Agnetis, Ex ossibus S. Bedae V., Ex carne Catharinae Ricci etc.*

David Murgia, autor programów watykańskiej telewizji TV2000, podesłał mi kilka swoich filmów na temat relikwii – w tym także krótką relację z Monte Mario. Siostry pobierają pęsetą odrobinę materiału z odpowiedniej przegródki, nakładają do przygotowanego wcześniej połączanego medalionu, wszywają czerwoną nicią karteczkę z potwierdzeniem autentyczności, zalewają końce nitki roztopionym lakiem, odciskają watykańską

→ pieczęć. Jeszcze kilka lat temu takie relikwiarze wysyłały wszystkim, którzy zapłacili 25 euro (nie była to zapłata za relikwie – zastrzega David – tylko zwrot kosztów medalionu i wykonanej pracy). Ale szybko się okazało, że owoce ich pracy trafiają na eBay po 500 euro za sztukę. Dziś, gdy Stolica Apostolska zaostrzyła przepisy, siostry wysyłają relikwie tylko tym, którzy przedstawiają zaświadczenie od biskupa, że święte szczątki będą wykorzystywane jedynie do celów religijnych.

Cudów nie robi

– Tradycja czczenia relikwii sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa – mówi mi o. prof. Zdzisław Kijas, teolog, wieloletni relator Kongregacji ds. Kanonizacyjnych, dziś postulator generalny wszystkich spraw kanonizacyjnych i beatyfikacyjnych zakonu franciszkanów. – Najpierw były relikwie świętych męczenników, już w czasach prześladowań. Potem, za cesarza Konstantyna, gdy chrześcijaństwo uzyskało wolność i stało się religią oficjalną, zaczęto pielgrzymować do Ziemi Świętej, do miejsc męki i śmierci Pana Jezusa. W końcu Kościół musiał ten rodzaj kultu jakoś opracować teologicznie i reglamentować, żeby odciąć się od zabobonów i podejścia magicznego. Teologia uczy, że relikwia – nawet wielkiego świętego – nie zmienia rzeczywistości, nie sprawia cudów, jeśli ktoś nie ma wiary. Sam fakt posiadania relikwii o niczym nie świadczy i niczego nie gwarantuje. To wzór życia świętego może zmienić nasze życie na lepsze.

O. Kijas przyznaje, że sam ma niekiedy problem, by zrozumieć i zaakceptować przesadny kult relikwii. W fascynacji martwym ciałem świętych widzi odbłask

innej kultury i mentalności: – W krajach południowych, czy to ze względów klimatycznych, czy psychologicznych, a może i z uwagi na większą wrażliwość emocjonalną, jest to odbierane nieco inaczej. Wystawianie ciała zmarłego jest u nas rzadko spotykane, tam stało się czymś normalnym. Ciała ważnych osób wciąż poddaje się mumifikacji. Tak zrobiono choćby ze św. Janem XXIII: został zmumifikowany i wystawiony za szkłem. Nas by to raziło, tam natomiast jest szeroko przyjmowane.

Głowy nie urywa

Trzy lata temu Kongregacja ds. Kanonizacyjnych wydała instrukcję o autentyczności i przechowywaniu relikwii. Dopuszcza się kult tylko tych pamiątek, które są prawdziwe. Ekshumację ciała przyszłego kandydata na ołtarze (zwaną w kościelnym żargonie „rozpoznanie ciała”), która ma dać pewność, że nie doszło do pomyłki, przeprowadzić może tylko wyspecjalizowany zespół pod kierunkiem lekarza patomorfologa i – o ile to możliwe – za zgodą spadkobierców. Zgoda rodziny potrzebna jest też na przeniesienie szczątków (translacje). Dla pozyskania relikwii nie wolno pobierać żadnych części ciała poza tymi, które oddzieliły się w sposób naturalny (w drodze dekompozycji).

Dziś trudno byłoby więc wykonać relikwie ręki czy głowy, ale przecież kiedyś (a nawet niedawno) w codziennym użytku specjalistów od kanonizacji były noże i piły. W bazylice św. Antoniego w Padwie podziwiać można relikwiarz z językiem świętego, wydobyty z ciała w 1263 r. (32 lata po śmierci). W sanktuarium Jana Bosco (zmarłego w 1888 r.) przechowywana jest ampulka z mózgiem

świętego, wykonana przed jego beatyfikacją w 1929 r.

Relikwie zawierające spore lub charakterystyczne kawałki ciała zawsze uchodziły za cenne i szczególnie pożądane. Studiując historię kultu świętych szczątków, możemy znaleźć informacje o 60 palcach Jana Chrzciciela i czterech jego głowach. W co najmniej dziesięciu miejscach na ziemi czczono relikwie napletka Dzieciątka Jezus. Do dziś w Katanii przechowywane są i wystawiane do adoracji odcięte piersi św. Agaty.

Na nic watykańska instrukcja, która próbuje nadać się zmieniającą się wrażliwością – lokalna tradycja zwykle wygrywa ze zdrowym rozsądkiem, a nawet naukowymi badaniami, i to nie tylko na „emocjonalnym Południu”: w Uppsali naukowcy z katedry genetyki przebadali DNA mitochondrialne relikwii św. Brygidy i dowiedli, że czczone szczątki należą do osoby żyjącej niemal sto lat przed królową. Nie spowodowało to bynajmniej wycofania relikwii świętej z kultu.

Wciąż wciąż darzony jest „domek Matki Bożej z Nazaretu” w Loreto, jak również gwoździe z krzyża Pana Jezusa (Rzym, Monza, Mediolan i Val d’Elsa), opaska upuszczona przez Matkę Bożą wstępującą do nieba (Prato) czy najsłynniejsza relikwia o niepotwierdzonym pochodzeniu – Całun Turyński.

Z zimną krwią

Wśród najgłośniejszych „rozpoznań ciała” z ostatnich lat było badanie relikwii św. Ojca Pio w 2008 r. (osiem lat po kanonizacji, przy okazji otwarcia nowego sanktuarium) oraz całkiem niedawne przygotowanie do ekspozycji ciała nastoletniego kandydata na ołtarze Carlo Acutisa (beatyfikowanego miesiąc temu). W jednym i drugim przypadku dokonano przy tej okazji „konserwacji” zniszczonych zwłok – na twarz położono silikonowe maski, sprawiające wrażenie, że święci są „jak żywi” (doczesne szczątki chłopca dodatkowo ubrano w dres i sportowe buty).

W obu przypadkach zaraz po wystawieniu zwłok na widok publiczny pojawiły się pogłoski, że ciała w cudowny sposób nie uległy rozkładowi. Potrzebne było dementi władz kościelnych. Bp Claudio Sorrentino z Asyżu, gdzie pochowany został Acutis, napisał: „Podczas ekshumacji 23 stycznia 2019 r. ciało zastano w normalnym stanie przeobrażenia, typowym dla zwłok z tego okresu

Ceny relikwii „o potwierdzonej autentyczności” na portalu aukcyjnym eBay:

- św. Maksymilian Kolbe (cząstka habitu, relikwia II stopnia w obrazku dodatkowo otartym o grób Jana Pawła II w sanktuarium w Krakowie) – 45 USD
- św. Teresa od Dzieciątka Jezus (relikwia I stopnia, używana, z watykańską pieczęcią lakową, podpisana błędnie jako „relikwia św. Teresy z Avila”) – 495 USD
- św. Faustyna Kowalska (kropla krwi, relikwia I stopnia, certyfikat papie-

skiego wikariusza generalnego Rzymu)

– 600 USD

■ św. Jan Paweł II (kropla krwi, relikwia I stopnia, certyfikat postulatora)

– 1800 USD

■ św. Ojciec Pio (cząstka bandażu ze stygmatów, relikwia II stopnia, certyfikat postulatora, pieczęć Watykanu, relikwiarz wręczany kardynałom z okazji kanonizacji Stygmatyka)

– 4000 USD.

© EA

[chłopiec zmarł w 2006 r.]. Ponieważ jednak nie upłynęło wiele lat od pochówku, ciało było przekształcone, ale jego części nadal pozostawały w anatomicznym połączeniu. Dlatego poddano je technikom konserwacji i integracji, jakie zwykle są praktykowane”.

Znana jest historia relikwii Jana Pawła II. Gdy pod koniec życia przygotowywano go do zabiegu tracheotomii, kard. Stanisław Dziwisz poprosił lekarzy, by zachowali krew pobieraną papieżowi do badania. W ten sposób wszedł w posiadanie dwóch ampułek, z których kropelka po kropelce wydzielano najważniejsze relikwie świętego. Osobisty sekretarz zachował też fragment zęba, jaki ukruszył się papieżowi po zamachu w 1981 r. Cenną relikwią stała się też splamiona krwią sutanna i koszula Karola Wojtyły. – Ale już ciało Jana Pawła II nie zostało tknięte – mówi o. Kijas. – Nie zgodzono się nawet na otwarcie jego trumny podczas procesu kanonizacyjnego.

Istotne i nie

Fragmenty ciała, włosy, krew, zęby, jeszcze do niedawna nazywano relikwiami I stopnia. Rzeczy osobiste świętego uznawano za relikwie II stopnia, a przedmioty, które miały kontakt z ciałem po śmierci – III stopnia. Gdy David Murgia realizował swój program, otrzymał zgodę na zarejestrowanie „produkcji” relikwii najniższego poziomu: na filmie widać leżące na stole w Kongregacji ds. Kanonizacyjnych szczerbate zwłoki biskupa, ubrane w liturgiczne szaty z epoki. Dwóch całkiem żywych biskupów zwawo ociera o jego twarz obrazki, wyjmowane z jednego, a wkładane do drugiego foliowego worczka. Obok czeka już przygotowana do ponownego pochówku trumna.

Watykańska instrukcja sprzed trzech lat zniosła potrójną klasyfikację relikwii. – Dziś mówimy jedynie o relikwiach istotnych (z ciała) i mniej istotnych – wyjaśnia o. Kijas. – Granica pomiędzy mniej istotnymi była przecież bardzo płynna i zależała od wrażliwości duchowej każdego człowieka. Często niektóre pamiątki, traktowane jako relikwie, stały się obiektem kpin i szyderstwa.

Bo relikwiami II stopnia są zarówno fragmenty sutanny papieża, jak i jego buty. – Dla jednych są to tylko pamiątki, dla innych relikwie przypominające, że święty był takim samym człowiekiem jak my, a w tych butach przemierzał świat,

głosząc ewangelię – tłumaczy teolog. – I to, co dla niektórych jest przedmiotem kultu, dla pozostałych może być zupełnie obojętne, a dla kogoś innego: przedmiotem handlu i czysto ekonomicznego zysku.

Mania zbierania

Handel relikwiami ma długą tradycję i – jak wiadomo – stał się jedną z istotnych przyczyn rozpadu Kościoła zachodniego. W średniowieczu był prawdziwą plagą. Powszechnie wierzone w magiczną moc relikwii, a zdobycie – za pieniądze lub siłą – kości świętego nie tylko gwarantowało z automatu jego opiekę, ale też (w królestwie Franków epoki Merowingów) oznaczało przejście na własność kościoła, który był na relikwiach ufundowany, wraz ze wszystkimi dobrami, jakie do niego należały. Było zatem o co kruszyć kopie i sięgać głęboko do mieszka.

Choć nie brakowało też prawdziwych pasjonatów.

Król Hiszpanii Filip II, słynny inkwizytor, nazywany przez protestantów „szatanem Południa”, miał również obsesję na punkcie relikwii. W klasztorze w Escorialu zgromadził blisko 7,5 tys. pamiątek, w tym 12 całych ciał, 144 głowy i 306 kości długich. Gdy umierał, poprosił o przyniesienie mu najbardziej ulubionych: włosa z brody Chrystusa, włosa Dziewicy Maryi, kolana św. Sebastiana i zebra biskupa Albano.

Ale kolekcjonerstwo relikwii to nie moda i mania z zamierzchłej przeszłości. Największy po watykańskim i hiszpańskim zbiór świętych pamiątek znajduje się dziś w parafii św. Antoniego w Pittsburgu (USA) i liczy 5 tys. egzemplarzy. A w polskiej parafii na przedmieściach Buffalo ks. Michael Burzynski tworzy kolekcję, w której zgromadził już ponad 100 relikwii. Proboszcz chwali się, że ma relikwie pierwszej klasy każdego z apostołów, a do tego relikwie Krzyża św. i fragment welonu Matki Bożej. Każda z nich – jak zapewnia – z pieczęcią Watykanu potwierdzającą autentyczność.

Trudno się dziwić, że tego typu cenne przedmioty padają też łupem złodziei. We Włoszech skradziony został zarówno mózg Jana Bosco, jak i relikwia z fragmentem zakrwawionej sutanny Jana Pawła II. Najgłośniejsza – bo dokonana z rozbojem w biały dzień – była jednak kradzież podbródka św. Antoniego z Padwy (bez języka), złecona przez szefa lokalnej grupy przestępczej, który zamie-

rzał wymienić ją na swego kuzyna, przebywającego w więzieniu.

Wszystkie wspomniane relikwie udało się odzyskać dzięki zaangażowaniu policji, mediów i pomocy poruszonych świętokradztwem wiernych.

Requiescat in pace

Trudno oczekiwać, że Kościół wyprze się wielowiekowej tradycji kultu relikwii. Zwłaszcza że w prostej linii wywodzi się on ze szlachetnej i zrozumiałej chęci podtrzymania pamięci o naszych zmarłych, której jednym z przejawów jest choćby nasze powszechnie praktykowane odwiedzanie grobów. Ale trudno też oprzeć się wrażeniu, że ta tradycja staje się coraz bardziej niezrozumiała i odległa, błakając się po granicach religii i zabobonu.

– Podejście do relikwii wynika wprost z naszej wiary – mówi o. Kijas. – Dlatego jest sprawą indywidualną i zmienną, zależną od kontekstu, nastroju, sytuacji egzystencjalnej. Wpływ na ich postrzeganie ma i psychologia, i antropologia, kultura i teologia.

Współczesne zindywidualizowane społeczeństwo, patrzące podejrzliwie na wszelkie monopole, odmawia Kościołowi prawa decydowania, co dzieje się z człowiekiem po śmierci. Każdy sam chce decydować, co stanie się z jego ciałem – czy ma zostać pochowane, spopielone czy wypreparowane dla celów naukowych lub artystycznych. Wielcy święci, odchodząc z tego łez padółu, często prosili, by pochować ich w prostej trumnie i w skromnym grobie. Niewypełnienie ich woli uznajemy co najmniej za niestosowne. Podobnie jak niespełnienie życzenia rodziny w kwestii miejsca spoczynku zmarłego (w przypadku sługi Bożego Fultona Sheena, do którego kanonizacji nie doszło w ub. roku, potrzebny był aż wyrok sądu, nakazujący diecezji nowojorskiej oddanie ciała rodzinie).

Nie tylko w świeckich społeczeństwach ciała zmarłych wymykają się z domeny Kościoła. W krajach o wciąż żywej tradycji katolickiej odmowa „kościelnego” pogrzebu nie jest już traktowana jako bolesna kara za niezgodne z nauką Kościoła życie, ale policzek dla rodziny i obraza pamięci zmarłego. Z katolickiej eschatologii żywe pozostaje w nas chyba jedynie pragnienie „wiecznego odpoczynku”, którego nikt i nic nie powinno zakłócać. Dlatego i relikwie stają się dla nas reliktem. © © EDWARD AUGUSTYN

Wieczność pcha się sama

KS. PROF. MICHAŁ HELLER,
KOSMOLOG I FILOZOF:

Gdy myślę o takich rzeczach jak nieskończoność, wieczność, ale nie naukowo, tylko pozwalam sobie na filozoficzną kontemplację, to czasem czuję, że lepiej przestać. Bo nie wiem, czy mój mózg to wytrzyma.

WOJCIECH BONOWICZ: Przygotowując się do naszej rozmowy, poczułem się trochę jak student...

KS. PROF. MICHAŁ HELLER: Do wieczności trzeba się przygotować.

Tak. Ale ja poczułem się jak student, który przygotowując się do egzaminu, zdaje sobie sprawę, że nie za bardzo rozumie, co właściwie studiuje. Chciałem Cię zapytać, czy dużo rozmyślasz o wieczności i czy rozmyślasz więcej niż kiedyś?

Wieczność jest przede wszystkim obecna w moich książkowych obowiązkach. Tam jest ona na co dzień. Otwieram brewiarz i już mam przypomnienia o wieczności. Idę do kościoła, sprawuję sakramenty i już wieczność się pcha sama, czy chcesz, czy nie chcesz. Czasem jestem przy umierającym. Nie pracuję w duszpasterstwie, więc to mi się zdarza rzadko. Wtedy wieczność pcha się na całego. To zresztą jedno z najtrudniejszych zadań: pomagać komuś przejść do wieczności, gdy sam człowiek nie wie, jak to jest. Skutkiem tego, czasem muszę o niej rozmyślać.

A wtedy w księdzu odzywa się filozof?

O wieczności myślę trochę filozoficznie, trochę teologicznie. Czy częściej niż dawniej? Na pewno częściej niż wtedy,

JUSTYNA KRZEPKOWSKA



Kolumbarium na Starych Powązkach w Warszawie, październik 2020 r.

gdy byłem bardzo młody. I to są myśli dobre. Sądę, że jak człowiek się stara być mądry, to wybiega myślą naprzód. Gdyby ludzie myśleli bardziej perspektywnie, to by mniej głupstw robili.

Ale skąd się w ogóle pojęcie wieczności wzięło? Z religii?

Przypuszczam, że to pojęcie pojawiło się jako kontrast do pojęcia czasu, przemijalności. Jako pojęcie teologiczne bardzo powoli wyłaniało się z ludzkich przemyśleń. Kiedyś interesowałem się, jak to wygląda w Biblii. Rzecz ciekawa, w Starym Testamencie pojęcia nieśmiertelności, życia po śmierci czy życia wiecznego pojawiły się późno – w jasnej postaci dopiero

w Księdze Hioba i w Drugiej Księdze Machabejskiej. Księga Hioba nie wiadomo kiedy powstała, trudno z jej analizy wywnioskować czas jej napisania – wciąż są dyskusje na ten temat. Najczęściej przyjmuje się okres niewoli babilońskiej, czyli VI wiek przed Chrystusem. Mamy zatem długi okres historii Izraela bez pojęcia życia pośmiertnego. Natomiast Księga Machabejska jest ostatnią chronologicznie księgą Starego Testamentu, datowaną na koniec II wieku przed Chrystusem. Więc dosyć późno.

Oczywiście jakieś instynktowne intuicje, że śmierć nie jest końcem, objawiły się dużo wcześniej – mamy ślady tego w bardzo starych pochówkach.

Gdzieś się przechodzi – jeszcze nie wiadomo, gdzie...

...i trzeba ulubione potrawy zmarłego w grobie pozostawić, żeby jednak mógł się tam po drugiej stronie pożywić.

Biblia nawiązuje też do rozmaitych azjatyckich kultur, gdzie istniała np. koncepcja wiecznego powrotu.

Znawcy przedmiotu twierdzą, że pierwotnym rozumieniem wieczności było pojęcie kolistego czasu, które wzięło się z obserwacji zmian pór roku. U Greków pojawiła się idea wielkiego roku: niebo jest w ciągłym ruchu, jeżeli kiedyś położenia planet i gwiazd będą dokładnie takie same, jak już kiedyś były, to czas się zamknie i cykl się powtórzy. I znowu spotkamy się razem w tym miejscu i będziemy dyskutować o wieczności.

Ślady tej idei znajdziemy u Platona. W micie o stworzeniu świata w „Timajosie” demiurg wpatruje się w wieczne idee i na ich wzór tworzy wszechświat. Absolut platoński, idea dobra, jest wieczny – nie bierze udziału w przygodach czasu. Demiurg chciał stworzyć świat na wzór tej wieczności, ale nie dał rady. Materia nie wytrzymuje tego pojęcia. Wpatrując się w wieczne idee, demiurg zrobił więc coś, co jest najbardziej podobne do wieczności: czas. Jest on ruchomym obrazem wieczności. Chodzi właśnie o ten czas kolisty, zapętlony.

Ciekawe, że ta idea była bardzo żywa w starożytności. Co ją zwalczyło? Co przerwało to kołisko czasu? Otóż, gdy kultura grecka spotkała się z żydowską, nastąpiło rozwarcie tego koła. W Biblii mamy stworzenie świata na początku, które przerywa ten cykl. Potem przyszło chrześcijaństwo głoszące Wcielenie, Śmierć i Zmartwychwstanie Chrystusa. To są niepowtarzalne w historii wydarzenia, one się już nigdy nie zdarzą ponownie – czas się wyprostował. Idea linearnego czasu tak się zakorzeniła w kulturze, że dzisiaj uważamy ją za pierwotną. Czas to jest coś, co nie ma początku, nie ma końca, jest nieskończoną w obie strony linią prostą.

Doprecyzujmy. W tym wyobrażeniu kolistego czasu wieczność byłaby czym?

Kręceniem się w kółko.

Ale idee platońskie nie kręcą się w kółko, one istnieją w beczasowej rzeczywistości.

Materia, która podlega czasowi, bierze udział w wiecznych obrotach, bo nie może sprostać istnieniu wieczności. Idee – dobra, piękna itd. – istnieją poza czasem. Ale o wieczności (*aeternitas*) wprost mówił zwłaszcza Plotyn w III wieku. Pojęcie to przejęło chrześcijaństwo, głównie Orygenes i św. Augustyn. Ten drugi wniósł wiele do jego zrozumienia. Sławne jest rozważanie Augustyna, co to jest czas: wiem, dopóki mnie ktoś nie pyta. A co robił Pan Bóg, zanim stworzył wszechświat? To pytanie jest źle postawione, bo zanim Bóg stworzył wszechświat, nie było czasu, więc zdaniem Augustyna nie można takiego pytania stawiać.

Zatem w obu tych wizjach – Platona i Plotyna – to, co absolutne, istnieje zawsze w jakiejś beczasowości. Czy nie dlatego chrześcijaństwo wydaje się tak wyjątkowe, bo zlikwidowało dystans między tym, co doczesne, i tym, co wieczne? Czy to była rewolucja w myśleniu o wieczności?

Ten ewenement chrześcijaństwa, jak zauważyłeś, polega na tym, że wieczność wkracza w czas. Tego najbardziej wymownym znakiem jest Wcielenie. Rzecz ciekawa, pierwsze sobory chciały zrozumieć, na czym ono polega. Jak Bóg nieskończony dał się ograniczyć w czasie i przestrzeni? Niezjący już teolog protestancki Thomas F. Torrance napisał piękną, krótką książeczkę pod tytułem „Space, Time and Incarnation” (Czasoprzestrzeń i Wcielenie), w której właśnie opisał zmagania tych pierwszych trzech soborów z grecką koncepcją czasu i przestrzeni. Mierzyć się z tym problemem rozpoczęli Ojcowie Kościoła, swoją koncepcję wieczności zaproponował Boecjusz żyjący na przełomie V i VI wieku. Temat był aktualny przez całą scholastykę, zwłaszcza w myśli św. Tomasza, a w czasach nowożytnych u Leibniza. I to było rzeczywiście płodne spotkanie myśli greckiej z chrześcijaństwem, które zapoczątkowało coś nowego.

Rozumiem, że myśliciele ci szukali tylko jakichś przybliżeń, a ostatecznie zostajemy z paradoksem, o którym śpiewamy w kolędzie: „Ma granice Nieskończony...”

Oczywiście, że tego się nie da pojąć, jesteśmy w samym środku tajemnicy. Ale Ojcom Kościoła, którzy się z tym zma-

gali, przyświecał cel katechetyczny i misyjny. Chodziło o to, by prawdy biblijne zmieściły się w głowach, które były pełne kategorii greckich. Zresztą, ten sam problem mamy dziś. Jak ludziom przesiąkniętym kategoriami ponowoczesnymi przedstawić chrześcijaństwo, by było dla nich strawne?

I żeby im się jakoś zgadzało z tym, co o świecie mówi współczesna nauka.

Mocno podkreślam, że wszystkie wysiłki teologów i filozofów, żeby to zrozumieć, mają cel praktyczny – katechetyczno-misyjny. Natomiast gdy chodzi o filozofię, trzeba sobie zdać sprawę, że to, co wiemy z Objawienia, próbujemy ośwoić. Ale te wszystkie wyobrażenia, co to jest wieczność, jak ona ma się do czasu, są jedynie przybliżeniem, a prawie na pewno jest całkiem inaczej.

Łatwiej te oba porządki – doczesny i wieczny – trzymać na dystans. Wydawałoby się, że chrześcijaństwo powinno ten dystans znieść, skoro Jezus w pełni był człowiekiem. Tymczasem religia chrześcijańska ciągle zdaje się trzymać niebo wysoko nad ziemią. Czy nie powinniśmy myśleć bardziej bosko o naszej codzienności i bardziej codziennie o naszym Bogu?

Dotykasz ważnego problemu. Ów dualizm – np. podział na ciało i duszę – jest bardzo głęboko zakorzeniony w zachodniej teologii i filozofii. Dzisiaj coraz wyraźniej zaznacza się zaś w nich tendencja monistyczna. Na to tradycyjni teologowie bardzo się oburzają, mówią, że monizm kwestionuje podstawy wiary. Ale to chyba nie jest zakwestionowanie podstaw, tylko inne spojrzenie na rzeczywistość, która i tak wykracza poza nasze możliwości. W duchu współczesnego przyrodoznawstwa wydaje nam się, że rzeczywistość jest jedna, nie ma jakiegos innego świata, tylko jest jeden świat, który być może ma dwa bieguny, a one nie są drastycznie różne.

W Warszawie mieszka filozof, Mieszko Tałasiewicz, który głosi ciekawą koncepcję. Jego zdaniem nie ma sprzeczności między teologią a naukami, ponieważ nauka jest szczególnym przypadkiem teologii. Jak to uzasadnia? Jest jedna rzeczywistość, która obejmuje wszystko, a nauka zajmuje się tylko wycinkiem tej rzeczywistości, do którego stosuje swoje autonomiczne

→ metody. Dosyć radykalna koncepcja, ale nie pozbawiona pewnych racji.

Skoro mówiliśmy o popularnych wyobrażeniach: o czym sobie myślisz, gdy odmawiasz modlitwę „Wieczne odpoczywanie”?
Nie przepadam za tą modlitwą.

Dlaczego?

Wprawdzie odpoczynek to coś, co mnie bardzo często pociąga, bo go rzadko mam, ale jakbym tak miał wieczność całą odpoczywać, to raczej by mi się to nie za bardzo podobało. Oczywiście, rozumieniem intencję teologiczną tej modlitwy – po trudach i znojach życia wreszcie człowiek zasługuje na to, żeby jakoś skonsumować owoce tego życia. Ale dla mnie wieczność jest jednak pełna aktywności, tak przynajmniej ją sobie wyobrażam. Spodziewam się, że spotkanie z wiecznością będzie bardzo ciekawe. Dopiero tam zacznie się poznawanie wszystkiego. Tutaj znamy fragmenty, człowiek się uczy ciągle czegoś, coś nowego zdobywa. A tam wreszcie zobaczę, jak to wszystko jest. Rzeczywistość jest tak bogata i tak ciekawa, że wieczności zabraknie, żeby do końca wszystko zrozumieć. Tak rozumiem wieczną aktywność, i taki wypoczynek mi odpowiada.

Żeby jeszcze więcej pracować...

Ale mam nadzieję, bez tego ubocznego produktu każdej pracy, jakim jest zmęczenie.

Kiedyś napisałeś tekst pod zmiennym tytułem „Czasoprzestrzeń i wieczność”. Chciałbym Cię poprosić, żebyś przeczytał jego pierwszy akapit.

„Rano, zwykle o tej samej godzinie, wychodzę z domu. Zamykam drzwi na klucz. Schodami w dół. Przemierzam podwórko. W zimie jest jeszcze całkiem ciemno, a wczesną wiosną, jesienią nijako. Przechodzę przez bramę pod blokiem mieszkalcym. Wiosną na dachu sąsiedniej kamienicy gołębie na dobre rozpoczynają swój dzień. Mijam codziennie tych samych ludzi, spieszących do pracy, te same sklepy. Niektóre powstały całkiem niedawno. Przechodzę jezdnię na pasach i nieco zwalniam, bo jest bardziej pod górę. Już prawie pół drogi. Jeszcze tylko trzeba przejść jedną ruchliwą ulicę, a potem w dół. Spoglądam na zegarek. Nie muszę się spieszyć, jestem prawie u celu”.



GRAŻYNA MAKARA

KS. MICHAŁ HELLER (ur. 1936 r.) jest kosmologiem i filozofem specjalizującym się w filozofii przyrody, filozofii nauki i relacji nauka–wiara. Laureat Nagrody Templetona. Dyrektor i fundator Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych w Krakowie.

To jest Twoja codzienna droga do kościoła. Co nam chcesz powiedzieć poprzez jej opis?

Szeregim wydarzeń, które się składają na mój codzienny spacer poranny, chciałem zilustrować prosty fakt, że człowiek w każdej chwili zakreśla jakąś trajektorię w swoim życiu. W tym przypadku w przestrzeni zakreślam trajektorię od drzwi mojego domu do wejścia do kościoła. Ale można ten przestrzenny ślad wzbogacić i każdemu punktowi na tej drodze przypisać godzinę. Wtedy ślad w przestrzeni zamienia się w ślad w czasoprzestrzeni. Historię ludzkiego życia można postrzegać jako krzywą w czasoprzestrzeni. Czasoprzestrzeń złożona jest z punktów, a każdy punkt określają cztery liczby – trzy odnoszące się do miejsca i jedna określająca godzinę. Dlaczego o tym mówię? Bo tak jak w fizyce, na świat można spojrzeć dwojako. Albo ten świat rozpatrujemy jako linearny proces w czasie, o którym już trochę mówiliśmy...

Czyli jako historię.

Tak. Czas płynie, a w każdej następnej chwili niejako świat się wyłania. Tej chwili jeszcze nie ma, a on się wyłania. Stara chwila zapada się w nicość. To jest też ciekawe, że my istniejemy tylko jakby na „ostrzu brzytwy”, na styku przeszłości i przyszłości. Przeszłości już nie ma, przyszłości jeszcze nie ma. Ale w fizyce jest też inna koncepcja, wyrosła z teorii względności Einsteina, gdzie świat się przedstawia jako blok, jako czasoprzestrzeń właściwie, która istnieje cała naraz. W tej cza-

soprzestrzeni jest też zakreślona historia mojego życia: od początku do końca. I teraz tylko moja świadomość porusza się po tej linii w ten sposób, że zawsze dotyka tylko w jednym punkcie. Tak jak koło toczy się po ziemi, stykając się z nią tylko w jednym punkcie. To przemieszczanie się w czasoprzestrzeni po trajektorii naszego życia sprawia, że w naszej świadomości czas płynie. A on sobie nie płynie, to my płyniemy w czasoprzestrzeni.

Ta wizja miała wpływ na sztukę.

W literaturze znajdziemy utwory mówiące o możliwości wypadnięcia z czasu i wpadnięcia weń w innym punkcie historii.

W jednym z wierszy Rilkego to nie czas płynie, tylko my płyniemy w czasie. Dlaczego jednak we wspomnianym eseju o wieczności – mówię o czasoprzestrzeni? Wieczność jest istnieniem poza czasem, ale można to uogólnić i powiedzieć, że to istnienie poza czasoprzestrzenią. Oczywiście, to już nie jest teoria względności, tylko daleka jej teologiczna ekstrapolacja, ale punktem wyjścia jest ta sama koncepcja czasoprzestrzeni. Świat się dzieje w czasoprzestrzeni, nasze historie życiowe to poplątane krzywe w czasoprzestrzeni. Natomiast Pan Bóg na to patrzy jak gdyby z zewnątrz. On ma ogłęd całości: widzi początek naszego życia, koniec naszego życia, początek świata, koniec tego świata. Nie musi wpływać na to, co się dzieje w tym świecie. Tylko obserwuje.

Ma nas całych naraz.

Takie ujęcie ma wiele wspólnego z koncepcją Augustyna, który mówił, że Pan Bóg istnieje poza czasem, a jeszcze więcej z definicją wieczności Boecjusza – wieczność to jest posiadanie czasu w sposób doskonały, całego naraz. Czasem filozofowie zadają sobie pytanie: dlaczego wszystko nie dzieje się w jednym momencie, tylko jest rozciągnięte w czasie? W koncepcji czasoprzestrzeni jako bloku wszystko jest rozciągnięte w czasie, a Pan Bóg to widzi w ciągłym teraz, jakby z zewnątrz.

W tym eseju idę dalej i zastanawiam się, czym jest wieczność, w którą kiedyś wejść jako wierzący chrześcijanin. (Oczywiście podkreślam, że to jest moje wyobrażenie, za które nie biorę odpowiedzialności, a prawie na pewno wiem, że jest inaczej, jeszcze piękniej, jeszcze wspólniej). Wkroczenie w wieczność będzie

odzyskaniem swojego życia na nowo. Cała historia jest zapisana w czasoprzestrzeni, a mówiąc teologicznie: jest zapisana w Bożej pamięci. To nie przeminęło, to jest! Swoje życie odzyskuję w ten sposób, iż kontempluję je w Bogu zgodnie ze starą teologiczną prawdą chrześcijańską, że zbawienie polega na *visio beatifica*, czyli na zjednoczeniu z Bogiem i kontemplowaniu Boga.

Widzę swoje życie tak, jak je widział Bóg. Całe naraz.

Aczasowo. Nie wiem, jak to będzie w szczegółach wyglądać. Czy będę mógł podróżować po całym swoim życiu, tam i z powrotem, czy – przeciwnie – chwycić je jednym oglądem, czy jeszcze jakoś inaczej? W każdym razie kiedy myślę o wieczności, dostrzegam bogactwo różnych możliwości i dlatego jestem tak bardzo jej ciekawy. I trochę się człowiek nawet denerwuje, że czekanie na wieczność tak długo już trwa.

Mówiłeś, że wieczność będzie dynamiczna, nie będziemy się w niej nudzić.

Ja to nazywam aktywność, ale to nie musi być ruch podległy czasowi. Zapewne coś innego.

Jak się mają do siebie pojęcia wieczności i nieskończoności?

Pojęcie nieskończoności to ogromny temat w historii filozofii i w historii matematyki. Ograniczmy się do tej drugiej. W matematyce pojęcie nieskończono-

ści jest bardzo ważne i ma bardzo wiele twarzy. Niemal każdy dział matematyki ma swoją nieskończoność: ma ją arytmetyka, geometria, topologia. Każda jest pojęciem pokrewnym, ale trochę odrębnym. Wieczność jest nieskończonością czasu, zatem jest szczególnym przypadkiem nieskończoności. Z kolei w teologii jest jednym z najcenniejszych – moim zdaniem – określeń Pana Boga.

Powiedziałbym, że jedno i drugie pojęcie stawia opór naszej wyobraźni. Choć nieskończoność trochę jest chyba łatwiej ośwoić niż wieczność. Coś się ciągnie nieskończenie, np. polany na Orawie, jak to Józef Tischner opisywał. I wydaje się, że będziesz kosił, kosił i nigdy nie dokosisz do końca.

Chyba że się okaże, że Ziemia jest okrągła i nagle zaczniesz kosić na swoich plecach.

Pascal w słynnej sentencji mówił o nieskończoności: „Cisza tych wiekistych przestrzeni przeraża mnie”. Czy Ciebie wszechświat kiedykolwiek przerażał?

Wszechświat mnie ciekawi, a ciekawość to raczej jest oswojenie przerażenia. Jest w tym wręcz pewna agresja: chcę poznać, jak to jest. Natomiast czegoś pokrewnego, ale to nie jest przerażenie, czasem doświadczam. Kiedy myślę o takich rzeczach, jak nieskończoność, wieczność, ale nie naukowo, tylko pozwalam sobie na filozoficzną kontemplację, to czasem

czuję, że to jest tak wielkie, iż lepiej przestać. Coś w rodzaju obawy, czy mój mózg to wytrzyma.

Dzisiejszy świat jest doraźny, wiele rzeczy w nim jest krótkotrwałych. Może dlatego myśl o wieczności tak niektórych z nas pociąga?

Socjologia czasem działa w przeciwnym kierunku niż filozoficzna refleksja. A rzeczywistość, dzisiejszy świat dąży często do ułatwienia, do spłylenia, do wyeliminowania rzeczy, które wymagają głębszego myślenia. O, tutaj mamy wieczność przed sobą, mam wieczne pióro.

No tak, ja też mam. Ładnie się nazywa.

Można je bez końca napełniać i pisać.

Ale technika idzie naprzód, nasze ambicje trochę maleją i zamiast wiecznego pióra, co teraz mamy? Długopis. Zamiast „wieczne” mamy „długo”. Ale długopis kiedyś wyschnie, a może nawet nie wyschnie, tylko wyrzucimy go, bo na jakiejś konferencji dostaniemy w prezencie następny. I znowu technika idzie naprzód i co? Mamy już tylko mazak. Od wieczności do mazaka. Tak to nasze życie często wygląda.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

Powyższy tekst jest skróconym zapisem rozmowy „O wieczności” opublikowanej 11 października na kanale YouTube Copernicus Center w ramach Copernicus Festival 2020.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Dorota Mastowska,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz
Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał
P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocun, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmieńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski



S-NET zapewnia
wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Trzeci wymiar



KSIĘGA RODZAJU ZAWIERA TYLKO TRZY przykazania: zaludnianie ziemi, obrzezanie (zniesione przez św. Pawła dla nieżydowskich wyznawców) i powstrzymanie się od spożywania nerwu kulszowego. Po cóż nam więc te wszystkie opowieści

o protoplastach? – mógłby zapytać rozmówany w Bożym Prawie młodzieniec. Służą nauce moralności – mógłby odpowiedzieć jego nauczyciel. Istotnie, z bezpośrednich interakcji Najwyższego z ludźmi uczymy się właściwego postępowania. Mamy być jak On miłosierni i łaskawi – to żydowska wersja *imitatio Dei*, zwana za Pwt 28, 9 „będziesz chodził Jego drogami”.

A postępowanie samych Patriarchów? Oto, co robi Abram wkrótce po swoim powołaniu: zmuszony głodem zstępuje do Egiptu. „Teraz wiem, że jesteś piękną kobietą” – mówi do żony. Dopiero teraz to dostrzega? Wiedział zawsze – mówi komentator – ale teraz egzotyczna uroda połowicy jest dla niego problematyczna. Wprawdzie Bóg obiecał Abramowi liczne potomstwo, ale czy musi spłodzić je z Saraj?

Abram prosi żonę o współudział w oszustwie. Są partnerami – razem „robili dusze” w Charanie, czyli mieli udział w rozwoju duchowym ludzi, których wprowadzili pod skrzydła Bożej Obecności. Saraj ma powiedzieć, że jest siostrą Abrama – końcówka rozdziału 11 może co najwyżej sugerować, że jest jego bratanicą. Tak, bratanek Lot jest nazwany „bratem”, a „siostra” może znaczyć „bliska krewna”, ale nie czas teraz na genealogiczne półprawdy. Abram chce nie tylko przeżyć, ale też by mu się „dobrze działo”. Jako brat, pod nieobecność ojca, dysponuje seksualnością siostry, mogąc sprzedać ją przyszłemu szwagrowi. Saraj – z miłości? – godzi się być wymieniona na dobra materialne.

Próba ratowania reputacji Abrama idzie i w tę stronę: Abram nie każe Saraj kłamać, słowo wystarczy, by się rozwieść. Pozostawiona na pastwę lokalnego władcy, Saraj modli się w jego haremie. I tu z kolei komentatorzy-mężczyźni gimnastykują się, by udowodnić, że Boża interwencja ocala cześć matriarchini. Ta historia ma swoje alternatywne wersje w rozdziałach 20 i 26. Różnią się szczegółami – zamiast Egiptu mamy Gerar, raz jest to Abraham, raz Icchak, panowie kłamią już sami. Jest jednak postęp moralny – z ust władcy Geraru, Abimelecha, pada otwarta krytyka patriarchy, matriarchini pozostaje nieknięta, a Izaak pomnaża swój majątek legalnie.

Można patrzeć na praojców jak na postacie posagowe. Jednak rysa tu i tam dodaje im trzeciego wymiaru, sprawiając, że chętniej przyglądamy się ich życiu. I tym chętniej czytamy Księgę Rodzaju – jako serial w odcinkach o dysfunkcyjnej rodzinie, w którym jest wszystko: morderstwo, gwałt, kazirodztwo, przemoc, oszustwo. ©

O. WACŁAW

Oszajca: O świętych pięknie



UROCZYSTOŚĆ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH, czyli całego Kościoła, tych przed i po śmierci. W Credo mówimy: „Wierzę w świętych obcowanie”. A co z tymi ochrzczonymi, którzy są, jeśli są, w piekle? To również ich święto, przecież nie przestali być dziećmi Boga i na tym, paradoksalnie, polega ich nieszczęście; być nieskończenie blisko i nieskończenie daleko Tego, który kocha. Dajmy im znać, że nie wszyscy ich zniechawiali. Emily Dickinson mówi:

*„Dowiem się w końcu, dlaczego – u kresu
Czasu – gdy skończę już pytać, dlaczego:
Chrystus wyjaśni wtedy każdą z udręk
W świetlistej klasie, którą będzie niebo –*

*On mi przypomni obietnicę Piotra –
Ja w zamian – widząc, cośmy Mu zrobili –
Zapomnę kroplę tej Udręki, która
Parzy mnie teraz – parzy mnie w tej chwili!”.*

Chcąc trafić do nieba, trzeba swój los mocno związać z losem innych ludzi i świata, gdyż:

*„Kto Nieba nie znalazł tu – w dole –
Ten nie znajdzie go i w Niebie samym –
Dom sąsiedni wynajmują Anioły,
Dokądkolwiek się przeprowadzamy”.*

Wygląda jednak na to, że w przeszłości straciliśmy coś ważnego:

*„Umierający – dawniej –
Wiedział – że wnet się znajdzie
Tam – w Prawej Dłoni Pana –
Dziś – Pan się ukrył – Dłoń –
Amputowana –”.*

A przecież:

*„Bóg w samej rzeczy jest zazdrosny –
Jak dziecko – znieść nie potrafi,
Że każdy z nas z innymi ludźmi
Chętniej niż z Nim się bawi”.*

Leszek Kołakowski twierdzi, że to, co najlepsze w naszej kulturze, jest dziełem świętych, stąd te wiersze. O świętych trzeba mówić tak, jak Emily Dickinson w przekładzie Stanisława Barańczaka. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Wiele wymagać się będzie

Niemożliwość
jest drogą
do nadprzyrodzonego.
Można tylko do niej stukać.
Kto inny nam otwiera.

SIMONE WEIL



Głęboko w morzu
są niezmierzone bogactwa.
Lecz jeśli szukasz
bezpieczeństwa,
znajdziesz je na brzegu.

SUFİ SADI Z SZIRAZU



Wybrał PIOTR SIKORA



„KOMU WIELE DANO, od tego wiele wymagać się będzie; a komu wiele powierzono, tym więcej od niego żądać będą” – te słowa, wzięte z Ewangelii według św. Łukasza (12, 48), liturgia przypominała nam w ostatnim czasie. Przyznam się Wam, że był czas, gdy „znielubiłem” to Jezusowe powiedzenie – podczas formacji seminaryjnej powtarzano je nam niemal na okrągło, co nieco na moralizatorską modłę: „Popatrz! Tyyyyle otrzymałeś! Zobacz, kim jesteś (albo jeszcze lepiej: kim będziesz! To takie niezwykle wyróżnienie... Teraz musisz być wierny!”. Myślę o tego typu pouczeniach nie tylko bez sentymentu, ale również bez żadnego przekonania. Nie sądzę, by „to”, co otrzymałem od Jezusa, mnie wyróżniało (zwłaszcza w sensie: stawiało ponad innych) – każdy otrzymuje od Pana swój własny dar. Otrzymane „wiele” nie oznacza też wielu „talentów”, umiejętności, naturalnych predyspozycji (zdrowia, inteligencji), warunków życia i rozwoju (rodziny, środowiska), wsparcia ze strony ludzi etc.

Co tak naprawdę oznacza owo „wiele”?

Jak „wiele” nam dano?

Odpowiedź pada – jak mi się wydaje – werset wcześniej. Jezus mówi każdemu ze swoich uczniów, że jest jak

„niewolnik, który poznał wolę swego Pana” (Łk 12, 47). To zdanie odsyła nas do innego, wypowiedzianego podczas Ostatniej Wieczerzy, a zapisanego przez św. Jana: „Już was nie nazywam sługami (dosł. niewolnikami), bo sługa (niewolnik) nie wie, co czyni pan jego, ale nazwałem was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca mego” (J 15, 15).

Teksty te, czytane razem, docierają do mnie równie jasnym, co przejmującym przesłaniem: Oto jestem niewolnikiem, którego Pan nazwał swoim przyjacielem. Poznałem Jego wolę, bo chciał mi objawić wszystko. Nie chce, nie potrafi mnie dłużej traktować jak niewolnika. Objawia mi swoje zamysły, bo mi ufa – zaprasza mnie do współpracy ze sobą – w wolności, w odpowiedzialnej twórczości.

To „wiele”, co mi dano, to przyjaźń zaoferowana mnie przez Jezusa. Niewolnikowi – przez Pana. To codzienna zażyłość, która przekłada się na wzajemne poznanie. Pokój i pewność rodzące się z Jego „bycia przy”.

Czy mógłbym dostać jeszcze coś więcej?

Przyjaźń – to oczywiste – rodzi zobowiązanie. Przyjaciół ma prawo, by oczekiwać „więcej”. I to więcej ma charakter nie tyle ilościowy, co jakościowy – więcej o miłość, więcej o wierność zapropinowanej relacji. ©

CYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 XI)

31. niedziela zwykła – Uroczystość
Wszystkich Świętych: Ap 7, 2-4. 9-14;

Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;

Poniedziałek: Hi 19, 1. 23-27a; Ps 27;

1 Kor 15, 20-24a. 25-28;

Łk 23, 44-46. 50. 52-53; 24, 1-6a;

Wtorek: Flp 2, 5-11; Ps 22; Łk 14, 15-24;

Środa: Flp 2, 12-18; Ps 27; Łk 14, 25-33;

Czwartek: Flp 3, 3-8a; Ps 105;

Łk 15, 1-10;

Piątek: Flp 3, 17 – 4, 1; Ps 122; Łk 16, 1-8;

Sobota: Flp 4, 10-19; Ps 112; Łk 16, 9-15;

32. niedziela zwykła: Mdr 6, 12-16; Ps 63;

1 Tes 4, 13-18; Mt 25, 1-13.

W POSZUKIWANIU STRACONEGO UMIARU

Zmiany postaw zachodzą w Polsce na tyle powoli, że mogą pozbawić PiS władzy dopiero za jakieś dziesięć lat. Chyba że realia – w tym kryzys wywołany pandemią – poważnie zachwieją obecną równowagą obozów.

JAROSŁAW FLIS

WYDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO, ŻE DRUGA fala pandemii odciągnie uwagę od napięć w obozie rządzącym czy rozważań nad przetasowaniami w opozycji. Jednak wyrok ogłoszony przez Trybunał Konstytucyjny nie daje szansy na spadek politycznej gorączki. Także dwudniowa debata sejmowa nad kolejną specustawą covidową pokazuje, że nawoływanie do narodowego porozumienia albo sprowadza się do nieprzekonującego marketingowego triku, albo rozbija się o rafy takich właśnie wewnętrznych rozgrywek.

To, co zdarzyło się w czasie krótkiej przerwy pomiędzy wyborami prezydenckimi a drugą falą pandemii, można sprowadzić do jednego problemu, przed którym stają oba obozy: czy w kolejnych wyborach uderzać na przeciwników frontalnie, skrzydłem czy klinem? Także dlatego, że kiedy pandemia, miejmy nadzieję, wreszcie minie, znajdziemy się w nowej sytuacji ukształtowanej nie tylko przez nadciągające wydarzenia, ale i przez to, co bezpośrednio je poprzedziło.

Najbardziej spektakularnym wydarzeniem była rekonstrukcja rządu i kryzys całego obozu władzy, który pojawił się przy tej okazji. Ujawniły się bardzo głębokie podziały pomiędzy Morawieckim

i stawiającymi na niego ludźmi (w tym prezesem Kaczyńskim) a Zbigniewem Ziobrą, na którego również mogłaby się orientować część działaczy PiS (stąd obawy wśród liderów partii o jego rosnące znaczenie). Do rządu wrócił Jarosław Gowin, lecz stracił swoją najbardziej obiecującą współpracownicę – Jadwigę Emilewicz. Wszystkie te personalno-frakcyjne podchody mają w tle dylemat strategiczny: czy najważniejsze starcie na zakończenie tej kadencji odbędzie się na społecznej prawej flance – w postaci sporu z Konfederacją o obyczajowych konserwatystów – czy też może jednak w ideowym centrum, wśród wyborców niechętnych jakimkolwiek radykalnym krokom?

Gra na pęknięcie

Jednym z ciekawych elementów tego kryzysu była kwestia negocjacji z potencjalnymi partnerami, którzy mogliby pomóc w usunięciu Ziobry – a jego ambicje zdają się zdecydowanie przerastać jego realne zasoby. Przez całe lata to PiS był w nastroju nieprzysiadalnym – obecnie próba negocjacji z PSL, podobnie jak wiosenne otwarcie się na Konfederację, zakończyły się fiaskiem i upokorzeniem



ANDRZEJ HULINKA / FORUM

dla partii rządzącej. Skoro ugrupowania mogące jedynie pomarzyć o takim poparciu jak PiS nie dają się skusić, oznacza to, że grają na pęknięcie w samym PiS.

Na pewno jedną ze składowych ich decyzji jest fakt, że partie te boją się PiS w jego obecnym kształcie. Czują się zupełnie nieprzystawalne do tego, co on reprezentuje. Jeśli chodzi o Konfederację, znaczenie ma tu profil ideowy. Choć personalnie zdają się w niej obecnie wygrywać spadkobiercy ruchu narodowego, to jednak ideowo ugrupowanie przesuwają się w miejsce, które przez lata umościł sobie na scenie politycznej Korwin-Mikke: bardzo silny akcent na wolność gospodar-



Marsz dla Życia i Rodziny. Warszawa, 20 września 2020 r.

czą i sceptycyzm wobec administracji rządowej.

Nie ma też wątpliwości, że przynajmniej w przypadku PSL istotną barierą przed podjęciem współpracy jest centralizacja partii rządzącej, która zupełnie rozchodzi się z wyobrażeniami działaczy PSL na temat codziennego funkcjonowania. Jednocześnie zastrzeżenia budzi brutalność i toporność działań obozu władzy, zarówno jeśli chodzi o media, z Jackiem Kurskim na czele, jak i o wypowiedzi członków z drugiego szeregu, którzy próbując się przypodobać prezesowi, są skłonni w każdą stronę rzucać określeniami, dla których słowo „nieprzyjemne” jest sporym eufemizmem.

Jak nie odbić centrum

Dylematy po stronie opozycji są tak naprawdę podobne – przynajmniej tej jej części, która przed rokiem odniosła sukces w wyborach senackich, formując wspólny blok. Największa partia opozycyjna i jej reprezentant, który omal nie wygrał wyborów prezydenckich, to naturalna kandydatura do przejęcia władzy. Nie jest to jednak aż tak oczywiste. Skąd biorą się problemy PO i brak entuzjazmu wobec tej partii, widoczny w braku sondażowego wzrostu i wyczuwalny wśród zaplecza medialnego, które kibicuje anty-PiS-owi?

Na pewno wpływ na to mają wewnętrzne napięcia i spory o przywództwo. Kierownictwo PO w osobie Borysa

Budki nie jest szczególnie mocno osadzone w siodle. Jednak problem z odzyskaniem niegdysiejszej pozycji sondażowej bierze się z istotnych zmian w elektoracie tej partii. One zaś mają związek z generalnymi zmianami wśród wyborców.

Jeśli spojrzeć uważnie na badania w ramach Polskiego Generalnego Studium Wyborczego od 2007 r., widać, że PO oddała PiS oraz Konfederacji istotną część tego elektoratu, który jeszcze w 2007 r. nadawał jej ton. Wtedy większość jej zwolenników określała swoje poglądy jako prawicowe, w szczególności łączące się z liberalizmem gospodarczym. Ci, którzy przyznawali się do poglądów lewicowych, stanowili niewielki margines. ➔

→ Dziś proporcje te nie uległy może całkowitemu odwróceniu, ale brakuje do tego niewiele.

Największą grupą wśród głoszących na PO w 2019 r. są ci, którzy swoje poglądy określali jako lewicowo-liberalne. Tyle tylko, że jest to akurat jedna z mniej licznych grup polskiego społeczeństwa. Ten narożnik naszego boiska jest zdecydowanie mniej zaludniony od matecznika PiS – czyli osób o poglądach prawicowo-solidarystycznych. PO wciąż koncentruje się na agendzie, która jest daleka od tego, co interesuje umiarkowanego i konserwatywnego wyborcę. A to jego odbicie z kręgu PiS wydaje się niezbędne do przejęcia władzy.

Wewnętrzne napięcia w partii wypchnęły z niej wielu konserwatywnych działaczy, którzy cieszyli się mocną pozycją lokalną i nie byli wciągani na listy jako wizytówki, żeby nie powiedzieć – kwiatki do kożucha. Dzisiaj pozycja takich osób (przejętych kiedyś z PiS), jak Paweł Kowal, Joanna Kluzik-Rostkowska czy Paweł Poncyliusz, jest po prostu słaba.

Do tego trwa nieoczywista rywalizacja z Lewicą, która jest podzielona, a jej elektorat zbliża się i swobodnie przepływa do PO. Rywalizacja ta odpowiada za przesunięcie środka ciężkości zwolenników PO w lewo. Arbitrem w tym wyścigu o wyborców są warszawskie media, które mają swoją własną agendę: przekonanie o nieuchronności zmian (choć od lat wcale one nie następują), ataki skierowane w stronę Kościoła i pozycji religii w życiu publicznym. Trudno przyciągnąć w ten sposób wyborców wahających się między rządzącymi a opozycją. I nie sposób prowadzić frontalnego ataku z zamiarem ich odbicia, jeśli się musi nieustająco poświęcać uwagę rozgrywkom w sztabie, a lewe skrzydło stale domaga się koncentracji sił na własnym programie, w przypadku innego rozłożenia akcentów grożąc odmową udziału we wspólnym wysiłku.

Kto osłabi Konfederację

Jeśli spojrzeć na przechyły społeczne, polskie społeczeństwo jest cały czas przechylone ku poglądom prawicowym i w stronę opiekuńczego solidaryzmu, który podkreśla rolę wspólnoty, tak w kwestiach ekonomicznych, jak i obyczajowych. Rządy PiS doprowadziły do polaryzacji i zmniejszenia środka, chociaż nadal może on przeważać szale.

Ważna grupa trzymająca w Polsce realną władzę, czyli samorządowcy, **pozostaje z daleka od ugrupowań opozycyjnych.**

Część z nich oczywiście wyrosła z opozycji, ale nawet oni zachowują dystans.

W odróżnieniu od czasów PO, gdy liczba osób deklarujących swoje poglądy jako lewicowo-liberalne w zasadzie się nie zmieniała, za pierwszej kadencji obecnych rządów PiS grupa ta wyraźnie urosła, ale dalej stanowi mniejszość. Nie jest już marginalna – stała się z pewnością głośniejsza i lepiej widoczna, ale nie znaczy to wcale, że łatwiej przyciągnie wahających się wyborców. Ma raczej większą pewność siebie, stawia dalej idące postulaty i nie czuje potrzeby kłaniania się umiarkowanym.

Jeśli spojrzeć na dzisiejsze sondaże, pojawia się deska ratunku dla obecnej partii rządzącej, która może sprawić, że plany odsunięcia PiS od władzy okażą się nierealistyczne. Językiem u wagi po kolejnych wyborach może stać się Konfederacja. Jej zasadniczym spoiwem jest kontrewolucyjna antylewicowość – w ujęciu ekonomicznym, a przede wszystkim obyczajowym i tożsamościowym. Stąd szansa na stworzenie rządu, w którym znalazłaby się i Konfederacja, i Lewica, jest praktycznie żadna. Gdyby się okazało, że to od Konfederacji zależy, kto stworzy rząd, dawałoby to PiS nadzieję na utrzymanie się u władzy nawet przy istotnych stratach poparcia.

Stąd dla opozycji kluczowe jest pytanie, kto weźmie na siebie osłabienie nie tyle PiS, ile Konfederacji. Kto odbierze jej tę część elektoratu, która kiedyś była jedną z podpór PO. Chodzi o osoby, które uważają, że „ten Korwin to czasem ma rację, ale generalnie to wariat”. PO ma z tym problem, bo takich osób nie da się przyciągnąć, tocząc jednocześnie walkę z Lewicą o to, kto będzie wyrazicielem postulatów postępowej agendy. Sporo zwolenników Szymona Hołowni z wyborów prezydenckich rekrutowało się z takiego

grona, lecz gdy zaczyna się budowanie reprezentacji sejmowej od byłej posłanki Wiosny, ruszyć w ich kierunku będzie trudno.

Tłok w centrum

Nawet jeśli w społeczeństwie zachodzą powoli zmiany w kierunku wyrównania sił, to biorąc pod uwagę dotychczasowe tempo i wyjściowy układ, można szacować, że sytuacja, w której obóz lewicowo-liberalny będzie toczył wyrównaną walkę z obozem prawicowo-solidarystycznym bez szukania dodatkowych sojuszników i z jednym, spójnym i jednoznacznym przekazem (jak podpowiada PO wielu dziennikarzy) – nastąpi mniej więcej w 2031 r. Czyli po 16 latach rządów PiS.

Nie wszyscy chcą uczestniczyć w tak długim marszu. Świadomość przechyłu w społeczeństwie jest jednym z istotnych powodów, dla którego ważna grupa trzymająca w Polsce realną władzę, czyli samorządowcy (lepiej nie wyobrażać ich sobie jako prezydentów największych miast, raczej jako burmistrzów miast powiatowych), trzymają się z daleka od ugrupowań opozycyjnych. Część z nich oczywiście wyrosła z opozycji, ale nawet oni zachowują dystans.

Również z tego powodu na środku sceny politycznej pojawiają się inicjatywy, które w założeniu miałyby odebrać władzę PiS pod innymi sztandarami niż tęczowe. Najświeższą z nich jest ruch Wspólna Polska Rafała Trzaskowskiego, powołany w zasadzie na ostatnim oddechu, zanim wszystkie przekazy zostały zdominowane przez nawrót epidemii. Fakt, że w gronie tym znalazła się grupa prezydentów największych miast, którzy zostali wybrani pod szyldem PO i z jej wsparciem, ale najwyraźniej nie są traktowani przez aparat PO jako „swoi”, jest znaczącym sygnałem. W którą stronę rozwinię się ten ruch – nie wiemy, ale wydaje się on miejscem dla tych, którzy palą się do polityki, ale nie chcą się zaciągać.

To formuła powszechnie praktykowana na poziomie burmistrzów miast powiatowych, gdzie pod lokalnym szyldem tworzy się szersze koalicje. Są one traktowane jako swoje przez osoby o jednoznacznej identyfikacji partyjnej, a jednocześnie osobom pozbawionym takiej identyfikacji mogą się wydawać czymś nowym i niezależnym od central partyjnych. To raczej platforma wyborcza,

która będzie się wpasowywać w lokalne warunki, ale być może wnosząc nową jakość (np. przez umiejętność tworzenia wydarzeń medialnych czy wagi związanej z ogólnopolską skalą działania).

Podobnie wyglądał pomysł Szymona Hołowni na jego ruch. Tak jak Trzaskowski, Hołownia wytracił wcześniejszą dynamikę, ale wiemy z doświadczenia, że nadmiar dynamiki powoduje czasem uderzenie wody sodowej do głowy lidera. Być może przejście surowej próby właśnie teraz będzie czymś, co pozwoli zbudować coś trwałego. Pytanie, czy w Polsce znajdzie się dostatecznie wielu ludzi, którzy chcą się zaangażować w jakiś projekt nie akcyjnie, ale wspierać go stale, by zmieniać rzeczywistość inaczej niż przez wpisy na Facebooku. Którzy umieją budować sieci społeczne i pokazywać swoje kompetencje przez rozwiązywanie konkretnych problemów, wcale nie spektakularnych.

Pod tym względem byłaby to zapewne jakaś miejska wersja PSL. Aktywność lokalnych działaczy to jasna strona środowiska ludowców. Na ich przykładzie widać jednak także ciemną stronę takiej struktury. Jeśli podobna platforma okaże się skuteczna, może po prostu stworzyć kolejną siłkę, służącą rozdzielaniu fruktów władzy. I stanie się raczej biurem pośrednictwa pracy niż sposobem na angażowanie ludzi z potencjałem do realnego zmieniania własnego otoczenia.

Wśród pretendentów do zajęcia środka sceny politycznej panuje jednak za duży tłok. Polaryzacja w polityce zawsze odbywa się w ramach przeciągania liny między rządem a opozycją, a im bardziej konfliktowe decyzje podejmuje rząd, tym bar-

dziez uczucie uogólnionej, głębokiej niechęci staje się rdzeniem opozycji. Wtedy ci, którzy chcą szukać porozumienia, nagle mogą okazać się zmiażdżeni przez wielkie społeczne emocje. W centrum łowić jest łatwiej, lecz to wcale nie znaczy, że najłatwiej łowi się pod centrowym szyldem.

Minimum republikańskie w zaniku

Pamiętajmy, że to część wyborców Hołowni i Kosiniaka-Kamysza z pierwszej tury przeważała szalę zwycięstwa na korzyść Andrzeja Dudy. Przed opozycją staje problem, jak nie przepchnąć na stronę PiS tych właśnie wyborców i ich całych formacji. Ale największym zagrożeniem dla ewentualnych przegrupowań jest to, co może zdarzyć się w samym PiS – w tym ostatnia jego radykalizacja.

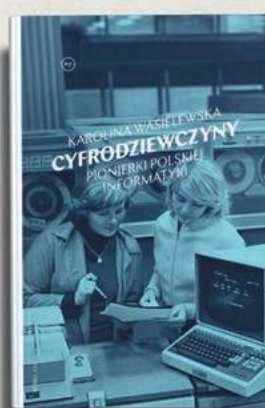
Ważnym głosem dotyczącym losów tej strony polskich podziałów jest dyskusja wśród liderów Klubu Jagiellońskiego. Pozyskanie sympatii tego środowiska przed 2015 r. było jednym z symptomów przełamania przez PiS wcześniejszej niemocy. Obecnie przeważają tam głosy, że innej prawicy niż PiS nie będzie (jedyną alternatywą jest Konfederacja, która z racji swoich, łagodnie to nazywając, ekstrawagancji w duchu amerykańskiego *alt-right* nie kwalifikuje się do racjonalnego rządzenia państwem). W głosach tych przewija się bolesna dla samych autorów konstatacja, że pozycja, jaką ma w tym momencie Morawiecki wraz ze swoim otoczeniem, to maksimum wpływu na rzeczywistość, jaką mogą mieć w Polsce siły republikańskie. Ugrać wiele się nie da – lecz alternatywy brak.

Wydaje się to podejście mało ambitne jak na ludzi stojących na początku potencjalnych karier politycznych. Jeśli spojrzeć na los przyszłej władzy i rządów w Polsce, gra odbywa się w czworoboku pomiędzy PiS, PO, PSL i Konfederacją. Frontalne ataki lewicowo-liberalnej opozycji na razie wyłącznie cementują obóz rządzący. Jednak podnoszenie spraw takich jak aborcja jest dla polityków pragmatycznych niewygodne. Nie brakuje w obozie władzy osób, które widzą, że podgrzewanie podziałów i konfliktów oraz uleganie kolejnym widzimisię prezesa to nie recepta na narastające problemy. Deklaracje premiera o obronie przed ekstremistami ktoś może zacząć traktować poważnie – a to oznaczałoby odcięcie się od sporej części własnego zaplecza.

Można sobie wyobrazić, że w nadchodzących trzech latach obu stronom uda się skutecznie wbić klin w obóz przeciwników, doprowadzając do wspomnianego przekonfigurowania i odwrócenia sojuszy. Można spekulować o odtworzeniu w oparciu o ruch Hołowni, Porozumienie Gowina, środowisko samorządowców oraz prawe skrzydło PO ruchu odwołującego się do pierwotnego sensu Platformy. Reszta zaś tej partii stworzyłaby z Lewicą jednoznaczny ideowo blok. Taki scenariusz powinien wisieć wciąż nad głowami liderów PiS i PO, składając do starannego wyboru strategii. Dwie ustabilizowane – wydawałoby się – partie mają potencjał, by rozwiązywać problemy kraju, nie zaś je mnożyć. Mijające tygodnie pokazują, jak bardzo go marnują.

© JAROSŁAW FLIS

REKLAMA



Prądu naszego powszedniego

IZABELA ZYGMUNT, AKTYWISTKA CEE BANKWATCH NETWORK:

W polskich domach w trzy lata zainstalowano fotowoltaikę o mocy dwóch gigawatów. To nieprawda, że energetyczna przyszłość Polski spoczywa w rękach państwowych kolosów.

MAREK RABIJ: Co sobie myśli „zielona aktywistka” jak Pani, słuchając zapowiedzi rządu, który niespodziewanie zmienia narrację i przyznaje, że Polska jednak musi zrezygnować z energetyki węglowej?

IZABELA ZYGMUNT: Nie mam poczucia wygranej, jeśli o to pan pyta. W tych zapowiedziach nadal jest zbyt wiele sprzeczności, niejasności i znaków zapytania.

A wierzy w nie Pani?

Zmiana narracji bierze się z czynników czysto ekonomicznych, nie ekologicznych, to po pierwsze. Poza tym proszę zwrócić uwagę, że harmonogram polskiego odchodzenia od węgla kamiennego nie pokrywa się z agendą Unii Europejskiej, która swoje plany powiązała ściśle z prognozami klimatologów. My tymczasem mówimy, że owszem, włączymy się w ten proces, ale na swoich warunkach, wolniej, co może świadczyć o tym, że Warszawie nie chodzi o to samo, o co chodzi reszcie Europy.

Moje zdziwienie słabnie, kiedy czytam choćby informacje z Niemiec. Berlin zamyka elektrownie atomowe, żeby ich miejsce zajęły jak najszybciej źródła odnawialne. Tylko że brakujące moce trzeba tymczasowo uzupełnić elektrowniami gazowymi. Trudno uwierzyć, że względy klimatyczne grają tutaj pierwsze skrzypce.

Nie wszystkich decyzji energetycznych Niemiec chciałabym bronić, ale w ostatecznym rozrachunku dla klimatu istotne jest to, jak szybko spadają emisje dwutlenku węgla. Niemcy w 2019 r. ograniczyli je o ponad 6 proc. W tym samym czasie w Polsce emisje wzrosły.

Polska nie ma wprowadzić elektrowni atomowej ani wielkich szans na dorobienie się jej, ale za to przystępuje do transformacji energetycznej w momencie, gdy w zasięgu ręki są inne, pod wieloma względami lepsze rozwiązania. Dzięki opóźnionemu startowi możemy dekarbonizować energetykę taniej, niż robiły to kraje Europy Zachodniej. Technologie zeroemisyjne szybko tanieją. Dotyczy to również magazynowania energii, czyli czegoś, co długo stawiało pod znakiem zapytania sens budowy systemów bazujących głównie na źródłach odnawialnych.

Zależnie od poglądów narzekamy – albo na rządy niezdolne do popchnięcia transformacji, na górniczych związkowców, którzy bronią swoich miejsc pracy, nie oglądając się na interes wspólny, albo na Brukselę, która chce nas nawracać, nie licząc się z polskim zapóźnieniem. Tylko że prądu nam od tego nie przybywa.

Jeśli będzie pan oceniać sytuację energetyczną Polski wyłącznie z perspektywy tego, co się dzieje w ministerstwach, to taki obraz panu faktycznie wyjdzie. Na szczeblu rządowym mamy zastój i wciąż nie dorobiliśmy się klarownej i realistycznej wizji transformacji.

Patrzę na to z perspektywy mieszkańca jednego z większych polskich miast, który zimą kaszle od smogu, a latem słyszy nawoływania, żeby oszczędzał prąd, bo przeciążony system może nie wytrzymać.

Akurat samorządy są bardzo zainteresowane szybką transformacją energetyczną. Jeśli czegoś im brakuje, to współpracy



po stronie władz centralnych, przede wszystkim w sferze legislacyjnej. Myślę, że w wielu miastach i gminach termomodernizacja budynków, wymiana kotłów węglowych i rozwój lokalnej energetyki postępowałyby o wiele szybciej, gdyby Warszawa wyposażyla samorządy w jasne przepisy albo wprost nie blokowała pewnych inicjatyw na poziomie regulacji.

Na przykład?

Chociażby tzw. ustawa antywiatrakowa. Energetyka wiatrowa rozwijała się w Polsce prężnie, aż w 2016 r. zaczęło obowiązywać nowe prawo, zaostrzające warunki budowy elektrowni wiatrowych. Być może rząd faktycznie chciał jedynie uporządkować kwestie lokalizacji farm wiatrowych. Przy okazji wybito jednak zęby całej branży, która mogła mieć duże znaczenie dla polskiej energetyki, bo jest to źródło prądu najtańsze i zarazem bardziej stabilne niż energia słoneczna. Wiatr wieje przecież także w nocy. Efekt jest taki, że rozwój energetyki wiatrowej w Polsce właściwie zamarł na cztery lata. Dopiero niedawno, przy okazji rekonstrukcji rządu pojawiły się głosy, że być może trzeba te przepisy znowelizować.

Albo przepisy regulujące działalność spółdzielni energetycznych. Taka armia małych żołnierzy, spółdzielni energetycznych i gospodarstw domowych sprzedających nadwyżki wyprodukowanej energii może uczynić wspólny rynek energii bardziej konkurencyjnym, ale też bardziej odpornym. Unia od dawna projek-

*Elektrownia wiatrowa w Zagórze,
woj. zachodniopomorskie, 2015 r.*



DARIUSZ GORAJSKI / FORUM

tuje ten rozproszony system, wyposaża małe podmioty w nowe uprawnienia. Tymczasem w Polsce te zmiany w ogóle nie zostały jeszcze przeniesione do systemu prawnego, co sprawia, że zakładanie spółdzielni energetycznych wytwarzających niewielkie ilości prądu głównie na własny użytek staje się właściwie niewykonalne. Nie można ich zakładać w miastach – choć właśnie tu miałyby najwięcej sensu, bo na małym obszarze mogłyby obsługiwać wielu odbiorców. Próg wejścia też ustalono na absurdalnie wysokim poziomie.

Ta władza ma słabość do wielkich projektów infrastrukturalnych.

Projekty na większą skalę też nie dostają od Warszawy należytego wsparcia. Z punktu widzenia samorządów bardzo ważny był rozwój klastrów energetycznych, czyli lokalnych porozumień producentów, przedsiębiorstw zajmujących się magazynowaniem energii i wreszcie samych konsumentów – firm, instytucji samorządowych i mieszkańców. Zdecentralizowany model produkcji energii z punktu widzenia odbiorców jest optymalny. Po pierwsze, prąd staje się tańszy, po drugie powstaje, jeśli można tak powiedzieć, na miejscu, co eliminuje ryzyko przerw w dostawach spowodowanych złym stanem starej sieci przesyłowej i zwiększa bezpieczeństwo dostaw dla szpitali oraz innych strategicznych instytucji. Kiedy rząd zapowiedział przygotowanie ram prawnych dla klastrów,

zainteresowanie było ogromne. Pamiętam tłumy na konferencjach poświęconych tej tematyce.

Skończyło się wielkim rozczarowaniem, kiedy okazało się, że przepisy tak naprawdę niczego tu ani nie upraszczają, ani nawet nie uściślają. Ramy prawne nie określały chociażby, na jakich zasadach operatorzy sieci dystrybucyjnych mieliby współpracować z klastrami.

Kreśli tu Pani obraz sprzeczny z popularnym wyobrażeniem o samorządach, które w kwestiach energii potykają się o własne nogi – czego dowodem chociażby nieskuteczna walka ze smogiem w dużych miastach.

Bo ten obraz jest faktycznie zafałszowany. Jeśli spojrzymy na wykorzystanie funduszy unijnych na zieloną transformację w kończącej się perspektywie budżetowej, można łatwo wyrobić sobie taką krzywdzącą samorządy opinię. Na zieloną transformację energetyki wydaliśmy zaledwie ok. 7 proc. pieniędzy, które udostępniła nam Bruksela – co było jednym z najniższych wyników w Europie. Polski rząd miał wtedy inne cele, zmiany klimatyczne nie uchodziły za tak palącą kwestię. Ale oddolne zainteresowanie pieniędzmi na transformację energetyczną przerosło podaż. Warszawa z unijnej puli przeznaczyła na ten cel po prostu za mało.

Analizowaliśmy, jak to wyglądało na szczeblu województw, gdzie w wielu

przypadkach dochodziło do sytuacji, kiedy łączna wartość projektów zgłaszanych do sfinansowania ze środków unijnych przekraczała dostępny budżet nawet dziesięciokrotnie. Gminy dosłownie ustawiały się w kolejce po pieniądze na tzw. projekty parasolowe, w ramach których instalowano fotowoltaikę. Na szczeblu krajowym też było wesoło, bo kiedy rząd postanowił rozwiać klastry energetyczne, wstrzymał nabór na dofinansowania do budowy OZE niezwiązanych z klastrami w centralnym programie „Infrastruktura i Środowisko”. Kiedy w końcu ruszył nabór dla klastrów, okazało się, że projekty jeden po drugim odpadają z finansowania, bo największym zainteresowaniem cieszyły się inwestycje wiatrowe i słoneczne, tymczasem rząd chciał wspierać tzw. źródła sterowalne, czyli np. elektrownie na biomasę. W rezultacie i tak niewielką pulę środków na instalacje OZE rozdysponowano z dwuletnim opóźnieniem.

W bieżącym budżecie na stole leżą 72 mld euro z funduszy spójności plus 23 mld euro z funduszu odbudowy. Łącznie z dodatkowymi środkami na pożyczki – jakieś 700 mld zł do wydania, ale z zastrzeżeniem, że co najmniej 37 proc. tych pieniędzy pójdzie na cele zbieżne z unijną polityką klimatyczną. Mamy więc szansę na duży finansowy impuls, ale pytanie, czy damy radę go wykorzystać

Znowu poproszę o przykłady.

Jeśli spojrzysz pan do przepisów, okaże się, że polskie prawo wciąż nie przewiduje funkcjonowania czegoś takiego jak magazynowanie energii. Nie ma taryf za takie usługi. W cennikach opłat przesyłowych nie ma też specjalnej stawki za wysłanie prądu do magazynu, a to oznacza, że opłatę sieciową trzeba ponieść i wtedy, kiedy energię się wysyła do magazynu, i wówczas, gdy się ją z niego pobiera. Kiedy słyszymy o nieopłacalności tego typu rozwiązań, warto wiedzieć, że nie bierze się ona z niczego.

Pytanie, czy w oparciu o takie magazyny energii i rozproszony system możemy w Polsce zbudować coś, co zastąpi starzejące się



→ elektrownie węglowe. W ciągu kilku najbliższych lat z systemu wypadnie nam kilka bloków energetycznych. Budowa elektrowni w Ostrołęce stanęła w miejscu.

Wiem, dokąd pan zmierza, i nie zgadzam się z taką wizją. Kiedy pojawiły się fundusze unijne, nagle okazało się, że Polacy chcą źródeł odnawialnych.

W polskich domach w dwa lata zainstalowano fotowoltaikę o łącznych mocach nominalnych sięgających dwóch gigawatów, a chętnych na kolejne instalacje coraz szybciej przybywa. Poza tym mamy ogromny potencjał ograniczenia zapotrzebowania na energię, zwłaszcza w budynkach. To najtańszy sposób na ograniczanie emisji – i przy okazji wyeliminowanie smogu. Proszę mi więc nie mówić, że energetyczna przyszłość Polski spoczywa w rękach państwowych kół. Mamy alternatywę.

Tylko jak dokładnie powinien wyglądać polski miks energetyczny? Ilekoć za temat wezmą się specjaliści od atomu, natychmiast wychodzi im, że bez siłowni jądrowej ani rusz. Kiedy o tym samym piszą ludzie od zielonej energii, okazuje się, że mogą nam wystarczyć same OZE. Wiele bym dał za obraz oczyszczony z zakłóceń, jakie wprowadza taka gra interesów.

To proszę pytać w kancelarii premiera. Jakiś czas temu rząd zamówił w renomowanej firmie doradczej kompleksową analizę możliwych scenariuszy rozwoju polskiej energetyki do 2050 r.

Czytała ją Pani?

A skąd! Schowali te dokumenty do szuflady.

©© Rozmawiał MAREK RABIJ



IZABELA ZYGMUNT jest tłumaczką i ekolożką; była urzędniczką w instytucjach UE, obecnie działa jako aktywistka

organizacji CEE Bankwatch Network i Polskiej Zielonej Sieci.

Cztery łapy ratownika

KRZYSZTOF STORY

Pies ma wymyślić rozwiązanie sam. On ma chcieć się nauczyć i pracować. Bo kiedyś od tej chęci może zależeć czyjeś życie.

WAKCJI POSZUKIWAWCZEJ DANIELA brało udział prawie tysiąc osób. Chłopiec wyszedł z domu w podkarpackich Izdebkach 13 listopada 2018 r. Szedł odwiedzić babcię, widziano go nawet w pobliżu jej domu. Później ślad po nim zaginął. Wiadomo było, że jest leczony neurologicznie, ma problemy z komunikacją. Na miejscu pracowało kilkuset żołnierzy, policjanci, strażacy, zaangażowali się też mieszkańcy. Kilkuosobowe zespoły przeszukiwały kolejne sektory. Po dwóch dniach wygłodzonego i wyziebionego 12-latkę znalazła Mija. Czarny labrador retriever z podhalańskiej grupy GOPR.

– Gdy przeszukujemy lawinisko, pies zastępuje sześciu ratowników. Podczas poszukiwań w lesie nawet dwunastu – mówi dr Jacek Falkenberg, szef Podkomisji Psów Ratowniczych GOPR.

Przy okazji wspomina eksperyment, który kiedyś przeprowadził Andrzej Górowski, ratownik GOPR i specjalista w pracy z psami ratowniczymi. Na dziesięciu hektarach otwartego terenu szukano dwóch pozorantów. Dwudziestu siedmiu ratownikom zajęło to pół godziny, dwóm psom – pięć minut.

– One wyczuwają to, co dla nas nie istnieje. Psi węch jest kilkaset razy czulszy niż nasz – tłumaczy Falkenberg.

Tully kocha piłkę

Rozmawiamy, siedząc na trawie w Parku Zdrojowym w Łądku-Zdroju. Obok mnie leży owczarek, suczka Tully, i bawi się swoją ukochaną piłką. Jej przewodniczką jest Paulina Dziejma z karkonoskiej grupy GOPR.

– Imię mówi wszystko – do przytulania zawsze jest pierwsza. Tully ma dwa i pół roku. Jest już po testach kwalifikacyjnych, była ze mną na trzech akcjach, ale cały czas się szkolimy. Za pół roku czeka nas egzamin na tzw. A-klasę.

Obecnie w GOPR służy kilkanaście psów ratowniczych. Co roku biorą

udział w kilkudziesięciu akcjach poszukiwawczych. Każdy duet pies-przewodnik musi cały czas się doszkalać. Między 12. a 24. miesiącem życia psa muszą zdać egzamin kwalifikacyjny. Później przed upływem 36 miesięcy podejść do egzaminu na A-klasę.

– Jeszcze kilka lat temu psie ratownictwo w GOPR było na zupełnie innym poziomie. Dzisiaj, porównując się z innymi państwami, naprawdę nie mamy się czego wstydzić – twierdzi Jacek Falkenberg.

Udowodnili to chwilę przed naszą rozmową. Na tegorocznym Festiwalu Górskim w Łądku-Zdroju odbył się specjalny pokaz. Trawa, na której siedzimy, przed chwilą była placem treningowym dla 11 psów (i ich przewodników). Trzy z nich leżą teraz koło mnie. Oprócz Tully jest Rabka (owczarek niemiecki Jacka Falkenberga) i Arco – przesympatyczny rudzielec (retriever z Nowej Szkocji), z którym pracuje Patryk Czermak.

Uczymy się uczyć

Psy mają zasłużony odpoczynek, przewodnicy opowiadają. Tully strzyże czarnymi uszami.

Paulina: – To jest jak wychowanie dziecka. Musisz nauczyć go wszystkiego.

Patryk: – Nasze psy często wsiadają do helikoptera. Są opuszczane w uprzężach. Arco pierwszy raz latał śmigłem, mając trzy miesiące.

Paulina: – I jeśli chcesz mieć psa, który nie boi się śmigłowca, musisz mu pokazać, że ten śmigłowiec jest fajny. Że hałas jest super, bo wiąże się z nagrodą. Że wiatr w uszach jest naprawdę w porządku, a przypadkowe dźwięki to nic strasznego. Warunkujesz każde zachowanie.

Cały proces zaczyna się od nauki pracy z klikerem. Małe plastikowe urządzenie wydaje charakterystyczny



Pies Arco podczas pokazu ratownictwa na festiwalu górskim w Łądku-Zdroju, wrzesień 2020 r.

dźwięk, który oznacza, że zaraz pojawi się nagroda – smakolek. Na początku pies uczy się związku między dźwiękiem a nagrodą – wtedy na kliknięcie przewodnik ma dwie sekundy.

Patryk: – Później ten czas się wydłuża, żeby psina przemyślała, za co dostaje laury. A później nagroda staje się niepotrzebna. Sama czynność jest nagrodą. Arco uwielbia tunel (kilkometrowy materiałowy komin, przez który pies musi przebiec). Dla niego nagrodą po tunelu jest drugie przebiegnięcie tunelu.

Jacek: – Na początku pies musi odnosić sukcesy. Musi nauczyć się, że wymyślanie nowych rzeczy, nowych rozwiązań jest nagradzane. My tak naprawdę uczymy psa się uczyć.

Paulina: – Pierwsze treningi prowadzimy w sterylnych warunkach. Ale przecież prawdziwe akcje tak nie wyglądają. Na końcu treningu psa ma nie rozpraszać nic. Ani suczka w cieczce, ani startujący helikopter, ani nawet defilada wojska.

Psia łacina

To jeden z najważniejszych i najtrudniejszych elementów szkolenia. Pies podczas akcji musi być całkowicie skupiony na pracy i zawsze „odwoływalny”. Na jeden sygnał swojego przewodnika ma natychmiast wrócić.

– Pies ratowniczy służy do pracy. Jest narzędziem – mówi Jacek Falkenberg. – To się może wydawać oschłe, ale musimy tak na to patrzeć. Także ze względu na bezpieczeństwo zwierzęcia.

– Co jest najtrudniejszą częścią szkolenia?

– Sam początek. Wybór psa.

– Zaskoczyło mnie, że GOPR-owe psy są raczej małe, spodziewałem się ras dużych, masywnych.

– To muszą być psy kompaktowe, pracujące. W trakcie akcji poruszają się po gruzach, chodzą po budynkach. Często latają śmigłowcem, często trzeba psa komuś podać. Owczarek ważący 42 kilogramy nie zawsze jest najlepszym wyborem.

– Czyli bernardyny z beczką brandy na szyi...

– To tylko na filmach.

Oczywiście psy ratownicze muszą mieć odpowiednio grubą sierść. Często spędzają wiele godzin na mrozie. Nie noszą brandy, ale mają własny sprzęt – kamizelki odbłaskowe, obroże z GPS, uprząż do desantów ze śmigłowca. Znaczenie ma też płęć. GOPR preferuje suki – jest mniej potencjalnych problemów przy pracy w grupie. Ale to nie kryteria fizyczne są najważniejsze.

– To muszą być psy o silnej motywacji, z mocną psychiką.

– Jak sprawdzić poziom motywacji u szczeniaka?

– Popularny jest tzw. test Campbella. Testuje się towarzyskość psa. Jak reaguje na obcych? Czy bawi się aportem? Co robi, kiedy znika przewodnik? Radzi sobie czy skamle, bo nie wie, gdzie jest pańca...

– Wiele z tych rzeczy można wypracować później.

– Oczywiście. Ale jeśli weźmiemy psa, który nie nadaje się do ratownictwa, to szybko dojdziemy do poziomu, którego już nie przeskoczymy. Bez surowej selekcji nie można mówić o psim ratownictwie na wysokim poziomie. Tu nie ma miejsca na sentyment, tak działają wszystkie służby.

– Twoja Rabka nadaje się na ratownika?

– To jest trudny pies. Brakuje mu ciszy i spokoju w głowie. Uwalnia emocje, zamiast przekierowywać je w pracę. I naprawdę jestem gotowy sprzedać psa i kupić innego. To nie jest łatwe. Wiem, jak to brzmi. Ale my mamy ratować ludzi na najwyższym poziomie. Nie mamy czasu na inwestowanie w psa, który nigdy tego poziomu nie osiągnie.

Każda faza szkolenia psa to wyzwanie i ciężka praca dla obu stron. Od wyboru hodowli i rasy po zestaw komend i dietę – wszystko ma znaczenie. O pierwszych 9 miesiącach Jacek mówi, że najchętniej pominąłby ten etap.

– Wtedy pies jest jak dziecko. Powinien poznawać świat. Praca z nim powinna ograniczać się do tłumaczenia mu, że świat jest super. Że nie trzeba się go bać. Że nie można być agresywnym. Pokazujemy, co jest czerwone, a co zielone. Literkę A i literkę B. Jak niemowlęciu. Czasami widzę, że dalej popełniamy błędy. Że chcemy efektów za szybko. Pies ma rok albo 10 miesięcy, a my mamy oczekiwania. Przecież to jest jeszcze dzieciak. On ledwo umie mówić, a my oczekujemy, że będzie płynnie gadał po łacinie.

Smutne szczekanie

Psy ratownicze w polskich górach po raz pierwszy pojawiły się 20 marca 1968 r. Potężna lawina w Białym Jarze w Karkonoszach porwała wtedy 24 osoby. Lawinisko miało ponad kilometr długości i 40 metrów szerokości. Na pomoc wezwano wszystkie możliwe służby, w tym także psy ratownicze należące do czeskiej Horské Służby. Prawdopodobnie pomogły →

→ one odnaleźć cztery ciała ofiar. W tamtej lawinie zginęło 19 osób z Polski, Niemiec i ZSRR.

– Dzisiaj psy są osobno szkolone z poszukiwania osób martwych. Po 48 godzinach od śmierci zmienia się zapach naszego ciała i pies musi go rozpoznać – mówi Jacek Falkenberg. – Używamy innych próbek zapachowych, np. spreparowanych świń. Samo szukanie przebiega dokładnie tak samo. Ale jest jedna niewytłumaczalna różnica. Gdy psy znajdą żywego człowieka, szczekają energicznie i długo. Gdy znajdą ciało, zaczynają zwalniać, zawodzić. Nie uczymy ich tego, po prostu tak robią. Szczekają na smutno.

Wtedy w 1968 r. pracę czworonogów na lawinisku obserwował ratownik Piotr Lucerski. Stwierdził, że GOPR także powinien szkolić swoje psy ratownicze. Zamiar udało się wcielić w życie sześć lat później. Pierwsza wzmianka o szkoleniu psów do ratownictwa górskiego pochodzi z 1974 r.

– Psy na lawinisku są niesamowicie efektywne i do dzisiaj każdy pies u nas zdaje specjalność lawinową – mówi Falkenberg. – Stukrotnie przyśpieszają pracę, którą normalnie trzeba wykonywać sondami. I mniej obciążają stok, dzięki temu jest bezpieczniej.

– Ale pracują nie tylko przy lawinach?

– Nasze psy są szkolone do poszukiwania osób żywych i martwych w każdym środowisku. Często uczestniczymy w akcjach na prośbę policji i innych służb.

Rabka jest drugim psem, z którym pracuje Jacek. Pierwszy był owczarek niemiecki Rico (już na emeryturze). Brali udział w osiemnastu akcjach poszukiwawczych. Wspomina tę w okolicach Kowar, gdy po dwóch godzinach znaleźli zaginionego mężczyznę.

– Jak uczycie psy rozpoznawania zapachów?

– W treningu wprowadzamy ślad. Uczymy też nawęszania, psy szukają próbek na ścianie zapachowej. Tully jest w tym mistrzynią, widać to było na pokazie. W większości akcji jest tak, że osoba poszukiwana wyszła z domu albo z samochodu – jest więc skąd podjąć ślad.

– Jak Rico znalazł tamtego mężczyznę?

– Trzeba by jego spytać. My się w ogóle nie skupiamy na tym, czy pies idzie „górnym”, czy „dolnym” wiatrem. On jest tutaj o wiele mądrzejszy niż my. Jeśli po-

Psy ratownicze muszą mieć odpowiednio grubą sierść.

Często spędzają wiele godzin na mrozie.

Nie noszą brandy, ale mają własny sprzęt

– kamizelki odbłaskowe, obroże z GPS, uprząż do desantów ze śmigłowca.

czuje zapach na ziemi, przyłoży nos i złapie ślad. W innej sytuacji pójdzie z podniesionym pyskiem. Może coś usłyszy. To on się na tym zna najlepiej. My nigdy nawet nie wiemy, którym zmysłem pies namierzył człowieka.

1500 godzin

Jacek tłumaczy, że nie tylko od czasów lawiny w Białym Jarze, ale nawet przez kilka ostatnich lat poziom czworonoznego ratownictwa górskiego bardzo się zmienił.

– Podchodzimy do tego coraz bardziej profesjonalnie, zaczynając już od wyboru psa. Tutaj popełnialiśmy najwięcej błędów. Wielu przewodników kierowało się innymi względami niż tylko te zawodowe. To są nasze prywatne psy. Nie mamy zapasowego życia bez nich. One wracają z nami do domów. I często wybieraliśmy takie, które do tych domów pasowały.

By zostać przewodnikiem, ratownik GOPR musi po prostu chcieć. Może wtedy liczyć na konsultacje i pomoc w wyborze rasy czy nawet konkretnej hodowli. Paulina Dziejma od początku wiedziała, że w ratownictwie będzie jej towarzyszyć pies. Tully została wybrana jako idealna kandydatka na ratowniczkę.

– Każdy z nas ma normalne obowiązki ratownika GOPR. Tully zawsze jeździ ze mną na dyżur – mówi Paulina. – Jeśli mamy akcję bez psów, po prostu na mnie czeka. Zawsze szkoliłam ją tak, żeby była pozytywnie nastawiona do obcych. Na ćwiczeniach nagroda zawsze pochodziła od pozoranta.

– Arco prawie niczego się nie boi – dodaje Patryk. – Kiedyś podczas szkolenia przeszukiwaliśmy ruiny. Arco nagle wyskoczył z pierwszego piętra. Skończyło się na otarciach, ale do dzisiaj ma ksywę „Kaskader”.

Paulina mówi, że oczywiście psy są ich przyjaciółmi. Ale to nie przekreśla profesjonalnego podejścia do treningu. Także w trosce o bezpieczeństwo czworonogów.

– Parę lat temu wyglądało to zupełnie inaczej – dodaje Jacek. – Jeździłem na szkolenia prywatnie, z własnych pieniędzy. Dzisiaj pracujemy z najlepszymi na świecie. Zaczynamy szkolić psy metodą „nepopo” zaprojektowaną przez Barta Bellona. Jako Podkomisja organizujemy cztery szkolenia centralne w ciągu roku. Mamy też wyjazdy zagraniczne. I oczywiście sami pracujemy z psami na co dzień.

– To pochłania mnóstwo czasu.

– Dlatego sporo ludzi odpada. Nawet jeśli są świadomi, nakład pracy często ich przerasta. Przykład: przyjeżdżam specjalnie na trening. Mam konkretny plan, czasu niewiele. Pies wychodzi z klatki. Pięć minut na toaletę, a potem trening. Pies wie, że jeśli będzie współpracował, dostanie jedzenie. A okazuje się, że Rabka jest zainteresowana wszystkim, tylko nie ćwiczeniem. Węszy, rozprasza się, ignoruje.

– Co wtedy?

– Czekam trzy minuty. A potem z powrotem do klatki i jedziemy do domu. Godzina zmarnowana. A następnego dnia przyjeżdżam znowu.

Paulina Dziejma dodaje: – Tak naprawdę to są bardzo proste metody. Do psa staramy się mówić po psiemu. Szkoda, że dla ludzi przetłumaczenie się na psi nie jest takie łatwe.

Jacek Falkenberg: – Podstawowa zasada brzmi: aktywny pies, reaktywny trener. Ja siedzę na krzeselku i obserwuję. Pies ma wymyślić rozwiązanie sam. On ma chcieć się nauczyć. Chcieć pracować. Bo kiedyś od tej chęci może zależeć czyjeś życie.

Jacek, Patryk i Paulina są ochotnikami. Ratownikami i przewodnikami goprowych czworonogów są wyłącznie dla satysfakcji. Obok tego mają swoje zawody, muszą zarobić na utrzymanie.

– Ostatnio policzyłem, ile w ciągu roku spędzam na pracy z psem – mówi Jacek. – Wyszło między 1500 a 2000 godzin.

© KRZYSZTOF STORY

ANNA

Dziewit-Meller:

Emily w izolacji



NO WIĘC JESZCZE NIE KWARANTANNA, JEDYNE samoizolacja na własne życzenie – tak spędziłam niemal dwa ostatnie tygodnie. Cień covidu przebiegł w pobliżu mnie, więc na wszelki wypadek siedziałam w czterech ścianach, ograniczając

kontakty międzyludzkie do zera. Zresztą, choć ostatecznie wyszło, że nie przecięły mi się ścieżki z nikim oficjalnie zakażonym, to wciąż odczuwam całkowity brak ochoty na spotkania na żywo z kimkolwiek. Po co kusić лихо, myślę sobie i siedzę na tyłku, sporadycznie tylko wyściubiając nos z domu, by kupić jedzenie. Dziś rano, po trzech dniach niewychodzenia, poszłam do piekarni, gdzie wdałam się w awanturę z panią bez maseczki, która nie tylko nie zechciała, jak inni, czekać w ogonku na zewnątrz, tylko weszła do środka – gdzie zaczęła kasłać.

Przyznaję uczciwie – to są chwile, gdy zmieniam się w potwora. Zaczynam się wręcz martwić, że kiedyś stracę z tego powodu zęby, bo w końcu jakiś koronasceptyk przejdzie od słów do czynów. Tu skończyło się tylko tak, że ja krzyczałam: „Czy mam na panią nakaszczyć?!” a ona wołała: „Niech pani się w domu zamknie, jak pani normalni ludzie przeskadzają”. Cel nieosiągnięty, nerwy w strzępach. Bez sensu, ale nie mam innego pomysłu na to, jak reagować inaczej niż impulsywnie i wrednie.

Staram się jakoś odczarowywać tę wściekłość, robiąc różne dobre i pożyteczne rzeczy: wpłacam na zbiórki charytatywne, obdzwaniam dawno niesłyszane osoby, odpowiadam na bardzo zaległe maile, a nawet skłonna jestem wyprasować w końcu jakieś ubrania. Przydadzą się w czasach, gdy znów będzie nas obchodzić to, jak wyglądamy. Bo na razie zamówiłam sobie w sieci trzy pary miękkich spodni dresowych – online widać mnie tylko do pasa.

Szukam też jakiegoś ukojenia, jakiegoś spa dla przeciępanego informacjami mózgu, a że medytacja i modlitwa to niestety nie mój paradygmat, zanurzam się w starych książ-

kach (wczoraj czytałam sobie „Pinokia”, przedwczoraj Gustawa Morcinka o Ondraszku) oraz oglądałam „wstydy” rzeczy. Czyli „Emily w Paryżu”. Serial, który wszyscy krytykują, ale i tak oglądają. Kiedy przyglądałam się własnemu zatopieniu w tej banalnej fabuлке, mam poczucie, że nadchodzi nowa era. Wszyscy będziemy za chwilę szukać pocieszenia, konsolacja stanie się ważną składową ludzkiej aktywności.

Serial naprawdę jest głupiutki i tak niebywale odrealniony, że gdybym była Francuzką, to bym protestowała, jak dziś rano w piekarni. W tej opowieści o dziewczynie z Chicago, która przyjeżdża do pracy w paryskiej agencji reklamowej, Francuzi to naród oblesnych erotomanów, których #MeToo się nie ima, są leniwi, staromodni i nie mają pojęcia o niczym prócz picia winka do obiadu. Jedną z centralnych postaci jest szefowa agencji, kobieta dojrzała, ustawiona w maksymalnej opozycji do młodej, pełnej entuzjazmu Emily. Personifikacja menopauzy z najgorszego stereotypu w duchu wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego. Serialowy Paryż jest czymś w rodzaju scenografii do zdjęć na Instagrama. Jedyni nie-biali to pracujący w agencji czarnoskóry gej i chińska przyjaciółka tytułowej bohaterki. W idealnym świecie nie ma też żadnych muzułmanów, wiadomo.

Ponieważ jednak zaniepokoił mnie stopień mojego zaangażowania w oglądanie tego wytworu (nie pamiętam, bym skłonna była zarywać noc dla serialu od czasu „Rodziny Soprano”), bacznie się przyglądałam tej produkcji i jej wpływowi na świat. I wychodzi mi, że jest ona odpowiednikiem tego, co Nigella Lawson, słynna telewizyjna kucharka, określiła mianem *comfort food*: jedzenia, które przynosi ukojenie, niesie przyjemnie nostalgiczne skojarzenia. Takie jedzenie jest często bardzo kaloryczne, niezdrowe, tłuste albo słodkie, tak że nie sposób po nie sięgać zbyt często. Niemniej, poprawia humor i są na to oczywiście naukowe dowody, amerykańscy naukowcy wszystko to już sprawdzili. Serial „Emily w Paryżu” jest zatem taką oto eskapistyczną przyjemnością, gdzie świat jest wyjątkowo piękny, ludzie dobrze ubrani, nie ma biedy ani dużego smutku, są chrupiące bagietki, dobry ser i szampan z własnej rodzinnej winiarni.

I choć w jednym z ostatnich odcinków kolega z pracy mówi entuzjastycznie jak zawsze Emily, że „nie można uciec od prawdziwego życia”, a ja to oglądałam, jedząc bagietkę z piekarni, w której pokłóciłam się z kobietą bez maseczki, to myślę, że chwilowo zrobię sobie dyspensę od martwienia się swoją ochotą ucieczki od życia w głupie seriale. Ono i tak mnie zaraz dopadnie. Trzymajcie się zdrowo i noście maseczki. ©

Już w najbliższym wydaniu
„Tygodnika Powszechnego”
dodatek specjalny

TYGODNIK
POWSZECHNY

Susza w Polsce

Dlaczego, mimo że opady nie maleją, mamy w Polsce stan suszy?
Czy polskie rolnictwo przetrwa w obliczu zmian klimatycznych?
Eksperti o suszy w sektorze rolniczym w Polsce – diagnoza i rekomendacje.



HEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA
Polska



ROZMOWA

ŻYCIE, TERAZ

NATALIA DE BARBARO, PSYCHOLOŻKA:

W terapii jest pojęcie reparentingu.
Jako dorosły bierzesz siebie z powrotem w opiekę jak rodzic.
To w tej chwili najważniejsze, co można dla siebie zrobić.



MARCIN ŻYŁA: Jak się masz?

NATALIA DE BARBARO: Teraz dobrze. Przeszłam kryzys. Gdybyś zadzwonił kilka dni temu, tobyś ci powiedziała, że mam się źle.

Mogę zapytać?

Poczułam się wyczerpana. Nieodpowiednio rozłożyłam siły. Chyba nie sądziłam, że ta jesień z epidemią będzie taka ciężka. Doszła perspektywa krótszych dni bez słońca. Poczułam, jakby niewiele zostało w moim baku.

I co?

Usiadłam, żeby pogadać ze sobą. Wykminiłam, że potrzebuję siły. Nie poduchy czy serialu, tylko siły fizycznej. To była odpowiedź z intuicji, z ciała. Zaczęłam ćwiczyć bardziej dynamiczne formy jogi: ashtangę, vinyasę. Pomogło.

Wiosna zmusiła mnie do inwentaryzacji. Przyszła pandemia i pytanie: „co masz?”. Ale co mam tak naprawdę – kiedy zdejmą dekoracje, kiedy nie mogę powiedzieć: „Przepraszam, nie dam rady teraz, jestem zarobiona”.

I co na tym sitku zostaje?

Pytania. Jaka jest jakość związku? Co się w nim dzieje, gdy jest ciężko? Jak wygląda więź z dziećmi, rodziną, przyjaciółmi? Jak podczas kryzysu traktują cię w miejscu pracy? Ja sobie te pytania stawiałam i to, co zobaczyłam w odpowiedzi, umocniło mnie.

A co zrobiłaś z wyczerpaniem?

Gdy byłam dziewczynką, babcia zabierała mnie na Kalatówki. Z Kuźnic to jakieś 20 minut marszu, ale ona co kilka minut się zatrzymywała, odwracała się, mówiła: „Popatrz, ile już uszliśmy”.

Teraz też wydaje mi się kluczowe, by stanąć, popatrzeć do tyłu na to, co zdarzyło się od marca, i pokłonić się wszystkiemu, co zrobiliśmy. Pokazaliśmy siłę życia. Wielu z nas robiło dobre rzeczy, pomogło innym, wszystko w roku, który – tak się wydaje – trwa już 10 lat. To ogromny wysiłek.

NATALIA DE BARBARO jest psycholożką i socjolożką. Prowadzi coaching, szkolenia z komunikacji i warsztaty dla kobiet *Własny Pokój*.

I teraz sobie podziękujmy?

Jeszcze w latach 60. psychiatrzy Thomas Holmes i Richard Rahe opracowali stustopniową skalę stresu. Śmierć współmałżonka to na niej 100, utrata pracy 47, Boże Narodzenie 12. Myślę, że w tym roku cała ludzkość, prawie każdy na tej planecie z okazji pandemii „dostał” dodatkowych kilkadziesiąt punktów.

Rozmawialiśmy ostatnio z moim mężem i prawie siedemnastoletnim synem o tym, że pandemia nas wzmocniła. Ale to nie było wcale oczywiste. Kiedy wiosną zamknęli szkoły, syn wyszedł pochmurny z pokoju i powiedział: „Nie wiem, czy to wytrzymam”. Ja na to: „Nie jesteś jedynym, który to będzie musiał wytrzymać. Wytrzymać będzie musiał każdy z każdym”.

Co zrobiliście?

Przegadaliśmy to. My w ogóle dużo gadamy. Co dzień siadamy do stołu i gadamy.

Zaczęliśmy nową rutynę – wspólne oglądanie seriali. A synowi, który jest skejtem, kupiliśmy rampę. Tuż przed lockdownem, bojąc się, że monterzy już nie dojadą, zdecydowaliśmy się na coś, co finansowo nie miało sensu, ale pozwoliło mu wychodzić z domu i oddawać się pasji. Było to jak ruch przeciwstawny w jodze: energia idzie w jedną stronę, ale ty dodajesz ruch w stronę przeciwną – z tego w ciele powstaje przestrzeń. Świat mówił: „Oszczędzaj, kurcz się” – a my wydaliśmy pieniądze.

Jechaliście na czołowe.

Tak, ale to miało dla nas znaczenie godnościowe. Przełamaliśmy dominującą energię, znaleźliśmy siłę, daliśmy sobie poczucie sprawstwa.

Dobrze, to był gest. A głowowo?

Ja mam taką hipotezę, że w tej sytuacji głowa nie jest największym sojusznikiem.

Wiedza nie zmniejsza lęku?

Przy jego małym poziomie – tak. Ale podczas pandemii odruchy umysłu nie zawsze nam służą. Zrobiono kiedyś takie badania, stenogram z myśli. Wyszło, że 80-90 proc. myśli jest niepotrzebnych – w kółko mielimy to samo. Nie jest to tak twórczy i produktywny proces, jak nam się może zdawać.

Umysł karmi się przeszłością albo przyszłością, bo inaczej nie miałby czego rozk-

miniać. Od terażniejszości jest ciało. Młócenie w głowie myśli i obaw tylko zwiększa nasze zmęczenie. Nie masz tak?

Gdy wizualizuję sobie wyjścia, rzeczywiście myślę metaforą ciała.

Na przykład, że mam dość chwytania się czegoś – nawet nadziei. Nadziei na co?

Różnych. Takich jak wszyscy – że to ominie moich bliskich, że się kiedyś skończy, że będzie szczepionka. I moich – że wrócę w góry albo zamieszkać na moment w innym mieście. No więc zamiast chwytąć, chciałbym twardo stanąć na nogach.

Właśnie, a stoi się tylko teraz, bo ciało jest teraz. Przeczytałam w jakiejś książce pisanej w duchu zen, że żyjemy w swojej głowie – tak jakbyśmy byli głową, chociaż nikt przecież nie myśli, że jest swoją ręką albo nogą.

A na przykładzie?

Budzę się i czytam tytuły: „W epidemicznych prognozach próżno dziś szukać otuchy. Scenariusze są czarne”, „Po pandemii koronawirusa przyjdą bakterie. Dopiero wtedy się zacznie”. Klikam na nie. Psychologia poznawczo-behawioralna nazywa to zachowaniem zabezpieczającym – klikam, żeby zdobyć informację, w złudzeniu, że się uspokoję.

Czasem przynosi to chwilową ulgę. Ale z każdym kliknięciem uprawdopodobniam, że zrobię to znowu. I wchodzę w spiralę lęku. Powiedzmy, że siedzę w miłym miejscu, za oknem mam klon, który zaczyna zrzucać czerwone liście, jestem zdrowa i bezpieczna – ale mój umysł karmi się zdjęciami szpitali, obrazami śmierci. Te obrazy są prawdziwe – ale to nie jest jedyna rzeczywistość. To tak, jakbym zażywała pastylki z opisem „stany lękowe” na opakowaniu.

Znajoma pisze: „Mam 14-letniego chłopca, który nosi maseczkę, bo wie, że tak trzeba, ale mówi też, że na dłuższą metę to i tak nie ma sensu, bo po epidemii przyjdą inne plagi, a planeta i tak zmierza ku zagładzie”. To już nie jest tylko tytuł prasowy. Co wtedy robić?

Popatrzeć na bezpośrednie otoczenie. Na to, co w tej chwili jest wokół ciebie, nie na ekranie. Szłam tutaj Planetami. Świeciło słońce. Wzięłam do ręki →

→ kasztan. To jest kawałek prawdy o moim dniu.

Eckhart Tolle w książce „Potęga teraźniejszości” postawił pytanie, które wiele razy mi się przydawało: „Czy masz problem w tej chwili?”. Nawet jeśli przyjdzie nam do głowy, że owszem, że pandemia, że kredyt, Tolle uprzą się z tym pytaniem: „Ale czy masz problem teraz, w tej sekundzie?”. I prawie zawsze okazuje się, że nie. Niestety, działa ten nieszczęśliwy mechanizm, że dopóki się martwimy, myślimy, że zapobiegamy nieszczęściu.

Tylko czy się temu dziwić? Może być tak, że za rok każdy z nas będzie miał wśród znajomych kogoś, kto umrze. Jestem fanem mikrozachwyków, ale w takiej perspektywie trudno się wzruszać kasztanem.

W sensie, że podjąłeś decyzję, żeby się martwić?

Po prostu się martwię, nic na to nie poradzę.

Ale czy twoje martwienie się zwiększa lub zmniejsza prawdopodobieństwo czarnych scenariuszy?

Jasne, że nie.

W takim razie to jest pytanie, ile swojego życia chcesz oddać słowu na „k”. Na Zachodzie mówi się: „Wszystko jest poza kontrolą, panikuj”. Na Wschodzie: „Wszystko jest poza kontrolą, odpręż się”.

Nie mówię, że sama to potrafię. Mówię tylko: mam aspiracje, żeby jednak żyć w teraźniejszości, a nie w umyśle podleganym lękiem.

To trudne w sytuacji, gdy możemy nieumyślnie kogoś zarazić. W wersji najczarniejszej – spowodować śmierć bliskiej osoby. Taka myśl paraliżuje.

Ale to też mało prawdopodobne. Po pierwsze, musiałbyś być zakażony, chociaż uważałeś. To oczywiście jest możliwe. Ale dodatkowo musiałbyś przechodzić to bezobjawowo. I jeszcze – zdecydować się spotkać z bliskim w momencie, kiedy to narusza zasady bezpieczeństwa, i jeszcze w sposób, który je narusza.

Wydaje mi się – i tutaj nasza głowa, konkretnie lewa półkula jest bardzo pomocna – że warto oddzielać fakty od wyobrażeń. Jestem za przestrzeganiem zasad. Wydaje mi się, że jestem ostrożniejsza niż większość ludzi. Natomiast wierzę też, że warto wzmacniać w sobie tę dojrzałą, spo-

Dobre są dla nas rzeczy proste,
małe, widziane z bliska
– czułe dotykanie
tkanki codzienności.

kojną, rozsądną, a równocześnie opiekuńczą wewnętrzną instancję. Jej zadaniem byłaby teraz opieka nad tym naszym zregresowanym, dziecięcym kawałkiem.

Czyli jakim dokładnie?

Gdy pojawia się lęk, stajemy się trochę kimś innym. Aktywizuje się nasz tzw. mózg gadzi, czyli pierwsza, najstarsza struktura, która powstawała wtedy, kiedy świat był bardzo niebezpieczny i ciągle trzeba było walczyć o przetrwanie, uciekać, gdy coś atakowało. Trudno nam sięgnąć do własnych zasobów – rozsądku, inteligencji, odporności psychicznej. Stajemy się przestraszonym dzieckiem. Kulimy się w sobie, kiwamy jak w chorobie sierocej, albo rzucamy się do internetu w nadziei – jałowej – że dostaniemy tyle wiadomości, aż się uspokoiimy. Uspokoileś się kiedyś tak?

Nie.

Bo tam w ogóle nie ma uspokojenia. Dlatego kluczową kompetencją w pandemii staje się inteligencja intrapsychiczna, wgląd w procesy, które we mnie zachodzą. Na przykład czuję lęk. I mogę zaobserwować, że tak się dzieje po tym, jak surfuję po pandemicznych nagłówkach i komentarzach.

A nie wymaga to paru lat terapii?

To na pewno pomaga, ale działa też wersja chałupnicza.

To jak to robić?

Ciągle pytasz, jak coś robić. To pytania ze świata działania, przedpandemiczne, sprzed czasu, w którym dowiedzieliśmy się, że nie mamy kontroli. Ja teraz wolę pytania o to, jak być – „jak być w tym czasie?”.

Zawsze było prawdą, że ostatecznie nie mamy kontroli.

Ale fasady wyglądały bardzo solidnie! Przez wiele dobrych lat karmiliśmy złu-

dzeniem swoje poczucie kontroli, nie uczyliśmy się tego, że nic nie jest trwałe.

Przed pandemią nie wchodziłam na worldometers.info i nie patrzyłam, ile ludzi codziennie umiera. Pomiędzy śmiercią bliskich miało kilka lat – w żałobie czułam, że świat jest nietrwały, ale potem wracałam do przekonania, że mnie to tak bardzo nie dotyczy. A w marcu tak jakby zbiorowo zorientowaliśmy się, że ludzie są śmiertelni.

Myślę, że inteligencję intrapsychiczną rozwija się przez zwykłą rozmowę ze sobą, sprawdzanie, jak się mam, co czuję w ciele – bez dodawania do tego osądu. Wystarczy się na kilka minut na krzesło, bez telefonu i laptopa na kolanach, żeby zobaczyć, że to wymaga odwagi. Oczywiście, łatwiej jest wejść na Google, wpisać „co zrobić, żeby było mi lepiej”, dostać sto rad, z wszystkimi się zgodzić i nic nie zrobić.

A co Ty robisz?

Żałuję, że mam minutę. Siadam w spokojnym miejscu. Biorę kilka głębokich oddechów, z intencją, żeby sprawdzić, jak się mam. Pytam się, życzliwie, sama siebie: Jak się masz, Natalia? Co tam masz teraz?

I co dalej?

Kiedy tak robię, dzieje się kilka rzeczy. Po pierwsze, wiem, jak się mam – wielu z nas orientuje się w tym dopiero, kiedy ciało zaprotestuje za pomocą dolegliwości czy choroby. Po drugie, jeśli, tak jak teraz, czuję lekkie napięcie w brzuchu, to się tego przed sobą nie wypieram i nie odbieram sobie krytykę prawa do tego stanu. Jeśli będę się karać za swoje uczucia, zwłaszcza te nieprzyjemne, wypchnę je poza zasięg świadomości i dopiero tam narobią szkody.

W terapii jest pojęcie reparentingu. Jako dorosły człowiek bierzesz siebie z powrotem w opiekę jako rodzic. Wydaje mi się, że teraz najważniejsze, co można dla siebie zrobić, to powiedzieć do siebie „widzę cię” i „usiąść” obok. Jeżeli mogę to zrobić, zatrzymuję kompulsywną pogoń za zewnętrznym poczuciem bezpieczeństwa. I wzmacniam siebie – a potem, rykoszetem, swoich bliskich. Jedna dojrzała, „osadzona w sobie” osoba w domu robi wielką robotę dla całej rodziny.

W języku tybetańskim nadzieja to „reta”, lęk to „dokpa”. Zbitka tych słów „re-dok” określa również

źródło cierpienia. Nadzieja zastawia sidła podobne do lęku?

Nie jestem wielką fanką nadziei. Jest w niej motyw, że coś jest nie tak z teraz. Bardzo mądry człowiek zapytał mnie niedawno: „Jak by to było powiedzieć temu teraz »tak«?”. Zapisałam to sobie na dużej kartce w moim pokoju. Patrzę na tę kartkę codziennie i czuję, że od tego parzenia mój oddech staje się głębszy.

Tylko że to teraz ciągle wydaje się nam tymczasowe. Oglądam serial na Netflixie, widzę w nim ludzi bez maseczek, jak podchodzą do siebie, i myślę: co robicie, odsuńcie się od siebie!

Mam tak samo. To pokazuje skalę naszego planktonu stresowego. Tego, ile my takich mikrokorekt musieliśmy wprowadzić w życiu od marca. Nasze ciała są w stanie podwyższonej czujności, a to kosztuje.

Żeby dobrze funkcjonować, potrzebujemy „wdechu”, czyli energii życiowej, i „wydechu” – wyciszenia, zejścia z bodźców. Jesienią, zwłaszcza tej jesieni, „wdech” jest ograniczony – jest mniej słońca, kontaktów z innymi, dotyku, choćby tego poprzez uściśnięcie ręki czy serdeczny uścisk. To trudna energetyczna sytuacja.

Dlatego podoba mi się podejście Si-meona Pressela, niemieckiego lekarza, twórcy szkoły masażu, który powiedział, że zdrowie jest sprawą moralności. Jestem przed sobą odpowiedzialna moralnie, żeby dbać o swoją dobrą formę.

Wiedząc, że dni będą jeszcze krótsze, że pandemia się jutro nie skończy, jak mogę o siebie dbać?

To, co nam naprawdę służy, jest często trudne na wejściu, a dobre na wyjściu. I odwrotnie. Te rzeczy, które nam nie służą, są łatwe na wejściu i nie regenerują. Mnie się wydaje, że teraz warto szczególnie sprzymierzać się ze swoim ciałem i z naturą.

Kojarzysz energię jin-jang? Czuję, że świat w tym momencie bardzo potrzebuje opisów i narracji z energii jin – energii wcielenia, kobiecej, ciała, mikro. Nie z energii makro, abstrakcji, idei. Że wielu z nas dobrze zrobią rzeczy proste, nie zapośredniczone przez ekran, rzeczy małe, widziane z bliska, coś, co nazwałabym czułym dotykiem tkanki swojej codzienności.

Pandemia jest jin?

W takim sensie chociażby, że pandemia to „wszyscy”, jest antyhierarchiczna. W jakimś wymiarze – zrównaliśmy się. Jesteśmy, jak śpiewał Soyka, „równi wobec czasu i płomienia”. I równi w śmiertelności, cielesności. Ciałem przychodzi śmierć, ale też czuję, że właśnie ciałem, oddechem i wysiłkiem fizycznym, możemy dać sobie odpoczynek. Ludzie zresztą często mówią, że odpoczywają dopiero, jak się zmęczą fizycznie na tyle, że ustaje gonitwa myśli w ich głowach.

Mnie wiosną w mieście wykończyły komunikaty z radiowozów. Wyjechałem. Rzeczywiście, były dni, gdy po godzinie biegania po lesie przestałem myśleć.

I gdzie była wtedy rzeczywistość?

No, uciekłem przed nią.

A ja czuję, że wtedy do niej dobiegłeś. Dotknąłeś swojego życia. Tobie pomaga las. Komuś innemu co innego. Dlatego warto zapytać siebie, czego nam brakuje, i poszukać pokarmu dla tego głodu; robić to codziennie. W tym naszym pandemicznym skurczu łatwo uwierzyć w to, że nic nie jest możliwe.

Często nie jest. Niczym nie zastąpisz dotyku, ciała, ciepła, spojrzenia.

Zgoda, to jest trudne. Widziałam takie sceny, niczym z bajki, że ludzie się ścisnęli z bliskimi będąc w kombinezonach.

To przecież jeszcze straszniejsze.

Jak patrzysz z boku, to może straszne, ale widząc twarze tych ludzi wiesz, że doświadczają czegoś, czego im brakowało. Ważne, żeby sięgać po pomoc. Są grupy sąsiedzkie, na Facebooku skrzykują się ludzie, którzy chcą innym pomóc.

Irlandia wprowadziła sześciotygodniowy lockdown. Nie wolno spotykać się z nikim spoza domu, ale jest wyjątek dla osób samotnych. Uznano, że to ważne, aby mogli dotaczać do innych.

Jaki to piękny pomysł! Teraz szczególnie ważne okazuje się, jaki poziom świadomości psychologicznej, dojrzałości i wrażliwości mają ludzie, którzy podejmują decyzje. W Nowej Zelandii, która jak dotąd najlepiej radzi sobie z koronawirusem, premier Jacinda Ardern zarządziła miesięczny lockdown. Od razu za to

przeprosiła. A obywatelom powiedziała: „Zachowuj się tak, jakbyś to miał”. A nie: „Bój się innych, unikaj ludzi”. Tak wygląda budowanie na empatii, a nie na strachu.

W Polsce jesteśmy skazani raczej na własne zasoby empatii, nie rządowe. Można pracować z własnymi przekonaniami. Ja absolutnie nie znosiłam widoku ludzi w maseczkach, zasłoniętych twarzy. Aż postanowiłam przyjaść, że na człowieka w maseczce będę patrzeć jako na kogoś, kto chce mnie chronić. Mogłabym pomyśleć, że zakłada ją, bo nie chce płacić mandatu albo dlatego, że się mnie boi – ale wolę założyć, że robi to dla mnie, bo ta wersja najbardziej mnie zasila.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: małe mieszkanie, trójka dzieci, dwie szkoły, starsi rodzice, którymi trochę trzeba się opiekować. I w tym wszystkim kobieta, matka, która ma dość.

No i znowu rekomendowałabym, żeby zaczęła od zadanego sobie samej pytania, czego potrzebuje. Zamyka się w łazience, pewnie to najspokojniejsze miejsce, bierze kilka oddechów. Co słyszy?

Że potrzebuje spokoju.

To ja bym zrobiła tak. W dniu, kiedy jest dobrze między nimi, prosi partnera o rozmowę. Mówi spokojnie, że potrzebuje dwa razy w tygodniu pojechać sobie dokądś sama – choćby do lasu pod miastem. Prosi go o zrozumienie. Pyta, w które dni byłoby to OK. Jeżeli on protestuje, upiera się, ale serdecznie. Przy założeniu, że to jest wystarczająco dobry związek, powinno się udać. Tylko najpierw ona sama musi to ze sobą wynegocjować, samej sobie pozwolić wyjść z tą potrzebą, że tak powiem, na powierzchnię.

Przyjmijmy, że się udało.

To jest wzięte z teorii autopercepcji Dar-ryla Bema: na podstawie tego, jak się zachowujemy i jak sami siebie traktujemy, wnioskujemy, kim dla siebie samych jesteśmy. Jeżeli ciągle siebie batożę i żyję na bezdechu, to daję informację, że jestem pomijalna dla siebie. Jeżeli dam sobie prawo do wytchnienia, wpuszczę w swój wewnętrzny obieg informację, że jestem dla siebie ważna.

To od takich rzeczy robi się w życiu jaśniej. ©© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

STRACH PRZED POWTÓRKĄ

Tracący w sondażach Donald Trump robi wszystko, by pozostać w Białym Domu. Eksperci studzą jednak entuzjazm tych, którzy myślą, że Joe Biden ma zwycięstwo w kieszeni.

MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU

ERIE W PENSYLVANII, WTOREK 20 PAŹDZIERNIKA. Donald Trump przyjeżdża na wiec wyborczy w tym podupadłym robotniczym mieście i przyznaje, że robi to z konieczności. Żali się swoim zwolen-

nikom, że ze względu na pandemię jego kampania przebiega gorzej, niż myślał, i że musi walczyć o każdy głos poparcia.

„Jeszcze cztery czy pięć miesięcy temu w życiu nie przyjechałbym do Erie – tłumaczy otwarcie prezydent. – Szczerze mówiąc, to nie musiałem (...). Mieliśmy najlepszą gospodarkę, wspaniałe miejsca pracy, wszystko było najlepsze. A potem zaczęła się pandemia i znów muszę się starać. Witajcie mieszkańcy Erie, czy mogą na was liczyć?” – pyta zebranych.

Prezydent w defensywie

W 2016 r. Trump uwiódł wyborców z Pensylwanii obietnicą nowych miejsc pracy i wygrał w tym stanie. Wprawdzie dzięki przewadze zaledwie 44 tys. głosów, ale wygrał. Dziś, na finiszu kampanii o reelekcję (wybory odbędą się w najbliższy wtorek, 3 listopada), próbuje odrobić sondażowe straty do Joego Bidena, który prowadzi w Pensylwanii przewagą niemal 5 punktów procentowych. Prezydent przegrywa też w Michigan (4,6 pkt. proc. różnicy) i Wisconsin (7,8 pkt. proc.): dwóch innych stanach z tzw. Pasa Rdzy,

dzięki którym cztery lata temu zdobył Białą Dom.

Według sondaży – uśrednionych przez portal RealClearPolitics – w skali całego kraju Biden ma przewagę nad Trumpem niemal 8 punktów procentowych. Jak wynika z zestawień z minionego czwartku 22 października, prezydent nieznacznie przegrywa także w innych kluczowych dla wyniku wyborów stanach, gdzie w 2016 r. zdobył przewagę nad Hillary Clinton: w Arizonie, Georgii, Iowa, Florydzie i Karolinie Północnej.

Starając się nadrobić sondażowe straty, od ponad dwóch tygodni Trump nie schodzi z kampanijnego szlaku. Oprócz tournée po kluczowych stanach, zawitał nawet do Kalifornii, gdzie wśród konserwatywnych bogaczy zbierał pieniądze na kampanię. Za obiad w towarzystwie prezydenta jego zwolennicy musieli zapłacić od 3 tys. do 150 tys. dolarów (w zależności od zajmowanego miejsca). Trumpowi przyda się taki zastrzyk pieniędzy, bo we wrześniu zebrał na kampanię „tylko” 248 mln dolarów – o jedną trzecią mniej niż Biden.

Dam wam buziaka

Finisz kampanii jest trudny dla Trumpa jeszcze z jednego powodu. Gdy na początku października trafił do szpitala z objawami COVID-19, złośliwi wieszczili, że nawet jeśli pokona koronawirusa, to z pewnością odpuści sobie więcej wyborcze. Jednak prezydent nie byłby sobą, gdyby zaledwie tydzień po wyjściu ze szpitala nie zor-



ganizował spotkania dla tysięcy zwolenników. W Sanford na Florydzie, gdzie zainaugurował swój wielki powrót, rzucał w stronę tłumu czerwone maseczki ochronne z napisem „MAGA” (skrót od *Make America Great Again*, Uczyńmy Amerykę na powrót wielką).

„Pokonałem wirusa i jestem teraz odporny – przekonywał Trump, który w ramach leczenia otrzymał m.in. eksperymentalny koktajl przeciwciał. – Czuję się taki silny! Pocałuję każdego na widowni, pocałuję mężczyzn i piękne kobiety, dam wam wielkiego buziaka” – mówił do zwolenników, którym najwyraźniej nie przeszkadzało, że dopiero co chorujący prezydent przemawia do nich bez maski. Sami stali zresztą w gęstym tłumie, wielu nie miało zakrytych nosa i ust.

„Zapewnię wam bezpieczną szczenię i szybką odbudowę kraju!” – obiecywał Trump. Zaatakował przy tym rywala, sugerując, że w przypadku wygranej Biden jeszcze bardziej pogroży amerykańską gospodarkę, wprowadzając „drakoński” lockdown. Po raz kolejny wyzwał go też od „marionetek skrajnej lewicy”.

„Joe Biden i socjaliści z Partii Demokratycznej zabiorą wam pracę, rozwiążą departamenty policji, zniosą ochronę granic, wypuszczą z więzień kryminalistów i skonfiskują waszą broń” – straszył Trump, który za wszelką cenę stara się odwrócić uwagę od swojej nieudolnej reakcji na pandemię. Choć w całym kraju przyrasta średnio 60 tys. nowych zakażeń dziennie, prezydent przekonuje Amerykanów, że najgorsze mają już za sobą.

Mam taki plan

Donald Trump być może nie bez powodu powrócił na kampanijny szlak akurat na Florydzie. Zwycięstwo w tym 21-milionowym stanie to w zasadzie jeden z warunków koniecznych do zdobycia przez niego reelekcji. Ekspertki zgodnie podkreślają, że ostatnim republikańskim kandydatem, który zdobył prezydenturę bez zgarnięcia 29 głosów elektorckich na Florydzie, był Calvin Coolidge – zwycięzca z 1924 r.

Przypomnijmy, że cztery lata temu Trump wygrał tutaj z Hillary Clinton przewagą tylko jednego punktu procentowego. To niewiele mniej niż wynosi obecnie sondażowa przewaga Bidena (2 pkt. proc.). Nic dziwnego, że obaj kandydaci zaciekle walczą na Florydzie o głosy niezdecydowanych wyborców.

W ciągu ostatnich tygodni oba tandemy – Biden i jego kandydatka na wiceprezidenta Kamala Harris, jak też Trump i jego wiceprezydent Mike Pence – odwiedzali ten stan kilka razy.

Gdy w zeszły poniedziałek 19 października na Florydzie ruszyła tzw. procedura wczesnego głosowania, lokalny dziennik „Tampa Bay Times” opublikował apel kandydata Demokratów. W tekście pt. „Florydyczcy, nazywam się Joe Biden. Oto mój plan” autor przekonywał, że to on lepiej niż Trump zadba o Amerykanów w dobie pandemii. Obiecał wyborcom, że za jego rządów wszystko będzie bezpłatne: testy na koronawirusa, leczenie powikłań, a także będąca w trakcie badań szczepionka. Demokrata nie omieszkiał zaatakować rywala, przypominając o ujawnionych we wrześniu nagraniach rozmów Trumpa z cenionym dziennikarzem Bobem Woodwardem. Z ich treści wynika, że prezydent już pod koniec stycznia wiedział o zagrożeniu, jakim jest epidemia, a mimo to publicznie je bagatelizował i długo nie podejmował w tej sprawie działań.

„Prezydent tłumaczy, że zataił kluczowe dla Amerykanów informacje, bo nie chciał wywołać paniki. Prawda jest jednak taka, że to on spanikował. Nie zdołał ochronić Amerykanów” – pisał Biden, sięgając po – mającą zapewne poruszyć odbiorców – historię latynoskiej pielęgniarki i zarazem samotnej matki, która od miesięcy pracuje na pierwszej linii epidemicznego frontu.

„Esther kocha pomagać ludziom. Kocha też nasz kraj. Ale bardzo się o niego martwi, bo uważa, że nasz prezydent nie szanuje ludzi takich jak ona” – przekonywał Biden, puszczając oko do Latynosów. Ta grupa to na Florydzie łakomy kąsek, bo stanowi aż 17 proc. spośród ponad 14 mln zarejestrowanych wyborców.

Niech Latynos zagłosuje

W epicentrum walki o Florydę nieoczekiwanie znaleźli się także Portorykańczycy. W Orlando, jednym z ich głównych skupisk w tym stanie, o ich głosy poparcia zabiegali Pence i Harris. Sztab Demokratki poszedł nawet o krok dalej i dociera z reklamami wyborczymi do mieszkańców Portoryko, terytorium stowarzyszonego z USA.

Kalkulacja Demokratów jest prosta: choć tamtejsi Portorykańczycy nie mogą głosować w amerykańskich wyborach

prezydenckich, to mogą zachęcić swoich znajomych i krewnych w Stanach do oddania głosu na Bidena. „Głosując tam, pomagasz nam tutaj” – tak brzmi hasło przewodnie spotu, skierowanego już bezpośrednio do Portorykańczyków z Florydy i Pensylwanii, gdzie również stanowią sporą społeczność.

Kampania Trumpa nie pozostaje Demokratom dłużna i mocno inwestuje w reklamy wyborcze skierowane do Kubańczyków oraz imigrantów z Wenezueli i Nikaragui. Korzystając z tego, że wielu z tych wyborców nie znosi lewicowych reżimów, sztab Trumpa oskarża rywala o sympatyzowanie z socjalistami. W jednym ze spotów pojawia się zdjęcie, na którym Biden pozuje z przywódcą Wenezueli Nicolásem Maduro. Demokrata spotkał się z nim w 2015 r., gdy jako →

Donald Trump w Morrisville w Karolinie Północnej (27 lipca 2020 r.) i Joe Biden w Forcie Lauderdale na Florydzie (13 października 2020 r.)



→ wiceprezydent USA był z wizytą w Ameryce Południowej.

Jak donosi amerykański serwis Politico, skala dezinformacji na temat Bidena to już jazda bez trzymanki. Latynosi na Florydzie bombardowani są w mediach społecznościowych treściami, z których ma wynikać, iż polityk ma skłonności pedofilskie, a w przypadku jego zwycięstwa Amerykę „będą kontrolowali czarnoskórzy i Żydzi”.

Czy mnie polubicie?

Biden i Trump zabiegają też intensywnie o głosy emerytów, którzy stanowią 20 proc. mieszkańców Florydy.

„Jesteście zbędni, niewarci uwagi. W zasadzie jesteście nikim. Tak właśnie postrzega was Donald Trump. Jedynym seniorem, który go interesuje, jest sam senior Donald Trump” – mówił do florydzkich wyborców 77-letni Biden. Podczas wiecu w domu dla osób starszych w Pembroke Pines atakował młodszego o trzy lata rywala za nieudolną reakcję na pandemię, która do połowy minionego tygodnia zabiła już 228 tys. Amerykanów. Seniorzy, szczególnie narażeni na infekcję COVID-19, odwracają się od Trumpa i częściej deklarują poparcie dla Bidena. Według sondażu „New York Times”/Siena College, prezydent traci w tej grupie do rywala aż 10 punktów procentowych.

Trumpa być może znacznie bardziej martwi spadek poparcia wśród mieszkańców przedmieść, jednej z kluczowych grup wyborców. Kobiety, które cztery lata temu pomogły mu wygrać wyścig o Białą Dom, dziś preferują Bidena. Sondażowa przepaść między kandydatami jest tu ogromna: poparcie dla Demokraty deklaruje 58 proc. kobiet, a dla Trumpa tylko 35 proc. Wśród mieszkańców przedmieść gniew narastał od dawna. Już w 2018 r., na fali niechęci do rządów Trumpa, pomogły Demokratom odzyskać kontrolę nad Izbą Reprezentantów.

Choć Partia Republikańska daje sygnały, że szykuje się na ewentualną porażkę Trumpa,

Demokraci wolą nie ulegać przedwczesnej euforii.

Każdy ma w pamięci wybory z 2016 r.:

Hillary Clinton przegrała, mimo że sondaże dawały jej pewne zwycięstwo.

Starając się nie dopuścić do kolejnej porażki, prezydent od miesięcy zabiega o poparcie „amerykańskich gospodyń z przedmieść”, jak swego czasu nazwał je na Twitterze. Skoro nie może ich uwieść wizją prosperującej gospodarki (jak to robił w 2016 r.), postanowił sięgnąć po retorykę strachu. Gdy w zarządzanych przez Demokratów miastach antyrasistowskie demonstracje przeradzały się w zamieszki, straszył, że za rządów Bidena przemoc rozleje się na bogate przedmieścia. Teraz, na finiszu kampanii, poszerza swój repertuar: podczas wiecu w Muskegon w stanie Michigan straszył Amerykanki, że Biden będzie budować na przedmieściach mieszkania komunalne dla uchodźców z Syrii, Somalii i Jemenu.

„Czy chcecie, aby obok waszego pięknego domu stanęły mieszkania dla biednych? Na pewno nie! Kobiety, ocaliłem wasze przedmieścia! Powinnyście kochać Trumpa” – przekonywał prezydent, który zniósł wprowadzone przez swego poprzednika Baracka Obamę antydyskryminacyjne przepisy dotyczące mieszkalnictwa. W założeniu miały pomóc w zwalczaniu podziału na dzielnice dla bogatych i biednych.

Trump jeszcze raz uczepił się przepisów Obamy podczas wiecu w Johnstown w Pensylwanii. „Kobiety z przedmieść, czy mogę was poprosić, żebyście mnie polubiły? Proszę! Ocaliłem waszą cholerną dzielnicę!” – powtarzał.

Prezydent, któremu ostatnio kiepsko idzie zjednywanie Amerykanek, wysłał na kampanijny szlak swoją córkę Iwanę. W kluczowych dla wyniku wyścigu stanach 38-latką spotyka się z właścicielkami małych firm, uczestniczy we wspólnym pieczeniu ciast i pozuje do

zdjęć z dziećmi ubranymi już w hallooweenowe kostiumy.

Spektakl dla fanów

Trudno jednak się spodziewać, że prezydentowi uda się na ostatnią chwilę zdobyć nowych zwolenników. Według sondażu Gallupa, jedynie 4 proc. zwolenników Demokratów i 35 proc. wyborców niezależnych (tj. tych, którzy nie są zarejestrowani jako członkowie danej partii) ocenia jego prezydenturę pozytywnie.

Chcąc nie chcąc, Trump skupia się na zdeklarowanych zwolennikach Partii Republikańskiej, wśród których ma wciąż 94 proc. poparcia. Aby zmobilizować swój elektorat serwuje im przedwyborczy teatr. Tylko w zeszłym tygodniu obraził cenionego epidemiologa Anthony'ego Fauciego (nazwał go „katastrofą”) i wyszedł podczas nagrania wywiadu z dziennikarką telewizji CBS News (protrumpowcy kochają ataki na liberalne media).

Trump wywierał też naciski na prokuratora generalnego Williama Barra, by jeszcze przed wyborami wszczął federalne śledztwo w sprawie Joego Bidena i jego syna Huntera. Prezydent oskarża ich o korupcję, posiłkując się doniesieniami tabloidu „New York Post”. Ma z nich wynikać, że Demokrat spotkał się z doradcą ukraińskiej spółki energetycznej, w której zarządzie zasiadał Hunter Biden. Oparty na niezweryfikowanych materiałach artykuł został uznany za tak wątpliwy, że Twitter i Facebook ograniczyły jego dystrybucję w sieci.

Strategię Trumpa skrytykował republikański konsultant polityczny Frank Luntz, cytowany przez serwis „The Hill”. „To najgorsza kampania prezydencka, jaką kiedykolwiek widziałem” – mówił.

Od Trumpa coraz częściej dystansują się też inni prominentni Republikanie. Sugerują, że prezydent powinien porzucić personalne ataki, zaprzestać ignorowania zagrożeń związanych z pandemią i skupić się na mówieniu o gospodarce. Od kontrowersyjnych wypowiedzi Trumpa szczególnie chętnie odcinają się senatorowie, których czeka trudna walka o reelekcję – jak Thom Tillis z Karoliny Północnej i Steve Daines z Montany.

Sondażowa rzeczywistość

Choć Partia Republikańska daje sygnały, że szykuje się na ewentualną porażkę Trumpa, to Demokraci wolą nie ulegać przedwczesnej euforii. Każdy ma w pa-



EDWARD AUGUSTYN

(zob. artykuł na str. 25)

będzie gościem Grzegorza Chlasy w środę 28 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

mięci wybory z 2016 r., gdy Hillary Clinton przegrała z Trumpem, choć sondaże dawały jej ok. 90 proc. szans na wygraną. Na finiszu tegorocznego wyścigu sztab Bidena apeluje do wyborców, aby nie spoczywali na laurach i poszli do urn. „Walka o Białą Dom jest bardziej wyrównana, niż przedstawiają to komentatorzy w telewizji i na Twitterze. W kluczowych dla wyniku wyborów stanach Biden idzie łeb w łeb z Trumpem” – przestrzega Jen O'Malley Dillon, znana specjalistka od kampanii wyborczych, która pracuje dla Bidena.

Demokraci – i nie tylko oni – zastanawiają się też, jak Trump zareaguje w razie przegranej [patrz obok wywiad ze specjalistą od prawa wyborczego – red.]. Oraz szczególnie nerwowo obserwują sytuację w stanach z tzw. Pasa Rdzy, które przesądziły o porażce Clinton. Serwis telewizyjny CNN powołuje się na anonimowe wypowiedzi członków sztabu Bidena, którzy śledzą trwającą już tam procedurę wczesnego głosowania. Z ich obserwacji wynika, że podobnie jak w 2016 r. wśród elektoratu Trumpa – białych, słabiej wykształconych Amerykanów ze wsi i małych miast – panuje duża mobilizacja. Jak mówi w wywiadzie dla CNN Mark Gaul, republikański strateg z Wisconsin, zwolennicy prezydenta są jeszcze bardziej zmotywowani do głosowania niż cztery lata temu.

Tymczasem w miniony czwartek 22 października, na 12 dni przed wyborami, Ameryka śledziła ostatnie bezpośrednie starcie Bidena i Trumpa. Podczas debaty telewizyjnej spierali się oni o właściwą odpowiedź na pandemię, o kwestie opieki zdrowotnej, polityki migracyjnej i zagranicznej, o ochronę klimatu i kwestie rasowe.

Ku zaskoczeniu widzów obyło się bez przepychanek i wyzwisk, które zdominowały ich poprzednie starcie. Porywczy Trump wyjątkowo trzymał emocje na wodzy i obiecywał, że za drugiej kadencji odbuduje pogrążoną w kryzysie gospodarkę. „To sukces zjednoczy Amerykanów” – przekonywał w kontrze do rywala, dla którego oprócz odbudowy gospodarczej równie ważne jest przywrócenie przyzwoitości w Białym Domu. Pytanie, komu z nich Amerykanie zaufają bardziej.

© MARTA ZDZIEBORSKA



Zwolenniczki prezydenta z komitetu „Kobiety za Trumpem” oglądają pierwszą debatę telewizyjną obu kandydatów. Miasto Industry w Kalifornii, 29 września 2020 r.

Każdy scenariusz jest możliwy

PROF. STEVEN HUEFNER, SPECJALISTA OD PRAWA WYBORCZEGO W USA:

Nasza konstytucja nie jest przygotowana na sytuację, w której prezydent nie chce oddać władzy w sposób pokojowy.

MARTA ZDZIEBORSKA: Dlaczego to nie jest oczywiste, że w noc wyborczą poznamy zwycięzcę wyścigu o Białą Dom?

STEVEN HUEFNER: Ze względu na pandemię rekordowa liczba Amerykanów może zgłaszać korespondencyjnie. A to wiąże się z ryzykiem, że oddane w ten sposób głosy nie będą wystarczająco szybko przeliczone przez władze stanowe i nie zostaną uwzględnione w danych podawanych w pierwszej kolejności w noc wyborczą. Ma to znaczenie zwłaszcza w przypadku tych stanów, które są kluczowe dla rezultatu. Druga sprawa to wyraźne różnice w preferencjach dotyczących sposobu głosowania. Z sondaży wynika, że Demokraci zgłaszają korespondencyjnie chętniej niż Republikanie. To może prowadzić do sytuacji, gdy początkowe wyniki w kluczowych stanach będą wskazywać na wygraną Trumpa.

Ale dopiero gdy zostaną doliczone spływające z opóźnieniem głosy korespondencyjne, będziemy wiedzieć, czy wygrał on, czy też Joe Biden.

Jak musiałoby rozłożyć się poparcie dla prowadzącego w sondażach Bidena, aby już nocą z 3 na 4 listopada było wiadomo, że zwyciężył?

Musiałby wygrać na Florydzie i w Karolinie Północnej, stanach kluczowych dla wyniku, gdzie prawo zezwala na zliczanie głosów korespondencyjnych na bieżąco, a nie dopiero w dniu wyborów. Jeśli jednak decydująca dla zwycięstwa Bidena okazałaby się przewaga w Pensylwanii, Michigan czy Wisconsin, to na wyniki trzeba byłoby czekać dłużej. Np. w Pensylwanii karty do głosowania opatrzone ważnym stemplem pocztowym mogą być nadsyłane do komisji wyborczych do 6 listopada. W stanie Michigan termin →

→ nadsyłania mija dopiero 17 listopada. Oczywiście te niuanse odegrają kluczową rolę, jeśli wyścig będzie wyrównany. Wówczas przed ogłoszeniem zwycięzcy konieczne będzie zliczenie prawie wszystkich głosów.

Politycy Partii Demokratycznej obawiają się, że Trump ogłosi zwycięstwo, nie czekając na zliczenie głosów nadesłanych pocztą. Już wcześniej podważał wiarygodność głosowania korespondencyjnego i sugerował, że wyniki muszą być znane w noc wyborczą.

Trump może sobie mówić i ogłaszać, co chce. Dla podania zwycięzcy konieczne jest zliczenie wszystkich głosów i przealiczenie ich na głosy elektorskie [w prawie wszystkich stanach zwycięzca w głosowaniu powszechnym otrzymuje całą pulę głosów elektorskich danego stanu – red.]. Bardziej obawiałbym się scenariusza, w którym Trump jeszcze bardziej podsyci nieufność swoich zwolenników do głosów nadesłanych pocztą. Kontrolowane przez Partię Republikańską parlamenty stanowe mogą wykorzystać nastroje społeczne do podważenia wiarygodności wyborów powszechnych i przydzielenia głosów elektorskich według własnego uznania, nie zważając na wolę wyborców.

A to jeszcze bardziej pogрузyłoby wiarę Amerykanów w system wyborczy. W 2016 r. Hillary Clinton zdobyła w skali całego kraju prawie 3 mln głosów więcej, ale to Trump wygrał w Wisconsin, Pensylwanii i Michigan, co dało mu przewagę głosów elektorskich. Czy w USA doszło kiedyś do sytuacji, że parlament stanowy przydzielił głosy elektorskie według własnego uznania?

Do tej pory nigdy. Choć pojawiły się takie rozważania w 2000 r., gdy Demokrat Al Gore zakwestionował zwycięstwo George'a W. Busha na Florydzie i zaczął batalię o ponowne liczenie głosów. Z uwagi na przedłużający się spór władze stanowe miały związane ręce i nie mogły sporządzić wymaganego przez prawo certyfikatu, poświadczającego wyniki wyborów na swoim terytorium. Ostatecznie parlament stanowy uniknął przydzielania głosów elektorskich według uznania,



JO MCCULLY / OHIO STATE UNIVERSITY

STEVEN F. HUEFNER jest profesorem prawa w Moritz College of Law na Uniwersytecie Stanu Ohio. Ekspert z zakresu prawa wyborczego w USA, pracował jako doradca w biurze prawnym Senatu (Office of Senate Legal Counsel). Absolwent uniwersytetów Harvarda i Columbia.

bo sprawa znalazła swój finał w Sądzie Najwyższym [najważniejszej instytucji wymiaru sprawiedliwości – red.]. Sędziowie orzekli na korzyść George'a W. Busha i to on został prezydentem.

Jednak wtedy był inny klimat polityczny. Al Gore szybko zaakceptował decyzję Sądu Najwyższego i uznał swoją przegraną. Teraz i Biden, i Trump są przygotowani na każdy scenariusz, inwestują w armię prawników, którzy zaangażują się w powyborczą batalię sądową.

Oczywiście, mamy dziś do czynienia z większą polaryzacją w polityce i jest jasne, że obaj kandydaci tak łatwo nie dadzą za wygraną. Pamiętajmy jednak, że nawet w 2000 r. nie brakowało głosów, że Al Gore powinien walczyć dalej. Mógł zwrócić się do Kongresu o rozstrzygnięcie sporu na wspólnym posiedzeniu obu izb, które odbywa się 6 stycznia. Kongres – już w nowym składzie, wyłonionym na podstawie listopadowych wyborów – tradycyjnie dopełnia wówczas formalności, zliczając głosy elektorskie z każdego

z 50 stanów. W przypadku sporu wyborczego taka procedura nie chroni jednak przed ewentualnym kryzysem konstytucyjnym.

Dlaczego?

Prawo federalne nie określa jasno, co ma się stać w przypadku, jeśli obie izby Kongresu – Izba Reprezentantów i Senat – mają rozbieżne stanowisko w sprawie zliczania głosów elektorskich w jednym ze stanów. Taka procedura mogłaby wzbudzić sporo wątpliwości także z jednego powodu: przewodniczącym wspólnego posiedzenia Kongresu byłby wiceprezydent, czyli ubiegający się o reelekcję Mike Pence.

Porozmawiajmy o kolejnym czarnym scenariuszu. Pytany przez reporterów, czy w razie przegranej przekaze władzę, Trump odparł: „Zobaczmy, co się wydarzy”. Co, jeśli nie będzie chciał ustąpić?

Według konstytucji kadencja prezydenta upływa w południe 20 stycznia. Bez względu na to, czego Trump by nie mówił i jakich nie podejmował działań, po tym terminie nie mają one mocy wiążącej. Inna sprawa, że konstytucja nie jest przygotowana na scenariusz, w którym prezydent nie chce oddać władzy w sposób pokojowy, co naraża kraj na kryzys konstytucyjny.

Szykując się na najgorsze, eksperci często przywołują wybory w 1876 r. Kryzys konstytucyjny zaszedł tak daleko, że obaj kandydaci – Demokrat Samuel Tilden i Republikanin Rutherford B. Hayes – szykowali równoległe uroczystości inauguracji.

Tylko wówczas wynikało to z tego, że procedura zliczania głosów elektorskich przez Kongres mocno się przedłużyła i obaj kandydaci chcieli być przygotowani na zwycięstwo. Ostatecznie Kongres zdecydował o wygranej Hayesa za ledwie na trzy dni przed wyznaczonym terminem inauguracji.

Teraz spory wyborcze zaczęły się na długo przed 3 listopada. Do tej pory wszczęto ok. 350 postępowań, w których Demokraci chcą ułatwić dostęp do głosowania korespondencyjnego, a Republikanie chcą to maksymalnie utrudnić.

Jedną z najbardziej gorących kwestii jest teraz walka o „skrzynki wyborcze”, gdzie wyborcy mogą podrzucić swoje karty do głosowania korespondencyjnego bez konieczności wysyłania ich pocztą. To ważne rozwiązanie, bo w dobie pandemii więcej osób będzie głosować korespondencyjnie, co może doprowadzić do paraliżu USPS [amerykańskiej poczty – red.]. Republikanie chcą ograniczyć liczbę „skrzynek”, bo to może potencjalnie uderzyć w elektorat Partii Demokratycznej. Z obserwacji poprzednich cykli wyborczych wynika, że mało zamożni Amerykanie i mniejszości etniczne chętniej popierają Demokratów. Jednak ze względu na mało elastyczne godziny pracy czy nawet brak auta, te grupy wyborców rzadziej docierają do lokali wyborczych. Dlatego z punktu widzenia Demokratów tak istotne jest maksymalne ułatwienie procedur.

Dużo mówi się o batalii sądowej w Teksasie: powołując się na „ryzyko fałszerstw wyborczych”, gubernator stanu chce zapewnić tylko jedną „skrzynkę” na hrabstwo, nawet jeśli jest to obszar miejski, liczący kilka milionów ludzi. Na jakie sposoby Republikanie starają się jeszcze utrudnić głosowanie korespondencyjne?

Ciekawy jest przypadek Pensylwanii. Jak już wspominałem, decyzją stanowego

Początkowe wyniki wyborów w kluczowych dla ich rezultatu stanach mogą wskazywać na wygraną Trumpa. Ale dopiero gdy zostaną doliczone spływające z opóźnieniem głosy korespondencyjne, **będziemy wiedzieć na pewno, kto wygrał.**

sądu najwyższego karty do głosowania mogą tam być dostarczone do 6 listopada. Politycy Partii Republikańskiej zaskarżyli tę decyzję, argumentując, że zmieniając termin nadsyłania pakietów wyborczych sąd naruszył prawo federalne i konstytucję USA. Sprawa trafiła pod obrady Sądu Najwyższego USA, który utrzymał w mocy decyzję sądu najwyższego Pensylwanii. Gdyby sędziowie przychyliłi się do argumentacji Republikanów, doszłoby do precedensu w całym kraju. Mogłoby się wówczas okazać, że sądy stanowe straciły możliwość rewidowania niektórych procedur wyborczych wdrożonych przez tamtejsze parlamenty.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem Republikanów, w tych sprawach będzie orzekać także Amy Coney Barrett, nominowana przez Trumpa do Sądu Najwyższego. Jej nominacja może być zatwierdzona przez Senat jeszcze przed wyborami.

Każdy zadaje sobie teraz pytanie, jak dołączenie Barrett do Sądu Najwyższego wpłynęłoby na orzecznictwo w sporach powyborczych, a zwłaszcza w tym najważniejszym: dotyczącym tego, kto wygra wyścig o Białą Dom. Nie zgadzam się z Trumpem, który przekonuje, że trzeba szybko zapełnić wakat po Ruth Bader Ginsburg [liberalnej sędzi, która zmarła we wrześniu – red.], aby uniknąć potencjalnego impasu w Sądzie Najwyższym. Obecnie zasiada w nim ośmioro sędziów, więc może się zdarzyć, że zapadnie decyzja stosunkiem głosów 4:4. Ale nie dojdzie wtedy do kryzysu konstytucyjnego, jak przedstawia to Trump. W takiej sytuacji zostanie utrzymana w mocy decyzja sądu niższej instancji. Znacznie bardziej powinien nas martwić scenariusz, w którym Amy Coney Barrett jako nowa sędzia Sądu Najwyższego orzekałaby w sprawie reelekcji Trumpa. To byłby zamach na wiarygodność najważniejszej instytucji wymiaru sprawiedliwości w USA. Jednak w tegorocznych wyborach wszystko jest możliwe.

© Rozmawiała w USA
MARTA ZDZIEBORSKA

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykli
podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na powszech.net/podkast



SALESmanago
marketing automation





KIRAN RIDLEY / GETTY IMAGES

„Nauczanie zabija?! (jak widać...)”: napis na tablicy szkolnej podczas marszu pamięci ku czci Samuela Paty’ego. Paryż, 21 października 2020 r.

Barbarzyńcy w szkołach

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Zapłacił życiem za pokazanie uczniom karykatury Mahometa. Okrutny mord islamisty na nauczycielu spod Paryża każe zapytać: czy francuski system edukacji ulegnie groźbom fanatyków religijnych?

NA ZDJĘCIACH OPUBLIKOWANYCH w prasie młody szczupły mężczyzna w T-shircie i słonecznych okularach stoi na tle morza w luźnej pozie. Wśród uczniów uchodził za belfra spokojnego, cierpliwego i umiejącego słuchać nastolatków. Pozbawionego uprzedzeń wobec ludzi innych religii czy przekonań.

Nic nie wskazuje na to, aby Samuel Paty, odznaczony pośmiertnie Legią Honorową, chciał zostać bohaterem. 47-letni nauczyciel historii i geografii, ojciec pięcioletniego syna, zginął tylko dlatego, że wypełniał swoje obowiązki.

Mord poprzedzony nagonką

Samuel Paty został zaatakowany w piątek 16 października niedaleko szkoły w Conflans-Sainte Honorine pod Paryżem, gdy wracał po pracy do domu. 18-letni Abdullah Anzonow – Czeczen i zradykali-

zowany muzułmanin zamieszkały we Francji – najpierw zadał Paty’emu kilka ciosów kuchennym nożem, a potem odciął mu głowę. Za sprawcą ruszył natychmiast policyjny pościg, który zakończył się zastrzeleniem Anzonowa kilkaset metrów od miejsca zabójstwa.

Dlaczego zwykły nauczyciel stał się celem ataku, który władze francuskie uznały za terrorystyczny? Do obowiązków Paty’ego należało prowadzenie lekcji wychowania obywatelskiego, na których – jak to we Francji – kładzie się nacisk na wartości republikańskie, w tym świeckość państwa i wolność słowa. Podczas jednego z tych kursów na początku października Paty pokazywał uczniom – jako materiał do dyskusji o wolności wypowiedzi – dwie karykatury Mahometa z tygodnika satyrycznego „Charlie Hebdo”. Uprzedził o tym uczniów z ro-

dzin muzułmańskich, mówiąc, że w momencie pokazywania rysunków mogą odwrócić głowę lub wyjść z klasy.

Ta właśnie sytuacja wywołała lawinę reakcji z tragicznym finałem. Bo wkrótce potem ojciec jednej z uczennic (jak się okazało, nie była obecna w czasie tych zajęć), muzułmanin Brahim C., zażądał od dyrektorki szkoły wyrzucenia z pracy Paty’ego jako „przestępcy” znieważającego islam. Gdy odmówiła, powtórzył swoje żądania w wideo opublikowanym w internecie, podając też nazwisko nauczyciela i adres gimnazjum. Śledztwo – jak pisze „Le Monde” – wykazało potem, że w tych działaniach wspierał go aktywista islamistyczny zbliżony do Hamasu.

Wiadomo dziś, że sprawca ataku kontaktował się z Brahimem C. na kilka dni przed zabójstwem. Nie ma dotąd przesłanek do stwierdzenia, że wspólnie planowali ten atak. Stwierdzono natomiast, że młody Czeczen wahał się długo, kogo zabić, i że próbował namierzyć różne osoby, które uznawał za wrogów islamu. Dopiero zamieszczone w sieci przez Brahima C. wideo wpłynęło na decyzję, że na ofiarę wybrał nauczyciela. Nie byłoby zatem tego zabójstwa bez nagonki na Paty’ego w mediach społecznościowych.

W śledztwie ustalono, że Abdullah Anzonow nie był „samotnym wilkiem”: miał co najmniej dwójkę współników, którzy pomogli mu w zakupie broni i dojeździe na miejsce zbrodni. Wśród sied-

miu osób zatrzymanych dotąd przez policję pod zarzutem pomagania zabójcy jest też dwóch gimnazjalistów, którzy wskazali sprawcy nauczyciela w zamian za pieniądze (według prokuratury otrzymali za to po 300-350 euro).

Płacz i wściekłość

Okrutny mord wywołał wstrząs w całej Francji. Mimo spadku zaufania do publicznej oświaty, nauczyciel wciąż cieszy się nad Sekwaną dużym autorytetem. Zwłaszcza taki pracujący na przedmieściach, którego ukazuje się często w książkach i filmach jak samotnego szeryfa walczącego o sprawiedliwość. W „białych marszach”, które przeszły przez wiele miast, swój ból demonstrowały tysiące nauczycieli i zwykłych ludzi. Wielu pod hasłem: „Jestem Samuelem!”.

– Gdy dowiedziałem się, co się stało, najpierw nie mogłem w to uwierzyć. Nie mieściło mi się w głowie, że tuż obok szkoły dzieje się coś takiego – mówi „Tygodnikowi” Sylvain, od 13 lat nauczyciel w szkołach podstawowych na przedmieściach Paryża. – Potem ogarnęła mnie wściekłość. Nie wolno nam się poddać. My, nauczyciele, musimy bronić laickości i republiki.

Sylvain ma za złe państwu francuskiemu, że nie zrobiło wszystkiego, co konieczne, aby zapobiec zamachowi. Uważa, że polityka imigracyjna jest zbyt szczerą w przyznawaniu przybytności statusu uchodźcy. Świadczy o tym, jego zdaniem, wydanie w marcu tego roku Anzonowowi karty pobytu, dzięki której mógł przebywać we Francji wraz z pięcioma braćmi i rodzicami. Stało się tak, choć młody Czeczen już rok temu się zradikalizował.

Ton gniewu i desperacji dominuje też w mediach. Na okładce jednego z tygodników widać zdekapitowany symbol republiki – Mariannę – w kałuży krwi. „Jak długo jeszcze będziemy zamykać oczy?” – pyta tygodnik, głosząc, że śmierć Paty’ego jest rezultatem dwóch dekad biernego przyglądania się, jak narasta presja na francuskie szkolnictwo ze strony radykalnych muzułmanów.

Z kolei były szef „Charlie Hebdo” Philip Val twierdzi na łamach tygodnika „Le Journal du Dimanche”, że w przypadku mordu na nauczyciela nie mamy do czynienia ze zderzeniem różnych cywilizacji, lecz z „wojną cywilizacji z barbarzyństwem”. Od ponad pięciu lat Val żyje pod

policyjną ochroną, jak inni „ocaleni” z redakcji, która została zdziesiątkowana podczas ataku islamskich ekstremistów w styczniu 2015 r.

Zaraz po zabójstwie nauczyciela władze starały się pokazać determinację w walce z radykałami. Zapowiedziały, że przyglądają się ok. 50 instytucjom podejrzanym o powiązania z islamistami, i nakazały rozwiązanie kilku z nich. Jest wśród nich propalestyński kolektyw, którego założyciel był współautorem wideo nawołującego do ukarania Samuela Paty’ego. Natychmiast zamknięto też meczet w Pantin, który na swoich stronach internetowych propagował nagonkę na niego.

Macron:

nie zrezygnujemy z satyry

W uroczystości żałobnej ku pamięci nauczyciela, która odbyła się na dziedzińcu Sorbony, wziął udział prezydent Emmanuel Macron z premierem i całym rządem. „Zginął, bo ucieleśniał republikę” – tak o „cichym bohaterze” mówił szef państwa, którego żona Brigitte też była nauczycielką. Macron zapowiedział, że Francja „nie zrezygnuje z karykatur, nawet jeśli inni się cofają”. „Będziemy kontynuować, panie profesorze, walkę o wolność i o rozum, której odtąd stał się pan symbolem (...), bo we Francji Oświecenie nigdy nie gaśnie!” – wołał prezydent do zebranych na Sorbonie. „Będziemy kontynuować!” – powtarzał z patosem.

Sprawa karykatur Mahometa, których publikacja w satyrycznej gazecie była bezpośrednią przyczyną zamachu sprzed pięciu lat, znów powróciła na czołówki mediów. Nie tylko z powodu zabójstwa nauczyciela: od początku września przed sądem w Paryżu toczy się proces 14 oskarżonych o pomoc sprawcom ataku na „Charlie Hebdo” i na sklep koszyński w Paryżu w styczniu 2015 r. (trzech głównych zamachowców nie ma na ławie oskarżonych, bo zostali zastrzeleni przez policjantów zaraz po ataku). W związku z tym procesem „Charlie Hebdo” ponownie wydrukował karykatury Mahometa.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. 25 września młody Pakistańczyk, będący pod wpływem ekstremistów islamskich, zamierzał podpalić dawną siedzibę redakcji satyrycznego pisma. Nie udało mu się, ale zranił nożem rzeźnikiem dwoje pracowników agencji informacyjnej Premieres Lignes, biorąc ich za dziennikarzy „Charlie Hebdo”. Śledczy

twierdzą, że ten atak zmotywował z kolei do czynu młodego Anzonowa.

Głośniej nad tą trumną!

Czy morderstwo Samuela Paty’ego jest „zwierciadłem naszego tchórzostwa”? – pyta tygodnik „Marianne”. Gazeta oskarża polityków, władze lokalne, urzędników, a także większą część elit intelektualnych, że dla własnych interesów czy z konformizmu ulegały przez ostatnie dwie dekady wpływom radykalnych muzułmanów. Inaczej mówiąc: kupowano sobie spokój społeczny czy nawet głosy wyborców w zamian za przywykanie oczu na rozkwit organizacji islamistycznych. Aż nadszedł moment, że radykalni muzułmanie zaczęli wywierać ideologiczną presję na szkoły publiczne.

Jaka jest skala tego problemu? Z pewnością niebagatelna. Z sondażu Ifop z 2018 r. wynika, że co dziesiąty nauczyciel szkoły podstawowej spotkał się z przypadkami łamania przez uczniów zasad świeckości szkoły. Chodzi przede wszystkim o noszenie przez muzułmanki chusty, we francuskich szkołach zakazanych (podobnie jak chrześcijańskie krzyże czy żydowskie jarmułki).

W rozmowach z nauczycielami uczącymi na imigranckich przedmieściach powracają te same wątki: napięcia z rodzicami na tle poruszania na lekcjach takich tematów jak Holocaust, prawa kobiet czy mniejszości seksualne. Także sprzeciw niektórych rodziców-muzułmanów wobec noszenia przez ich córki kostiumów kąpielowych na zajęciach z pływania. – Osobiście nie miałem nigdy tego typu problemów, choć zdarzały mi się trudne rozmowy – mówi Sylvain.

Śmierć nauczyciela z Conflans jest przekroczeniem czerwonej linii. Nie można już udawać, że francuskie szkoły nie mają problemu z presją islamistów. Tylko czy teraz, po tej okrutnej zbrodni, nauczyciele odważą się w ogóle poruszać drażliwe tematy?

Sylvain nie ma złudzeń: – Na pewno większość nauczycieli będzie się teraz bardziej bała mówić o sprawach drażliwych dla muzułmanów. Ale na pewno innym, tak jak Samuelowi, nie zabraknie odwagi. Najważniejsze, żeby nauczyciel nie był sam. Musi czuć, że ma za sobą silne poparcie kolegów, dyrekcji i instytucji państwa. Bo jeśli wszyscy go opuszczą, grozi mu los żywej tarczy dla fanatyków. ©

Martín wciąż walczy

EWA KLEWAR Z MEDELLÍN

W ich wiosce policjanci i byli partyzanci grają w niedzielę w piłkę. Ale nie wszędzie w Kolumbii, gdzie pokój panuje dopiero od czterech lat, jest tak idyllicznie.

JEST GRUDZIEŃ 2016 ROKU, GDY PREZYDENT Kolumbii, Juan Manuel Santos, odbiera w Oslo Pokojową Nagrodę Nobla. Mówi, że przyjmuje ją w imieniu „ośmiu milionów ofiar i wysiedlonych, którym konflikt zbrojny zrujnował życie, oraz ponad 220 tys. kobiet, mężczyzn i dzieci haniebnie zamordowanych w czasie wojny”. Kilka osób na widowni wstaje, trzymają się za ręce. Obecni na ceremonii składają hołd ofiarom konfliktu między lewicową partyzancką guerillą FARC a rządem, zakończonego po 50 latach.

Na sali jest Leyner Palacios: ocalały z masakry w Bojayá, gdzie chybiona bomba zrzucona przez FARC trafiła w kościół; zginęło blisko stu cywilów, w tym jego rodzice i bracia. Obok stoi Ingrid Betancourt: była kandydatka na prezydenta, ofiara porwania, przez ponad sześć lat przetrzymywana przez FARC w obozie w dżungli. Po latach powie, że porwanie to doświadczenie pozwolonej śmierci. Jest Héctor Abad Faciolince, pisarz. Jedną z powieści poświęcił ojcu, obrońcy praw człowieka, który zginął z rąk prawicowej grupy paramilitarnej. Z kolei Liliana Pechené, w tradycyjnym stroju, reprezentuje w Oslo rdzenne społeczności: żyjące na terenach intensywnych walk, szczególnie dotknięte wojną.

Dla nich porozumienie pokojowe, za które prezydent dostał Nobla, to obietnica nowej, lepszej Kolumbii. Podobnie jak dla tysięcy partyzantów, którzy zdecydowali się odłożyć broń i dziś, od czterech lat, uczą się życia w społeczeństwie. To opowieść o jednym z nich.

Z uczelni do dżungli

Dorasta w Medellín, mieście o złej sławie, gdzie przemoc jest wszechobecna. Guerilla, zwalczające ją ruchy paramilitarne, narkotykowe gangi – wszyscy mają tu swoje porachunki.

W czasie studiów angażuje się w powstałe na uczelni ruchy lewicowe, kontestujące rzeczywistość i panujące od 2002 r. rządy twardej ręki prezydenta Álvaro Uribe. Buntuje się na widok przemocy ze strony państwa i grup paramilitarnych. W 2005 r. bierze udział w studenckim proteście, który, jak często tu bywa, przeradza się w starcia z policją. Ginią dwie demonstrantki, a on sam trafia do więzienia. Jest podejrzany o przynależność do grupy terrorystycznej. Gdy po 18 miesiącach, oczyszczony z zarzutów, wychodzi z więzienia, jest już członkiem FARC, największej w Kolumbii organizacji partyzanckiej.

Z czasem opuszcza miasto i dołącza do partyzantów: do 36. Oddziału FARC, operującego w górach departamentu Antioquia. Przyjmuje pseudonim Martín Batalla, na cześć kolegi Martina Hernández Gavirii, zamordowanego działacza studenckiego. Posługuje się nim do dziś, dlatego tak będziemy go nazywać. Martín Batalla w tłumaczeniu oznacza: Martín wciąż walczy.

Baby boom

Gdy nastaje pokój, do procesu ponownej integracji ze społeczeństwem przystępuje blisko 13 tys. członków FARC. Kilku wyżej postawionych działaczy obejmuje gwarantowane miejsca w parlamencie (Kongresie); pozostali, po latach spędzonych w obozowiskach, przygotowują się do życia w cywilu. Po zwykłe długiej rozłące spotykają się z rodzinami, uczą się obsługiwać komórki, zabronione w partyzantce ze względów bezpieczeństwa. Rodzą się pierwsze dzieci w kraju bez wojny, a światowa prasa rozpisuje się o wysypie ciąży wśród byłych partyzantek. W 2018 r., ze świeżo wyrobionymi dokumentami, wielu dawnych członków FARC po raz pierwszy w życiu oddaje głos w demokratycznych wyborach.

Z pomocą państwa, na wyznaczonych do tego terenach, zakładają niewielkie

biznesy: piekarnie, browary, pasieki. Niektórzy stawiają czoło przeszłości i angażują się w szukanie „znikniętych” (*desaparecidos*): osób, które w czasie konfliktu przepadły bez śladu.

Także Martín Batalla wraca na studia i szybko staje się twarzą jednego z najbardziej udanych projektów prowadzonych przez byłych partyzantów. Wraz z 24 byłymi żołnierzami FARC tworzy Confeciones La Montaña: warsztat produkujący plecaki i odzież sportową.

Bez kamuflażu

Gdy pytam go o ten projekt, od razu mnie poprawia: – Nie jestem twórcą Confeciones La Montaña. To warsztat krawiecki, który funkcjonował już w czasie wojny, był częścią 36. Oddziału FARC. Zarządzam nim, ale nie ja go założyłem. Krawiectwo to fach, który towarzyszy nam od lat, kiedy na własny użytek produkowaliśmy plecaki i mundury.

Z czasów partyzantki sprzedawane produkty wyniosły jakość i wytrzymałość: efekt prób, jakie przeszły w lasach. Tylko dziś nie potrzebują kamuflażu: w ofercie są błękity i czerwienie, są też plecaki pokryte serduszkami. Wedle oczekiwań konsumentów. Ci zaś chętnie kupują te produkty, wiedząc, że dokładają cegiełkę do pokoju. Zachwalał je sam były prezydent Santos.

– Obecnie na zamówienie czeka się około miesiąca. Jesteśmy niewielkim biznesem, nie dajemy sobie rady z tak dużym zainteresowaniem. Musimy zwiększyć produkcję, chcemy się rozwijać – opowiada Batalla. – Chcemy zrobić to, angażując towarzyszy, którym nie powiodło się tak jak nam – dodaje.

Opowiada o początkach biznesu. To był przeskok, byli żołnierze guerilli musieli nauczyć się, jak funkcjonować zgodnie z prawami rynku. – W lasach wszystko było wspólne, jedzenie czy leki należały do całego oddziału. Tak samo było z obowiązkami: wszyscy gotowali, prali, uczestniczyli w walkach. Od dawna wytwarzaliśmy produkty: uprawialiśmy kukurydzę, kawę i fasolę, szyliśmy. Ale zawsze na potrzeby własne.

Byli partyzanci uznali, że model spółdzielni będzie im najbliższy. Batalla: – Musieliśmy przestudiować kwestie prawne. Zetknięcie z biurokracją było szokiem. Ale się udało.

Niedawno, w lipcu, produkty Confeciones La Montaña prezentowano na



ARCHIWUM PRYWATNE

Martín Batalla przed warsztatem, Kolumbia, 2019 r.

Colombiamoda, najważniejszym wydarzeniu kolumbijskiego świata mody. Po raz pierwszy na targach znaleźli się byli członkowie guerilli. Poza wymiarem symbolicznym przyniosło to korzyści praktyczne: przez pół roku projekt może liczyć na wsparcie profesjonalistów, którzy pomogą mu wkroczyć na rynki światowe. W grudniu ma być gotowy plan.

Batalla uważa, że na ich sukcesie powinni skorzystać też inni. – Nie może być tak, że my się rozwijamy, a sąsiedzi nic z tego nie ma – mówi i dodaje, że wraz z dawnymi partyzantami wielu mieszkańców zapomnianej dotąd wsi szuka dla siebie miejsca w społeczeństwie. Z ich biznesu żyje już 15 rodzin.

Strony jasne, strony ciemne

Byli partyzanci często osiedlają się w dalekich zakątkach kraju. Jak okoliczni mieszkańcy reagują na ich sąsiedztwo? – To nie my pojawiliśmy się w tych rejonach, partyzantka była tu od dawna. Nowością jest tam państwo – uważa Batalla, który swą działalność rozwija w gminie Anorí, oddalonej o pięć godzin jazdy od Medellín.

Gdy z nadejściem pandemii szwaczki straciły tam zajęcie, byli partyzanci szkolili je w szyciu materiałowych maseczek. W innym przypadku zapewniona przez rząd karetka, która na wsi pojawiła się wraz z dawnymi partyzantami, wprawiła lokalnych mieszkańców w zdumie-

nie: dotąd najbliższy lekarz oddalony był o cztery godziny drogi. Batalla: – Chcemy zapewnić tym ludziom godne zatrudnienie, oni przetrwali wojnę, są jej ofiarami.

Mówi, że na wieś zmiany wkraczają powoli, a przejawiają się w drobiazgach: – W niedzielę grywamy razem w piłkę. Policjanci, byli partyzanci i mieszkańcy.

Scena, która przed kilku laty byłaby nie do pomyślenia, mogłaby symbolizować nową rzeczywistość. Jednak nie wszędzie jest tak idyllicznie. W lipcu tego roku grupa 93 osób – byłych partyzantów z rodzinami – spakowała dobytek i w asyście wojska (do niedawna ich wroga) opuściła gminę Ituango, w górach na północ od Medellín. Po tym, jak 11 byłych członków guerilli mieszkających w tym regionie zabito, reszta obawiała się, że przyjdzie ich kolej. Wcześniej pogroźki zmusiły do opuszczenia regionu 70 osób związanych z FARC.

Według danych z października, od podpisania porozumienia pokojowego w kraju zamordowano 232 byłych partyzantów. Niemal drugie tyle otrzymuje pogroźki, a kilkunastu przepadło bez śladu. W nielicznych przypadkach prokuraturze udało się ustalić sprawców. Dawni partyzanci mówią o eksterminacji, ale rząd jest ostrożny w szukaniu związku między pojedynczymi zdarzeniami. Uznaje się, że większość zabójstw można przypisać grupom, które oddzieliły się od

FARC z chwilą podpisania traktatu pokojowego, nie złożyły broni i wciąż prowadzą działalność (dziś w dużej mierze czysto kryminalną), a także gangom narkotykowym.

Niezależnie od tego, jaka jest prawda, sytuacja grozi poważnymi skutkami. Według Misji Weryfikacyjnej ONZ w Kolumbii przemoc wobec rozbrojonych partyzantów to jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla utrzymania pokoju.

Problematiczny jest też temat własności terenów, na których byli członkowie FARC rozwijają swoją działalność. Choć porozumienie pokojowe nie gwarantuje dawnym partyzantom ziemi, rząd zobowiązał się do jej zakupu. Dane słowo jak dotąd pozostaje jednak głównie obietnicą. Batalla uważa, że politykom brak woli: – Prawicowym władzom niełatwo jest wręczać ziemię byłym partyzantom.

MIMO WSZYSTKO Martín Batalla wierzy, że pokój jest możliwy. – Gdybym tak nie myślał, dawno byłbym z powrotem w górach – mówi. Marzy o Kolumbii, w której ludzie żyją spokojnie. Gdzie upominający się o swoje prawa nie są uciszani (tylko w tym roku zamordowano ponad 200 lokalnych aktywistów i polityków), a fundamentalnie różne poglądy ścierają się jedynie w dyskusji. Prywatnie chciałby też skończyć studia, które przerwała wojna. ©

Nowa ikona światowej lewicy

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Jacinda Ardern zaproponowała w Nowej Zelandii inną politykę niż Trump, Johnson czy Bolsonaro. Wygrała: najpierw w walce z pierwszą falą epidemii, potem w wyborach.

JUŻ WCZEŚNIEJ BYŁO WIADOMO, ŻE JEST najpopularniejszym nowozelandzkim premierem od dawna. Ale skala zwycięstwa, które Jacinda Ardern odniosła 17 października, przekroczyła oczekiwania. Pierwszy raz od reformy systemu wyborczego w 1996 r. – z anglosaskiego na mieszany, który sprzyja rządowi koalicyjnym – centrolewicowa Partia Pracy będzie rządzić sama.

Ma za sobą spektakularną karierę. Trzy lata temu, w wieku 37 lat, niespodziewanie została szefową rządu, stając na czele sojuszu Partii Pracy, Zielonych i małej populistycznej partii New Zealand First (trzy lata temu ta ostatnia była „języczkiem u wagi” – teraz bardzo straciła). Wkrótce potem Ardern zaszła w ciążę. Ciężar opieki nad dzieckiem wziął na siebie jej partner, co wciąż jest na tyle rzadkie, że zainteresowało światowe media. W roli globalnej ikony progresistów Jacinda Ardern szybko zastąpiła premiera Kanady Justina Trudeau.

– Wymagania, które stawiano polityczkom, zwłaszcza młodym, często były sprzeczne: z jednej strony miały zachowywać się „jak kobiety”, z drugiej lidera kojarzono z cechami przypisywanymi mężczyznom. Ona pokazała, że silne przywództwo można zdefiniować inaczej – mówi „Tygodnikowi” dr Claire Timperley, politolożka z Uniwersytetu Wiktorii w Wellington. Timperley podkreśla, że Ardern nie odgrywa roli „matki narodu”.

„Najważniejsze jest pozbycie się strachu przed byciem życzliwym i empatycznym. Ze smutkiem myślę o tym, że tak duży nacisk kładliśmy na asertywność i siłę, że założyliśmy, iż wykluczają one życzliwość i empatię. A gdy przyglądamy się wyzwaniom stojącym przed światem, właśnie tego szczególnie potrzebujemy. (...) Można być i empatycznym, i silnym”

– tak Ardern podsumowywała swoją polityczną filozofię w rozmowie z dziennikiem „The Guardian”.

Skutecznie wobec epidemii

Test przyszedł szybko, w postaci trzech kryzysów: najpierw największego w historii kraju zamachu terrorystycznego (w meczu w Christchurch), potem erupcji wulkanu Whakaari, wreszcie pandemii. Wynik ostatnich wyborów pokazuje, że w oczach obywateli test zdała.

Po Christchurch skupiła uwagę na ofiarach, odmawiając nawet wymieniania nazwiska terrorysty i podkreślając, że nie reprezentuje on Nowozelandczyków. Szybko doprowadziła do wprowadzenia zakazu sprzedaży karabinów półautomatycznych i szturmowych. Kilka miesięcy później znów przeprowadzała naród przez żałobę – tym razem po śmierci 21 osób, które zginęły w efekcie erupcji Whakaari.

Największe uznanie zdobyła sposobem, w jaki reagowała na pandemię, jak wyjaśniała działania rządu podczas codziennych briefingów i transmisji live na Facebooku. Nie pouczała, lecz wspierała i jednoczyła „naszą drużynę pięciu milionów” (tytu mieszkańców liczy Nowa Zelandia). Analizująca style przywództwa dr Suze Wilson z Massey University dodaje do tego autentyczność. – Ona bardzo skraca dystans. To buduje zaufanie, bo ludzie czują, że nikogo nie odgrywa – mówi „Tygodnikowi”.

Sondaże wskazują, że ponad 80 proc. mieszkańców ufa rządowi w walce z epidemią. Nowa Zelandia wymieniana jest wśród krajów, które najlepiej sobie z nią radzą. Oczywiście – niezbyt licznemu państwu, rozciągniętemu na wyspach, było łatwiej. Ale kluczowe było też to, że wedle zasady „go hard and early” rząd

szybko wprowadził drakoński lockdown, jednocześnie rozbudowując system testowania i śledzenia dróg zakażeń.

Suze Wilson dodaje, że rząd włożył spory wysiłek w informowanie o swoich działaniach, badaniach naukowych i zagrożeniach, oraz sugerował, jak się odnaleźć w codzienności pandemii: – Przekazywanie na bieżąco wiarygodnych informacji stworzyło wspólnotę ludzi, którzy rozumieli naturę problemów i co musi zostać razem zrobione. To budowało zaufanie.

Bez wielkich reform

Jednak nie wszystko się udało. Zawiedzeni poczuli się zwłaszcza wyborcy, którzy liczyli na poważne reformy ekonomiczne i społeczne. A oczekiwania były ogromne. Trzy lata temu Claire Timperley pisała, że Ardern ma potencjał, by przeprowadzić wielką transformację. Teraz przyznaje, że jej nie było. – Zbudowała duży kapitał polityczny, ale nie wykorzystała go do przeprowadzenia budzących kontrowersje inicjatyw, zastanawiam się, po co go trzyma – mówi dziś. Z drugiej strony, to właśnie umiarkowanie przycięgnęło do Ardern centrowych wyborców.

Ardern jest jednym z najbardziej progresywnych przywódców w świecie anglosaskim. Jej rząd jako jeden z pierwszych przyjął cel neutralności klimatycznej do 2050 r., choć eksperci podkreślają, że muszą pójść za tym konkretne działania (przede wszystkim redukcja emisji metanu w rolnictwie). Jako pierwszy ogłosił też, że budżet nie będzie już tylko podporządkowany wzrostowi PKB, ale priorytetem jest też „well-being”, czyli dobrostan ludzi i środowiska (trudno jeszcze ocenić rezultaty tej deklaracji).

Priorytetem premier miała być walka z ubóstwem dzieci, ale choć zrobiła więcej niż poprzednicy, nie odniosła znaczącego sukcesu. Wśród krajów rozwiniętych Nowa Zelandia jest na drugim miejscu pod względem samobójstw młodych. Eksperci wskazują, że rozwiązanie problemu wymaga zatrzymania pogłębiających się nierówności i skutków dyskryminacji rdzennych mieszkańców. Ardern wykluczyła też wprowadzenie podatku dla najbogatszych. Spektakularną porażkę poniósł KiwiBuild, program budowy tańszych mieszkań. Co gorsza, towarzyszący pandemii kryzys może pogłębić społeczne i ekonomiczne nierówności. – Ardern okazała się nie tyle politykiem

wielkiej transformacji, co stopniowej zmiany – komentuje Claire Timperley.

Kobiety radzą sobie lepiej?

Przywódczyni, które dobrze radzą sobie podczas pandemii, jest więcej. W światowych mediach pojawiła się teza, że kobiety okazały się skuteczniejsze – wskazywano na Angelę Merkel (Niemcy), Tsai Ing-wen (Tajwan), Mette Frederiksen (Dania), Katrin Jakobsdottir (Islandia) czy Sannę Marin (Finlandia).

Korelację między płcią a efektywną walką z pandemią widzą brytyjskie badaczki Supriya Garikipati (Uniwersytet Liverpoolski) i Uma Kambhampati (University of Reading), które analizowały dane z prawie 200 państw. Jednak tylko w 17 z nich przewodzą kobiety; niektórzy twierdzą, że to za mała próba, by wyciągać wnioski. W każdym razie, z ich analizy – odwołującej się do teorii gender – wynika, że kobiety miały działać bardziej zdecydowanie przy zamykaniu gospodarek, mniej obawiały się skutków ekonomicznych i w pierwszej kolejności dążyły do uniknięcia śmierci ludzi. Ich zdaniem może to wynikać z tego, że kobiety są bardziej otwarte na współpracę i dialog oraz lepsze w komunikacji z obywatelami.

O podsumowanie publikowanych w ostatnich miesiącach badań poprosiłam prof. Ruth Carlitz z wydziału nauk politycznych Tulane University w Nowym Orleanie. Carlitz przestrzega, że wnioski są wyciągane za szybko: – Dowody na bezpośredni związek między płcią przywódcy a sukcesami w walce z pandemią nie są zbyt mocne. Badania wskazują natomiast, że wyższej efektywności sprzyja tu wysoki poziom zaufania społecznego i niski poziom korupcji w danym kraju. Kluczowa jest też oczywiście jakość instytucji państwowych.

Zdaniem prof. Carlitz korelacja może być odwrotna: niekoniecznie chodzi o to, że kobiety z racji płci lepiej sobie radzą, ale że społeczeństwa, które wybierają na przywódcę kobietę, statystycznie częściej mają wysoki poziom zaufania społecznego.

Styl to nie wszystko

Odmienność stylu Ardern widać zwłaszcza na tle liderów stylizujących się na macho, jak Donald Trump czy Boris

Johnson, których rządy prof. Keith Grint z Uniwersytetu Oksfordzkiego nazywa „przywództwem na prozacu”. – Tacy liderzy są zainteresowani tylko dobrymi wiadomościami, nie obchodzi ich jakkolwiek krytyka. Albo ją ignorują, albo nawet nie dowiadują się o niej od podwładnych – mówi Grint „Tygodnikowi”.

Czy pandemia może okazać się punktem zwrotnym, bo dowiedzie nieskuteczności takich liderów? – Chciałabym wierzyć, że to początek nowej fali politycznych przywódców, ale na razie jest zbyt mało przykładów, aby stawiać taką tezę – uważa prof. Ruth Carlitz. Przyznaje jednak, że bada głównie przywódców autorytarnych. – Fascynujemy się Trumpem i Bolsonaro, a przecież budowanie na ich podstawie trendu dla całego świata to postępowanie selektywne. Na opowiedzenie czeka historia alternatyw – dodaje.

Prof. Grint też się waha: – Po doświadczeniu kilku lat rządów prawicowych populistów można oczekiwać, że wyborcy będą chcieli spróbować czegoś zupełnie innego. Ale nie wiem, czy to będzie zmiana na stałe, czy tylko odbicie wahadła.

Jego zdaniem, aby konkurować z takimi politykami jak Trump, potrzebna jest przekonująca oferta polityczna. – Tu nie chodzi tylko o styl przywództwa. Wydaje mi się, że popularność prawicowych populistów jest opóźnioną reakcją na

kryzys z 2008 r., a więc konieczny jest też zwrot ideologiczny – mówi „Tygodnikowi”. Grint uważa przy tym, że silna wiara w wolnorynkowe rozwiązywanie wszystkich problemów jest jednym z czynników, które nie sprzyjają efektywnej walce z pandemią.

DRUGA KADENCJA będzie dla Jacindy Ardern trudniejsza, bo jej rząd będzie musiał zmierzyć się ze skutkami kryzysu ekonomicznego wywołanego przez lockdown. Nowa Zelandia jest w recesji, a kryzys może pogłębić nierówności. Choć więc Ardern ma teraz wystarczające poparcie, by podjąć poważne reformy, może wówczas stracić wyborców centrowych.

W każdym razie, po ostatnich wyborach Nowa Zelandia ma najbardziej zróżnicowany i jeden z najmłodszych parlamentów w historii. Na 120 miejsc prawdopodobnie 57 zajmą kobiety. ©



Premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern podczas kampanii wyborczej. Auckland, 10 października 2020 r.

Hambardzumjan został w domu

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z GÓRSKIEGO KARABACHU

**Mieszkańcy Stepanakertu chcieliby wrócić do swoich mieszkań.
Ale tym razem wojna rozgorzała na dłużej, niż się tego spodziewali.**

RĘCE OPARTE O STÓŁ, NA NIM PUSTY KIELISZEK, paczka papierosów, popielniczka i pilot od telewizora. Na ścianie dywany i krzyż. Poza stołem i krzesłami dwa tapczany oraz komoda. Gdy przyszedłem, na stole postawił jeszcze dwie filiżanki ze spodkami, nałał do nich herbatę; obok ustawił puchar z cukierkami. Okna zabudowanego balkonu musiał zalepić folią, bo szyby nie wytrzymały wybuchu pocisku, który spadł na jego podwórko. Uszkodził poważnie budynek, a około 70-letniemu sąsiadowi, który akurat palił papierosa na balkonie, odłamek przebił gardło. Mężczyzna zmarł.

Ale Wreż Hambardzumjan twierdzi, że się tego wszystkiego nie boi. Ma dosyć życia ciągle szarganego wojną. Postanowił więc przesiedzieć ją w swoim mieszkaniu. Chciał walczyć po raz kolejny, zgłosił się na ochotnika. – Trzeba bronić ojczyzny zawsze, niezależnie od wieku – mówi pewnym głosem.

Jednak tym razem nie dali mu walczyć. Po kilku dniach 65-latkę zawrócili z frontu. W takim wieku, schorowany i ranny w pierwszej wojnie o Górski Karabach, nie mógł przynieść wiele korzyści na froncie. Sam zresztą przyznaje, że jedyne, czego naprawdę nie rozumie, to współczesnych konfliktów. Takich jak ten, który trwa od 27 września, wokół Górskiego Karabachu.

Pomimo to na podniszczonym balkonie Hambardzumjan trzyma nowy mundur, a pod tapczanem karabin szturmowy AKM i trochę granatów. Nie zamierza opuszczać mieszkania, choć wszyscy pozostali mieszkańcy uciekli z dwupiętrowego budynku.

Syreny nie zaskoczyły

Sąsiadka Ramela Majiljan jest o trzy lata młodsza od Hambardzumjana. Jest dla

niego jak siostra. – Nie rodzona, tylko taka od serca – mówi mężczyzna.

Mieszkają w tym budynku od lat 60. XX w., najdłużej ze wszystkich. Wówczas Górski Karabach był jeszcze okręgiem autonomicznym w ramach Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Sowietkiej. Znają się prawie całe życie. Hambardzumjan mówi na Majiljan: „złociutka”.

Mimo to nie posłuchał Rameli, gdy 27 września wybuchła kolejna odsłona wojny między Armenią a Azerbejdżanem o nieuznaną republikę Górskiego Karabachu czy też, jak nazywają ją tutaj, Arcachu. Jest ona *de iure* terytorium Azerbejdżanu, ale zamieszkała jest od ponad 25 lat wyłącznie przez Ormian, którzy sprawują w niej władzę i nie chcą mieć nic wspólnego z Baku.

Konflikt, który trzy dekady temu zaczął się od zamieszek i pogromów, przestoczył się w wojnę ormiańsko-azerską, w której zginęło 30 tys. ludzi. Zakończył się w 1994 r. zawieszeniem broni i zwycięstwem Ormian, którzy przejęli kontrolę zarówno nad Karabachem, jak też nad otaczającymi go w bezpośrednim sąsiedztwie terenami Azerbejdżanu, które uznali ze swoją „strefą buforową”; ludność azerską wygnali. Konflikt jednak nigdy nie wygasł. Do ostatniej poważnej eskalacji, tzw. wojny czterodniowej, doszło w 2016 r.

Tym razem jednak jest on najintensywniejszy od ponad 25 lat. Tylko po stronie ormiańskiej liczba zabitych żołnierzy przekroczyła tysiąc (to oficjalne dane). Azerbejdżan nie ujawnia informacji o swoich poległych żołnierzach. Zginęło też kilkudziesięciu cywilów – zarówno na terytorium Górskiego Karabachu, jak też Azerbejdżanu.

W niedzielę 27 września po siódmej rano w 55-tysięcznym Stepanakercie, stolicy nieuznawanej republiki, zawyły syreny systemu ostrzegawczego przed

bombardowaniem. Ludzie obudzili się i usłyszeli, że toczą się walki. Dla wielu nie było to zaskoczeniem, bo to nie pierwszy raz, gdy w regionie wybuchały starcia. Jedni postanowili przeczekać, a inni woleli wyjechać: szacuje się, że do Armenii uciekło przynajmniej 60 tys. spośród 150 tys. mieszkańców Górskiego Karabachu. Miejscowe władze powiedziały cywilom, by zeszli do piwnic, a mężczyznom w wieku poborowym, by poszli walczyć.

Wtedy właśnie Hambardzumjan ruszył na front, z którego niemal od razu zawrócono go do domu.

Podziemne miasto

Ramela Majiljan wraz z żoną Hambardzumjana i pozostałymi mieszkańcami udała się do podziemi pobliskiego domu. To duży garaż w nowym pięciopiętrowym budynku.

W podziemiach schroniło się tu ok. 30 osób – kobiet i mężczyzn. Wszyscy są z okolicy. W betonowym pomieszczeniu w kilku miejscach położyli materace przykryte kocami, w innym stoły, przy których można zjeść, a w jeszcze innym – piec opalany drewnem, otoczony rozkładanymi krzesłami. To jedyne miejsce, gdzie można się zagrzać w chłodnych podziemiach. To właśnie zimno jest najbardziej doskwierające dla ukrywających się cywilów. Wkrótce będzie jeszcze bardziej, bo nocami temperatura spada poniżej 10 stopni Celsjusza.

Poza tym piwnica jest jednak dobrze zaopatrzona: jest tam dużo jedzenia, po które sami się zgłaszają do miejskich władz lub przywożą je do nich samochodami. Mają konserwy, ser, świeże i kiszzone warzywa, jajka, chleb, olej, sól i cukier, a także herbatę i kawę.

– Przywożą je nam do piwnicy, co trzy-cztery dni – mówi Majiljan. – Dają nawet papierosy. Jest całkiem niezłe, tylko wojna jest zła.

W Stepanakercie, doświadczonym następującymi po sobie konfliktami, nauczone się sprawnie funkcjonować w sytuacji kryzysowej. Działają służby komunalne, które wstrzymywały pracę tylko podczas najgorszych ostrzałów. W większości miejsc jest prąd i woda. Uszkodzenia niewymagające dużych nakładów są szybko naprawiane. Władze nieuznawanej republiki rozwożą emerytury. Z bankomatów z reguły można wypłacać pieniądze. W nielicznych otwartych sklepach jest mniej towarów, ale ciągle



Ramela Majiljan wraz z około 30 osobami mieszka od miesiąca w garażu i tam obchodziła swoje 62. urodziny. Stepanakert, 21 października 2020 r.



65-letni Wreż Hambardzumjan przełącza kanały w telewizorze. Mimo zagrożenia ostrzałem zawziął się, że nie pójdzie do schronu. Stepanakert, 21 października 2020 r.

można kupić te najpotrzebniejsze. Choć przez trzy tygodnie miasto wyglądało na zupełnie opustoszałe, bo mało kto chciał niepotrzebnie wychodzić na ulicę, to nie dochodzi do szabrownictwa.

Pomoc dla mieszkańców Górskiego Karabachu na taką skalę jest możliwa dzięki wsparciu trzymilionowej Armenii i rozsianej po świecie ormiańskiej diaspory, której liczebność szacowana jest na 7 mln ludzi.

Gwałtowne przebudzenie

Gdy Hambardzumjan wrócił ze swojej krótkiej służby wojskowej, nie miał nic

do roboty. Poprzysiągł sobie, że nie zejdzie do piwnicy.

Kilkukrotnie pytałem go, dlaczego. Za każdym razem jak mantrę powtarzał: „Nie boję się niczego”. Dopiero za którymś razem przyznał, że już jest zmęczony życiem spędzonym w towarzystwie wojny, która od dekad nie może się skończyć.

– Siedzę w domu i nikomu nie przeszkadzam – mówi Hambardzumjan.

Dni upływają mu w samotności przed telewizorem, więc wyciągnął butelkę, postawił kieliszek i nalewał do niego wódkę lub tak popularny tutaj koniak.

Szóstego dnia od wybuchu wojny nic nie wskazywało, aby ten dzień miał wyglądać inaczej od pozostałych. Ramela Majiljan wraz z sąsiadami poszła na podwórze koło domu, nudziło się im, chcieli wyjść z piwnicy i porozmawiać na świeżym powietrzu. Wkrótce znowu poszli do schronu, żeby jednak nie wystawiać szczęścia na próbę. Hambardzumjan uciął popołudniową drzemkę. Przebudził go nagle straszliwy huk i dźwięk pękającego szkła na jego balkonie. Wybiegł na ulicę, aby zobaczyć, co się stało.

Pocisk spadł tuż obok jego domu. Garaż, samochód były zupełnie zniszczone. Fasada jego budynku została lekko naruszona, dużo gorzej wyglądał ten sąsiedni. Mieszkańcy twierdzą, że nie było tam żadnego militarnego celu, który mógłby ściągnąć na siebie ogień artylerii. Hambardzumjan obejrzał spustoszenie i wrócił do domu. O zejściu do piwnicy nie pomyślał ani przez chwilę. Zachodzi do niej tylko na chwilę zobaczyć, co słychać, ale nie zostaje na nocleg.

Pytam jego żony, co myśli o uporze męża. Kobieta wzrusza ramionami z taką miną, jakby próbowała przekonać go już dziesiątki razy, żeby opuścił to cholerne mieszkanie...

Azerska ofensywa trwa

Na szczęście dla upartego Hambardzumjana dziś, w czwartym tygodniu wojny, sytuacja w mieście trochę się uspokoiła, ostrzał zelżał. Za to na froncie sytuacja jest dla Ormian coraz gorsza.

Azerbejdżańskie wojsko szybko zajmuje kolejne tereny. Wprawdzie z dostępnych informacji można wnosić, że do połowy minionego tygodnia Azery zdobyli jedynie bardzo niewielkie obszary dawnego Górsko-Karabaskiego Obwodu Autonomicznego – większość zajętego przez nich terenu to właśnie owa „strefa buforowa”, czyli ziemia, która przed 1994 r. należała do państwa azerbejdżańskiego i kiedyś zamieszkała była w większości przez Azerów.

Jeśli jednak armia Azerbejdżanu zechce pójść dalej w głąb samego Karabachu, to jest mało prawdopodobne, by Ormianie mogli powstrzymać ofensywę. Przewaga militarna Azerów jest ogromna.

Karabin skuteczny jak pałka

Jak wielu Ormian w Górskim Karabachu, Hambardzumjan bezpośrednio doświadczył wojny. W 1992 r. brał udział w walkach →



Podwórko obok domu Wreża Hambardzumjana, na które spadł pocisk. Stepanakert, 21 października 2020 r.

→ o miasto Szuszi (po azersku Şuşa). Starszy mężczyzna chwali się orderem za zasługi, otrzymanym od miejscowych władz.

Szuszi znajduje się 13 kilometrów na południe od Stepanakertu. 9 maja 1992 r. siły ormiańskie pokonały w tej bitwie wojska azerbejdzańskie, mimo znaczącej przewagi liczebnej tych drugich. Dlatego w Górskim Karabachu ten dzień świętowany jest nie tylko z powodów rocznicy zakończenia II wojny światowej. Wtedy podczas walk Hambardzumjan został ciężko ranny – ma blizny na prawej ręce i nodze, którą powłóczy.

Podobnie jak wielu rodaków Hambardzumjan uważa, że wtedy zwycięstwo udało się wywalczyć hartem ducha i wolą walki o ziemię zamieszkałą przez Ormian. Mają nadzieję, że i tym razem zapewni im to sukces. Często powtarzają, że w pierwszej odsłonie tamtej wojny Azerbejdżan również miał przewagę militarną, a mimo to na koniec przegrał.

Dzisiaj jednak żołnierze Azerbejdżanu powoli, ale idą naprzód. Mimo podpisanych dwóch porozumień o zawieszeniu broni nie wydaje się, aby mieli zamiar się zatrzymać. W tej wojnie przewaga nie wynika z liczby żołnierzy i ich osobistej

odwagi, lecz z technologii. Utrapieniem dla Ormian są zwłaszcza drony – nie mają dość własnego uzbrojenia, które mogliby im przeciwstawić. Drony niszczą ormiańskie czołgi, stniemianowiska artylerii i umocnienia piechoty. Nawet z największą wolą walki, z największym męstwem, ormiańscy żołnierze nie są w stanie stać czoło uderzeniom z powietrza.

– W tej wojnie być uzbrojonym w karabin to tak, jakby być uzbrojonym w pałkę – mówi Ramela Majiljan.

W Stepanakercie co rusz ktoś konstatuje, że wojna już nie jest taka, jak była kiedyś. Dawniej na wojnie strzelało się do wroga z karabinów, a teraz to tylko walka z powietrza – różnego rodzaju dronami, zarówno bojowymi, jak też zwiadowczymi, które naprowadzają ogień azerbejdżańskiej artylerii. Współczesny wymiar wojny zupełnie zbił z tropu ormiańskich mieszkańców Karabachu.

Toast za walczących

Następnego dnia znów zaglądam do ich garażu, przerobionego na schron. Kobiety nakrywają do stołu, szykują jedzenie. Jeden z mężczyzn polewa do kieliszków samogon i domowe wino. Okazji do świętowania jest co niemiara. Majiljan i druga

Ramela mają urodziny, natomiast Anna obchodzi dwudziestą rocznicę ślubu. Pierwszy toast zostaje wzniesiony za te trzy kobiety. Drugi za walczących.

Mąż Anny i jej trzech synów są na froncie. Mąż szwagierki Hambardzumjana przepadł bez wieści w 1992 r., a jego synowie służą obecnie. Praktycznie każda ormiańska rodzina w Górskim Karabachu ma kogoś, kto brał lub teraz bierze udział w wojnie. Trzeci toast wzniesli za zwycięstwo i za pokój. Unoszą kieliszki przy słabym świetle garażowych lamp. Mówią, że czują się źle z tym, że piją tutaj, gdy inni walczą na froncie.

Czy myślą, że wkrótce wrócą do domów? Słyszając pytanie, markotnieją. Choć każdy w Stepanakercie mówi o nadchodzącym zwycięstwie, to wśród mieszkańców czuć narastający niepokój.

Hambardzumjana nie ma z nami w garażu. Ramela Majiljan zauważa z uśmiechem, że pewnie znów pije w swoim mieszkaniu, w samotności. On za to siedzi niewzruszony, z przekonaniem, że jest gotowy na wszystko, co może zgłotać mu los.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst ukończono 23 października w południe.

WOJCIECH

Bonowicz:

Mozaika



DZIEŃ TAKI PIĘKNY, ŻE WŁAŚCIWIE NIE POWINNO SIĘ PISAĆ, TYLKO OGLĄDAĆ. Na ławce przed blokiem siedzą dwie starsze panie w maseczkach i obserwują życie, które przesuwa się im przed oczyma. Ja, też w maseczce, mijam je i, choć się nie znamy, mówię: „Dzień dobry paniom”. „Dzień dobry panu”, odpowiadają, cały czas patrząc przed siebie.

Odwiozłem tatę na wieś, kupiłem nowy pasek do spodni i teraz idę na długi spacer. Pod kasztanowcem gromadzą się gołębie. Nikt ich tu nie dokarmia, ale w pobliżu jest śmietnik, a ludziom zawsze coś upadnie na trawę albo chodnik. Gołębie krążą pod drzewem, od czasu do czasu zabawnie uskakując, kiedy spada pojedynczy kasztan. Tuż za granicą osiedla spotykam przywiązaną do drzewa kozę. Ona również się mną nie interesuje; odsuwając pyskiem suche liście, starannie wygryza gęstą, ciemnozieloną trawę. Ktoś, kto ją tu wprowadził, musi co jakiś czas się pojawiać, bo trawnik wokół kolejnych drzew jest wyskubany w równe półkola, tak daleko, jak daleko sięga sznur.

Idę na działki. Rok po śmierci mamy tata w końcu zdecydował się odsprzedać ten niewielki spłachetek, który przez lata uprawiali. Budka, którą postawił, ciągle stoi, ale znaczna część grządek zarosła trawą, krótką, więc chyba regularnie koszoną. W soczystej zieleni spoczywają żółte i czerwone dynie, to nowość, bo rodzice dyni nie hodowali. Kilka ogródków dalej dwie panie grabią liście, co jakiś czas się prostując. Jedna trzyma w dłoniach śliwkę, bluzę ma trochę podobną do tej, jaką nosiła mama. „Dzień dobry pa-

niom”, mówię, unosząc czapkę. „Dzień dobry”, odpowiadają, choć druga z nich, w liliowym sweterku, nawet nie odwraca głowy.

Na ścieżce wśród kruszonych cegieł ktoś rozsypał kawałki potłuczonej ceramiki. W świetle schodzącego słońca błyszczą się niczym mozaika, co każe mi pomyśleć o opowiadaniu Lucii Berlin, które czytałem kilka dni temu. Fotografuję nieprawdopodobnie żółte liście klonu. Niby co roku wyglądają tak samo, a jednak boję się, że któregoś razu nie będzie w tym miejscu tych żółci. Przypominam sobie, że jako dziecko lubiłem coś w rzeczywistości poprzestawiać. Na przykład zbierałem kasztany i zanosilem je pod orzech – albo na odwrót. Ale rzeczywistość dobrze się trzymała. Teraz już się tak nie trzyma.

Robię pętlę i wracam na osiedle. Dwa yorki bawią się ze sobą tuż obok szkolnego ogrodzenia. Przewracają jeden drugiego na ziemię, kotłują się, odskakują, żeby po chwili znów do siebie doskoczyć. Młoda kobieta, właścicielka jednego z nich, mówi do córki zdenerwowana: „Chyba musimy to przerwać. Ile tak tu będziemy stały?”. Widzę, że pod zapażowaną przyłbicą dziewczynka się nie uśmiecha, ale nie odrywa oczu od psów. Obok stoi pani w średnim wieku, do której zapewne należy drugi z nich. Ochryplym, papierosowym głosem zachęca psy do zabawy. „A jakie to ładne! Jakie to mądre! Jak to się cieszy! Hahaha! O tak!”.

Większość ławek jest zajęta, nawet te, które stoją bliżej ulicy. Jedna pani ma na rękach ażurowe rękawiczki, które wyglądają jak pończochy. Samotny pan odkrył twarz tylko po to, żeby podeprzeć sobie nos palcem. Pani z psem zasłania się przede mną tygodnikiem, ciekawe, czy gdybym był policjantem, przyszłoby mi do głowy, żeby wystawić jej mandat? A co z tymi paniami, które siedzą bez masetek, bo palą? „Dzień dobry”, mówię, nawet nie zakrywając dłonią telefonu, przez który właśnie rozmawiam. Uśmiechnięte, szczupłe, siwowłose, palą, wystawiając twarze do jesienno słońca. Nie odpowiadają, pewnie nawet nie zauważyły, że spoza maseczki ktoś się do nich uśmiechnął. ©

Już w najbliższym
„Tygodniku Powszechnym”
specjalny dodatek poświęcony

XXIX Festiwalowi Ars Cameralis

(Katowice i Bytom 9-28 listopada 2020)

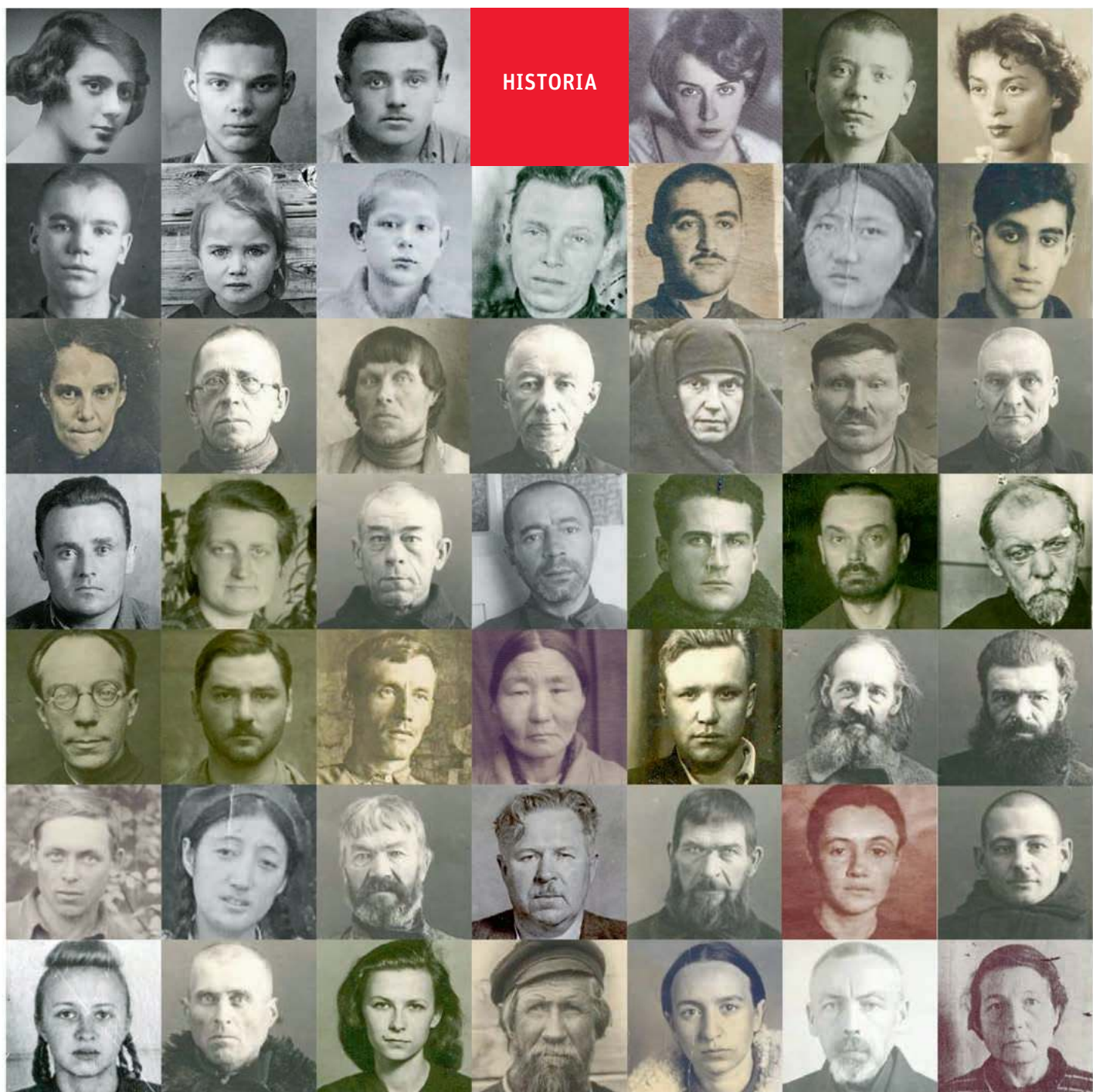
W dodatku:

Tadeusz Sławek o Utopii – haśle tegorocznej edycji festiwalu, dyrektor Ars Cameralis Marek Zieliński o gościach i publiczności festiwalu, organizacji wydarzeń kulturalnych w trakcie pandemii oraz o trzech filarach imprezy: literaturze, muzyce i sztuce.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Ars
Cameralis
Silesiae
Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO



Fotografie ofiar stalinowskiego terroru ze strony projektu „Nieśmiertelny Barak” i archiwum Stowarzyszenia Memoriał

NIEŚMIERTELNY BARAK

To największa encyklopedia ofiar komunizmu.

„Za każdym nazwiskiem stoi żywa historia.

Wymienić, opisać każdą z osób jest naszą powinnością” – deklarują jej autorzy.

ANNA ŁABUSZEWSKA

KAŻDEGO 30 PAŹDZIERNIKA, W DNIU Pamięci Ofiar Represji Politycznych, w Rosji od wielu już lat odbywa się oddolna akcja przywracania imion milionom anonimowych ofiar komunizmu i Stalina. Natomiast od pięciu lat na co dzień ich upamiętnieniem zajmuje się projekt „Nieśmiertelny Barak”.

Jego nazwa nawiązuje do akcji „Nieśmiertelny Pułk”, organizowanej rokrocznie z okazji Dnia Zwycięstwa: 9 maja przez rosyjskie miasta maszerują ludzie z portretami swoich przodków, uczestników II wojny światowej. Akcję wymyślili aktywiści z Tomsku: chcieli w ten sposób uczcić indywidualną ofiarę ludzi wręczonych w miazdzącą maszynę historii. Potem ideę przejął Kreml i odtąd marsz stał się sztandarowym elementem obchodów, uwierzytelniających jedyną dopuszczalną w putinowskiej Rosji wersję heroiczną i nieskazitelnej Pobjedy pod przewodnictwem nieomylnego Stalina.

Tymczasem „Nieśmiertelny Barak” to inicjatywa obywatelska: upomina się o tych, którzy najpierw zostali zabici jako wrogowie, a potem wypchnięci z pola narodowej pamięci. Poprzez przywołanie losów konkretnych osób uczłowiecza statystykę, pokazuje okrucieństwo systemu. Jest też sprzeciwem wobec bezkarności oprawców, którzy nawet zza grobu wciąż piszą historię. Portal internetowy pomyślany jest jako pomnik ofiar: są tu relacje, baza danych o ofiarach, dokumenty (np. listy przeznaczonych do rozstrzelania). Projekt utrzymuje się z datków. „Naszemu państwu to nie jest potrzebne” – piszą twórcy.

W zamieszczonym na stronie internetowej *credo* czytamy: „Oni wszyscy mogliby żyć. Kochać, urodzić i kołysać w ramionach dzieci i wnuki, czytać i pisać wiersze albo po prostu spacerować w deszczu lub słońcu. Nie chodzi o wiek. Ani zawód. Ani talent. Nie wolno odbierać życia. A oni zostali zabici. Bo trzeba było wypełnić plan. Bo trzeba było zastraszyć tych, którzy jeszcze żyli. Nie możemy im pomóc. Ale możemy zachować pamięć o nich. I o ich katach. Historia nie może się powtarzać. A jednak się powtarza. Dlaczego? Bo nie pamiętamy”.

Rozstrzelany teatr

Na tragedie narodów składają się tragedie indywidualne. Opowiedziane, robią większe wrażenie niż statystyki. Oto jedna z wielu.

Poligon Butowo pod Moskwą to miejsce, gdzie funkcjonariusze NKWD taśmowo pozbawiali życia ludzi uznanych przez reżim za szkodliwych lub zbędnych. W latach 1930-50 rozstrzelano tu i zrzucano do rowów ponad 20 tys. „elementów antysocjalistycznych”. Szczyt przypadł na lata Wielkiego Teroru 1937-38.

W oszroniony lutowy poranek 1938 r. w Butowie rozstrzelano cały teatr.

Teatr Skatuje działał w Moskwie od 1919 r. pod przewodnictwem Łotysza Osvalda Glāzniekisa (Oswalda Glāzunowa). Od 1932 r. miał status lotewskiego teatru narodowego. Ostatni spektakl odbył się w grudniu 1937 r. Wszystkie role zagrały w nim kobiety. Widzowie wynieśli wrażenie, że brały udział w eksperymencie teatralnym – nikt nie sądził, że męska część zespołu została właśnie aresztowana przez NKWD. Wkrótce aresztowano też kobiety. Do katowni trafili wszyscy członkowie trupy Skatuje, a także obsługa techniczna.

3 lutego 1938 r. w Butowie odbyła się egzekucja 229 Łotyszy – w tej grupie stracono także wszystkich pracowników teatru Skatuje. Wśród nich gwiazdę kina niemego Mariję Leiko, która zanim przeniosła się do Moskwy, grała w niemieckich filmach (m.in. w reżyserii wielkiego mistrza kina niemego Friedricha Murnaua). Dyrektor Glāzniekis uniknął wtedy zatrzymania – władza sowiecka dopadła go w 1944 r. Aresztowany w Rydze za współpracę z Niemcami, zginął w łagrze w 1947 r.

Na stronie „Nieśmiertelnego Baraku” czytamy: „Dołożono starań, by wytrzeć z ludzkiej pamięci wszelkie wzmianki o lotewskim teatrze. W ciągu 50 lat nie wypowiedziano ani słowa o Skatuje i losie aktorów. Jeśli w Rydze czasem padało pytanie: »A co się stało z naszą Mariją Leiko?«, moskiewscy komedianci w cywilu, odczekawszy chwilę, odpowiadali: »Powiesiła się w celi więzienia etapowego na jedwabnej pończoszcze produkcji niemieckiej«”.

W 2002 r. komisja moskiewskich władz odmówiła lotewskiemu stowarzyszeniu w Moskwie umieszczenia tablicy pamięci poświęconej Skatuje.

W kątach niepamięci

„Nieśmiertelny Barak” przypomina też o tych wstydlivych kartach, które putinowska Rosja pomija milczeniem, gdy

nie pasują do lansowanej wersji, wypolerowanej i heroicznej.

81 lat temu, nocą z 26 na 27 listopada 1939 r., funkcjonariusze NKWD dokonali prowokacji: ostrzelali z dział własne pozycje – pozycje Armii Czerwonej – w pobliżu osady Mainila przy granicy z Finlandią. Strona sowiecka oskarżyła o to Finów i uznała za *casus belli*. 30 listopada Armia Czerwona zaatakowała Finlandię, zaczęła się tzw. wojna zimowa.

Wcześniej w tajnym protokole do układu z 23 sierpnia 1939 r. Hitler i Stalin ustalili, że Finlandia to strefa wpływów Moskwy. Ale z Finlandią nie udał się Stalinowi manewr, który wcześniej stosował z powodzeniem wobec trzech państw bałtyckich: Helsinki nie zawarły umowy o pomocy wojskowej i nie zgodziły się na obecność u siebie sowieckich baz wojskowych. Zatem Stalin uderzył.

Za tę agresję Związek Sowiecki został 14 grudnia 1939 r. wykluczony z Ligi Narodów po masowych protestach społeczności międzynarodowej; sowieckie lotnictwo bombardowało obiekty cywilne. Komisarz (tj. minister) spraw zagranicznych Władimir Mołotow odrzucał oskarżenia: mówił, że lotnictwo zrzuca na Helsinki chleb dla głodującej ludności. Zanim w marcu 1940 r. zawarto rozejm, Armia Czerwona poniosła ogromne straty: co najmniej 167 tys. zabitych i 345 tys. rannych (straty fińskie to 26 tys. zabitych i 40 tys. rannych).

W Związku Sowieckim wojnę tę zepchnięto w kąt niepamięci. Nie było się czym chwalić: ogromne ofiary, potężna strata wizerunkowa. No i utrata Finlandii jako państwa przyjaznego – bo choć w umowie rozejmowej Finowie zgodzili się na odstąpienie 11 proc. swojego terytorium, to obronili niepodległość.

Barak dziecięcy

Przed kamienicę zajeżdża czarne auto, wysiada kilka osób – cywilów i funkcjonariuszy. Budzą dozorcę, który trzęsącymi się rękami otwiera bramę. Ludzie z czarnego auta wchodzą na drugie piętro. Łomoczą do drzwi mieszkania po lewej stronie. Nikt nie odpowiada. Środek nocy, wszyscy śpią. Najstarszy stopniem funkcjonariusz odbezpiecza broń. „Kto tam?” – słychać zaspany głos. „Otwieraj!” – ryczy zdenerwowany cywil. Struchlała kobieta uchyla drzwi. Wchodzi. „Męża już zabraliście tydzień temu” – szepcze. „My po was i dzieci” – odpowiada enkawudzista. ➔

→ „Przynajmniej je ubiorę, są w piżamach, śpią” – błaga. „Nie trzeba, zaopiekujemy się nimi. Wychodzić”.

Na zdjęciach, które w aresztach NKWD robiono zatrzymanym „członkom rodzin zdrajców ojczyzny”, dzieci mają zapłakane oczy, rozczochrane włosy, zasmarkane nosy, zaciśnięte usta. Nie rozumieją, co się dzieje, czemu wyrwano je z objęć matki, wygnano z ciepłych domów. Zbiór tych zdjęć portal „Nieśmiertelny Barak” zamieścił w oddzielnym dziale-projekcie pod nazwą „Nieśmiertelny Dziecięcy Barak”.

Zgodnie z rozkazem NKWD nr 00486 z sierpnia 1937 r. członkowie rodzin tych, których uznano za wrogów, też mieli podlegać represjom. Żony wysyłano do łagru na 5-8 lat. Z dziećmi postępowano różnie, choć zawsze okrutnie. Były odbierane rodzicom („wrogom ludu” zabrano ponad 17 tys. dzieci), którzy tracąc wszelkie prawa, tracili też prawa rodzicielskie. Małoletnie dzieci trafiały do wybranych rodzin, albo – częściej – do domów dziecka (w tym domów dziecka o zastrzyżonym rygorze) lub do przeznaczonych dla dzieci kolonii karnych. Nosząc piętno „dziecka zdrajcy”, były prześladowane. Niektóre skazywano na śmierć.

Bazę prawną przygotowano zawczasu: 7 kwietnia 1935 r. najwyższe władze sowieckie przyjęły uchwałę „o środkach walki z przestępczością wśród nieletnich”. Na jej podstawie karze podlegały dzieci, które ukończyły 12 lat. Tylko na poligonie Butowo stracono co najmniej 69 niepełnoletnich.

Reżim nie zadawał sobie trudu udowodnienia winy – zabijał zgodnie z wyznaczonym planem śmierci; zabijał, by trwać. Ci, którzy w tej morderczej loterii wylosowali życie, zwykle bali się do końca swoich dni. Strach był fundamentem reżimu.

Posiedzenie pro forma

Olga Urusowa pochodziła z książęcego rodu Golicynów. Z punktu widzenia władz bolszewickich była elementem zbędnym, a nawet wrogim. Zwłaszcza że jej mężem był książę Piotr Urusow, też wróg nowej władzy.

Karta informacyjna Olgi Urusowej na stronie internetowej ru.openlist.wiki zawiera podstawowe dane: urodzona w 1912 r., wykształcenie średnie, zawód wykonywany gospodyni domowa, bezpartyjna, aresztowana 31 stycznia 1938 r. w Tomsku, oskarżona o udział w spisku



Литцинская Тамара
(1910 — 1937)

Aby przybliżyć współczesnym Rosjanom ofiary Stalina, malarz Hasan Bachajew nałożył na zdjęcia dzisiejszych młodych ludzi fotografie zamordowanych. Tutaj: 27-letnia studentka Tamara Liczyńska, rozstrzelana w 1937 r.

Z lewej zdjęcie z więzienia, z prawej – fotomontaż Bachajewa.



HASAN BACHAJEW / NIEŚMIERTELNY BARAK x2

i przynależność do Związku Ratowania Rosji. Stała przed sądem. Albo raczej: przed tzw. trójką, orzekającą taśmowo, w szybkim trybie, wyroki śmierci wobec oskarżanych o spiski i zamachy na władzę sowiecką. 14 lutego 1938 r. Olga została skazana na rozstrzelanie; wyrok wykonano 5 marca. Miała 26 lat. Została zrehabilitowana w 1956 r.

Jej mąż został rozstrzelany nieco wcześniej, w styczniu. Jej brat Aleksandr Golicyn, aresztowany „za działalność powstańczą”, został stracony w lipcu (jego rzeczy osobiste skonfiskowano).

Natalia Makridina została aresztowana 26 kwietnia 1937 r. Bezpartyjna, wykształcenie średnie. Przed aresztowaniem przez jakiś czas nie pracowała. Skazana na śmierć na podstawie podpisanej osobiście przez Stalina listy osób przeznaczonych do rozstrzelania jako przestępcy szczególnie groźny: członkini „kontrrewolucyjnej organizacji terrorystycznej”. Pod listą figurują też podpisy Mołotowa, Kaganowicza i Woroszyłowa. Droga służbową lista trafiała do Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego. Tam polecenie zbrodniarzy z Biura Politycznego zatwierdzano po 10-minutowym posiedzeniu pro forma. Łącznie Stalin podpisał osobiście 388 takich list. Staraniem stowarzyszenia Memoriał listy opublikowano w latach 2002-03. Można je znaleźć także na portalu „Nieśmiertelny Barak”.

Makridina została rozstrzelana 16 sierpnia 1937 r., ciało przewieziono na cmen-

tarz Doński w Moskwie, gdzie grzebano ofiary terroru. Została zrehabilitowana w 1966 r.

I mnie rozstrzelają

Mówi się, że poeta w Rosji to więcej niż poeta. A rozstrzelany poeta?

Wiktor Chorodczinski przeżył 25 lat, z tym wiele w katowniach i łagrach. Był synem Fiodora Cederbauma, jednego z czołowych mienszewików. Miał niecałe 13 lat, gdy w 1925 r. został po raz pierwszy aresztowany: za sporządzenie i przeczytanie kolegom z klasy ulotki, w której wzywał do krytyki partii. Zesłano go na 5 lat na Wyspy Sołowieckie. Z łagru wyreklamowali go współtowarzysze ojca, powołując się na niepełnoletność – dzięki nim po dwóch latach Wiktor wrócił do domu.

Pisał wiersze. Ich tematem była również polityka. W 1932 r. jeden z takich wierszy stał się powodem kolejnego aresztowania. Znow Wiktor trafił przed oblicze „najbardziej humanitarnego sądu na świecie”, znow został oskarżony o założenie kontrrewolucyjnej organizacji i znow trafił do łagru. Był tam izolowany od innych więźniów, aby „nie szerzyć wrogiej ideologii”. Protestował, urządzał głodówki, domagał się przeniesienia do miejsca, gdzie są lepsze warunki (zachorował na gruźlicę).

W 1937 – roku rozprawy Stalina z przeciwnikami politycznymi i całą rzeszą ludzi, którzy w jego chorym wyobrażeniu mogli zagrozić jego władzy – Wiktor zo-

stał znów skazany, teraz na podstawie złowróbnego artykułu 58 (zdrada ojczyzny). Został rozstrzelany.

Zachowały się jedynie trzy jego wiersze, w tym wstrząsający pod tytułem „Egzekucja”: „I mnie rozstrzelają / smutny, spokojny jestem...”.

W 2017 r. moskiewski malarz Hasan Bachajew zrealizował przemawiający do wyobraźni projekt: zdjęcia współczesnych dziewcząt i chłopców zmiksował ze zdjęciami ofiar stalinowskich represji. Efekt był wstrząsający. Akcja Bachajewa była zrealizowana we współpracy z portalem „Nieśmiertelny Barak” (jest nadal dostępna w rosyjskim internecie).

Świat się dowiedział, nic nie powiedział

Jego książka powinna być wstrząsem dla społeczeństw Zachodu. Władimir Czernawin był przekonany, że gdy opowie o tym, czego doświadczył, gdy odrze z zakłamania sowiecką propagandę, gdy otworzy oczy nieświadomym Europejczykom, to ich obudzi i nauczy myślenia o prawdziwej naturze zbrodniczej sowieckiej tyranii. A może nawet sprawi, że ktoś ruszy na pomoc niewinnie cierpiącym. Nic takiego się nie stało.

Czernawin był biologiem, specjalizował się w ichtiologii. Pracował w Murmańsku i Leningradzie. W 1930 r. został aresztowany jako „szkodnik, winny nadużyć przy produkcji konserw rybnych”. Ludzi mających związek z produkcją zepsutych konserw skazano na śmierć i stracono, łącznie 48 osób. Śledztwo „wykazało”, że wraz z białą emigracją knuli przeciw władzy sowieckiej.

Ichtiolog zaplątał się w sieci historii niejako przy okazji: jak wielu naukowców „podwiązanych” do tej sprawy został aresztowany, gdyż był specjalistą od ryb. Gdy podczas przesłuchań odmawiał przyznania się do winy, oprawcy aresztowali jego żonę (Tatiana Sapożnikowa pracowała w Ermitażu, z konserwami nie miała nic wspólnego). Czernawin wytrzymał presję, dzięki czemu nie podzielił losu skazanych na śmierć. Ale na wolność nie wyszedł: wyrok 5 lat kolonii karnej miał odbyć na Solówkach. Praca była tam wyjątkowo ciężka. Jednak szczęście znów się do niego uśmiechnęło: przeniesiony do łagru niedaleko miasta Kiem w Karelii, miał tam wyznaczać łowiska i dokształcać kołchoźników.

Momentem przełomowym była wizyta w Kiemie żony i syna latem 1932 r. Czernawin postanowił podjąć próbę ucieczki z piekła łagru. Przez 22 dni rodzina szła ku fińskiej granicy, bez odpowiedniego ekwipunku i jedzenia. Udało im się. Już na Zachodzie Czernawin szukał możliwości przekazania światu swej unikatowej wiedzy o sowieckich represjach. Wydał w 1935 r. książkę „I Speak for the Silent: Prisoners of the Soviets” (Mówię w imieniu milczących. Więźniowie Związku Sowieckiego) poświęcił tym, którzy zostali po tamtej stronie.

„Mój los to zwykła historia rosyjskiego naukowca – pisał. – Los był dla mnie łaskawszy niż dla większości: mniej męczono mnie podczas przesłuchań, mój wyrok – 5 lat katorgi – był znacznie lżejszy od zwykle stosowanego (rozstrzelanie lub 10 lat łagru). Wielu ludzi przeszło przez tortury, było straconych. Nasza wspólna wina: staliśmy wyżej pod względem kultury, a tego bolszewicy nie mogli nam wybaczyć. Mówię o sobie tylko dlatego, że inni nie mogą mówić, umierają w milczeniu od kuli czekisty, udają się na zesłanie bez nadziei, że wrócą, i też umierają w milczeniu. Uciekłem z katorgi, ryzykując życiem żony i syna. Katorżnicy wierzą, że mogą być krzywdzeni tylko dlatego, że świat nie wie, co się tam dzieje”.

Świat – to znaczy: mały jego wycinek – dowiedział się. Ale być może nie wiedział, jak zareagować. A może wolał nie patrzeć w tamtą stronę.

Dwa miliony (na razie)

„W tamtą stronę” nie chcą też patrzeć niektórzy współcześni. Lokatorzy kamienicy przy ul. Rubinstein 23 w Petersburgu tak długo domagali się zdemontowania z fasady szesnastu tabliczek upamiętniających mieszkańców tejże kamienicy, represjonowanych w czasach stalinowskich, aż je zdjęto. Tabliczki umieszczono tam niedawno w ramach oddolnej akcji „Ostatni adres”: uświadamiającej, że ofiarami padali zwykli ludzie, mieszkający w zwykłych domach. Jak widać, trudno jest dźwigać dziś taki bagaż. Lepiej nie patrzeć.

Tymczasem licznik na stronie internetowej projektu „Nieśmiertelny Barak” pokazuje: jak dotąd udało się wydobyć z niepamięci 1 926 707 nazwisk.

Licznik wciąż odlicza.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Kryptonim „Soczewica”

OD 23 LUTEGO DO 9 MARCA 1944 ROKU

na Kaukazie Północnym trwała nakazana przez Stalina akcja pod kryptonimem „Soczewica”: deportacja narodów czeczeńskie i inguskiego do Kazachstanu i Kirgizji. W bydłce wagony zapakowano ponad 500 tys. ludzi (niektóre dane mówią o 650 tys.): dorosłych, dzieci, w mocno podeszłym wieku. Powieziono ich w stepy Azji Centralnej. W pierwszym roku pobytu w nowych miejscach osiedlenia zmarł co czwarty wywieziony. Wedle oficjalnej wykładni akcja była karą za kolaborację z Niemcami. Dotknęła całe narody, choć tereny Czechenów i Inguszy były pod niemiecką okupacją tylko w małej części i krótko.

Z relacji Rustama Muradowa: „Moi przodkowie opowiadali, że wieźli ich w wagonach towarowych. Ścisk był taki, że wszyscy musieli stać. Jechali kilka dni. Gdy pociąg się zatrzymywał, dostawali na wagon wiadro. Ojciec – wówczas mały chłopiec – wysiadł, aby nabrać wody. W błocie ugrzązł mu bucik, schylił się, aby go wyciągnąć. Towarzyszący mu żołnierz uderzył go i rzucił z pogardą: Zostaw, i tak ci się nie przyda”.

Jakub Miedow: „Dorośli nie jedli – karmili dzieci. Jeśli ktoś umierał, to jego ciało przykrywano, żeby żołnierze nie widzieli. Ale oni robili kontrole, wyciągali trupy z wagonu, zostawiali przy torach. Nie wiem, co z nimi było dalej. We wsi, do której nas zawieziono, nie było dla nas domów ani baraków. Wykopaliśmy ziemiankę, nie mieliśmy opału, było zimno. W rodzinie sąsiadów zmarło siedem osób. Ciała układali przy ścianie, w zmarzniętej ziemi nie dało się wykopać grobu. My, dzieci, baliśmy się spać przy tej ścianie, bo wiedzieliśmy, że po drugiej stronie leżą nieboszczycy. Więc babcia się kładła przy samej ścianie, a dopiero potem my układaliśmy się po kolei na podłodze”.

Issa Kodzozew: „W sąsiednim wagonie umierała starsza kobieta, bredziła, że chce się napić mleka. Na postoju jej syn pobiegł po mleko. Gdzieś je w końcu kupił. Tymczasem pociąg ruszył, a ten mężczyzna starał się go dogonić. Obserwował to żołnierz stojący w drzwiach wagonu. Gdy przekonał się, że mężczyzna nie dogoni nabierającego szybkości pociągu, zastrzelił go. Mężczyzna upadł na wznak, mleko się rozlało. Do dziś mi się to śni”. © AŁ

KAMIENIE I SKANERY

Mózg człowieka najbardziej urósł w paleolicie – epoce kamienia. Czy to dlatego, że nasi przodkowie zaczęli wytwarzać narzędzia?

KASPER KALINOWSKI

POZOSTAWIONE PRZEZ NASZYCH ODLEGLYCH przodków kamienne narzędzia mogą wyglądać niepozornie, ale wytworzenie ich nie było łatwe. Zdaniem jednego z niewielu współczesnych praktyków – Dietricha Stouta, antropologa z Uniwersytetu Emory’ego – praca ta „wymagała bardzo precyzyjnych uderzeń wykonywanych zbyt szybko, by można w ich trakcie dokonać korekty”.

Wytwarzanie paleolitycznych narzędzi Stout przyrównuje do rzeźbienia w marmurze – jeden błędny ruch może zniszczyć dzieło. Jemu samemu stworzenie pierwszego, które dorównałoby pierwotworom, zajęło ok. 300 godzin. Uczestnicy kursu archeologa Bruce’a Bradleya na Uniwersytecie w Exeter na nauce łapania kamieni spędzali średnio 167 go-

dzin, a przygotowane przez nich narzędzia ustępowały tym z paleolitu. Ich wytworzenie musiał więc poprzedzać proces myślowy, planowanie oraz międzypokoleniowy przekaz wiedzy.

Ewolucja kulturowa

Najstarsze dowody na użycie poddanych niewielkiej obróbce kamiennych narzędzi – w celu odcinania mięsa od kości upolowanych zwierząt i pozyskiwania szpiku – pochodzą sprzed 3,3 mln lat. To więcej niż liczy sobie rodzaj ludzki. Te bardzo proste artefakty, nazwane kulturą lomekwijską, pozostawił *Australopithecus afarensis* – ten sam gatunek małpy człekokształtnej, do której przynależy słynny szkielet nazwany imieniem Lucy.

Młodsze narzędzia z czasem stają się coraz bardziej wyrafinowane, czemu towarzyszy wzrost rozmiarów mózgu ich twórców. Pierwszy przedstawiciel rodzaju ludzkiego, żyjący ok. 2,4-1,5 mln lat temu *Homo habilis* (rozmiar mózgu ok. 500-800 cm³) wytwarzał narzędzia tzw. epoki olduwajskiej – były to m.in. obrabiane z jednej strony tzw. otoczaki. W przypadku *H. ergastera* ślady kopalne, datowane na ok. 1,7 mln lat, zawierają artefakty nazwane aszelskimi – to głównie pięściaki w kształcie kropki. Archeolodzy czasem nazywają je szczyrykami szwajcarskimi paleolitu. To ikona swojej epoki, którą swego czasu w logo umieściła brytyjska Królewska Akademia Inżynierii. Narzędzia aszelskie posiadają dwuboczną symetrię oraz regu-



SOPA IMAGES/LIGHTROCKET VIA GETTY IMAGES

*W Muzeum Historii Naturalnej w Hongkongu.
Październik 2020 r.*

nie obłupywano do rozmiarów niewiele większych od docelowego narzędzia. Ostatnie uderzenie odłupywało gotowe narzędzie od rdzenia.

Ten postęp technologiczny, będący przejawem tzw. kumulatywnej ewolucji kulturowej, może świadczyć także o rozwoju życia społecznego naszych przodków. Bez rozwiniętych zdolności do uczenia się (np. przez naśladowanie albo celowy instruktaż) nie byłaby ona możliwa – każde kolejne pokolenie musiałoby wynajdywać swoje narzędzia na nowo. Powstawanie tradycji kulturowych, opartych na społecznym uczeniu się, pozwoliło zaś kolejnym pokoleniom rozwijać to, czego nauczyły się od przodków. Być może w tym czasie tworzyły się także pierwsze sieci relacji społecznych między osobnymi grupami. W różnych miejscach odnaleziono narzędzia sprzed kilkuset tysięcy lat, które wykonano z materiałów pozyskanych w odległości kilkudziesięciu kilometrów. Niewykluczone, że dotarły one na docelowe miejsce dzięki jakimś formom wymiany handlowej.

Archeologia poznawcza

Jedna z hipotez wyjaśniających wzrost rozmiarów ludzkiego mózgu mówi o tym, że kamienne narzędzia pomogły naszym przodkom adaptować się do zmian ekologicznych i klimatycznych. Później nastąpiło sprzężenie zwrotne: wykonywanie narzędzi wymagało sprawnego mózgu, a rosnący mózg umożliwiał dalsze ich udoskonalanie. One z kolei wzbogacały naszą kulturę – umożliwiały nowe praktyki i zachowania, które napędzały dalszą ewolucję naszych zdolności poznawczych. Wyjaśnień konkurencyjnych jednak nie brakuje, a w ewolucji trudno rozstrzygać, co jest przyczyną jakiejś zmiany, a co raczej jej konsekwencją. Narzędzia mogą więc być ubocznym efektem tego, że mózg naszych przodków zaczął rosnąć z innych powodów (np. konieczności rozwijania współpracy wewnątrz grup społecznych). Dysponujemy jednak metodami, które mogą w jakimś stopniu uprawdopodobniać przedstawiony scenariusz.

Studenci wspomnianego Dietricha Stouta po warsztatach z wytwarzania paleolitycznych narzędzi przechodzą testy

psychologiczne, a ich mózgi bada się przy użyciu technik neuroobrazowych. Mózg to w końcu plastyczny organ, a każdy trening – także łupania kamieni – może wywoływać reorganizację połączeń między neuronami. Takie zmiany mogą zaś w teorii przekładać się na wzrost dostosowania, jeśli zapewniają osobnikom odpowiednią przewagę – a więc mogłyby upowszechniać się w populacji i wpływać na kierunek ewolucji.

Wykorzystanie metod obrazowania mózgu do analizy tego rodzaju zmian rodzi mnóstwo problemów praktycznych. Początkowo wykluczało to np. użycie popularnego w nauce narzędzia – skanera fMRI (funkcjonalnego rezonansu magnetycznego), który wymaga unieruchomienia osoby badanej w dużej tubie. W takich warunkach nie można ciosać kamieni. Dlatego pionierzy „archeologii poznawczej”, tacy jak Stout, postanowili użyć innej techniki obrazowania, zwanej PET (pozytonowa tomografia emisyjna). Osoby badane miały za zadanie łupać kamienie różnymi paleolitycznymi technikami, a badacze sprawdzali, co w tym czasie dzieje się w ich mózgach.

Interesujące różnice w aktywacjach mózgu wykryto w przypadku odtwarzania narzędzi olduwajskich i aszelskich. Zespół Scotta Freya wytwarzanie tych bardziej zaawansowanych narzędzi powiązał z aktywnością specyficznych obszarów lewej półkuli, odpowiedzialnych nie tylko za planowanie i wykonywanie gestów, ale także reprezentacje semantyczne (przetwarzanie znaczeń pojęć). W przypadku starszych narzędzi olduwajskich zwiększona jest natomiast aktywność płatów ciemieniowych odpowiadających m.in. za koordynację ruchu i wzroku czy orientację przestrzenną. Może to świadczyć o tym, że właśnie koordynacja ruchów odgrywała kluczową rolę w tworzeniu tych narzędzi, a nie bardziej abstrakcyjne myślenie pojęciowe, które pojawiło się później, wraz z narzędziami bardziej zaawansowanymi.

W 2015 r. Stout doszedł do wniosku, że uprawnione jest użycie techniki fMRI i unieruchomienie osób badanych. Obserwacja wykonywania jakiejś czynności przez innych powoduje bowiem aktywację analogicznych obszarów, jak przy wykonywaniu jej samodzielnie. Tak działają odkryte na początku lat 90. słynne →

larne krawędzie. Ich wytwarzaniu towarzyszył wzrost objętości mózgowcaszki (do ok. 1100 cm³).

Już we wczesnej epoce kamienia pojawiają się narzędzia, które służyły do wytwarzania innych narzędzi – np. do ostrzenia włóczni – wymagające zaawansowanej wyobraźni i zdolności do planowania. Clive Gamble, John Gowlett i Robin Dunbar, autorzy książki „Potęga mózgu”, twierdzą z kolei, że stworzenie pięściaka wymaga wykorzystania co najmniej dziesięciu idei i koncepcji. Naukę takich umiejętności można było uprościć, dokładnie ustalając kolejność czynności. Np. w technice wytwarzania aszelskich pięściaków zwanej Victoria West rdeń (czyli kamień, z którego fragmentu uzyskiwano narzędzie) bardzo ostroż-

→ neurony lustrzane. Uczestnicy opisanego w 2015 r. eksperymentu obserwowali półtorasekundowe animacje, pokazujące wytwarzanie narzędzi aszelskich. W tym czasie ich mózgi wykazywały zwiększoną aktywność w obszarach przedczołowych, co w praktyce przekładało się na częstotliwość wyboru prawidłowych strategii przy lupaniu kamieni.

Mózg i język

Neurobiolog Michael Arbib twierdzi, że wytwarzanie narzędzi mogło nawet przyczynić się do powstania języka – ponieważ pozwoliło ukształtować struktury mózgowe, które potem przejęły funkcje językowe. Np. nauka produkcji olduwajskich narzędzi wiązała się najprawdopodobniej z dokładnym imitowaniem złożonych czynności innych osobników – za co odpowiadają podobne obszary mózgu do tych, które małpy wykorzystują w komunikacji za pomocą gestów.

Choć hipoteza Arbiba ma dość spekulatywny charakter, wspierają ją niektóre dane neuroanatomiczne. W latach 90. udowodniono, że zlokalizowany (u większości osób) w lewej półkuli ośrodek Broki, tradycyjnie utożsamiany ze zdolnością mowy, odpowiada także za złożone działania manualne. W eksperymencie zespołu Satomi Higuchi obszar Broki był aktywny, gdy badani wykonywali czynności za pomocą ołówka, nożyczek lub pałeczek.

W jednym ze swoich eksperymentów Stout poprosił o wykonanie aszelskiego topora nowicjuszy i ekspertów (archeologów). Co prawda żaden wytwór nie dorównał oryginałowi, ale udowodniono, że wytwarzanie narzędzi podobnych do aszelskich wiąże się ze wzmoczoną aktywnością zakrętu czołowego dolnego mózgu, czyli obszaru odpowiadającego m.in. za kontrolę poznawczą oraz przetwarzanie syntaktycznych aspektów języka.

Rozstrzygających dowodów na rzecz hipotezy o tym, że to właśnie produkcja narzędzi ukierunkowała ewolucję złożonych zdolności poznawczych człowieka, ciągle nie posiadamy. Ale kolejne odkrycia w młodej dziedzinie archeologii poznawczej pozwolą na tę kwestię rzucić więcej światła.

© KASPER KALINOWSKI

Pierwszy amerykański wynalazek

JAKUB MEJER

Niezależnie od siebie dwie prehistoryczne kultury oddalone o tysiące kilometrów zaczęły tworzyć podobne groty. Powstawały one jednak inaczej, w innym czasie i innym celu.

19-LETNI JAMES RIDGLEY WHITEMAN, maszerujący po wydmach Sand Hills na południe od Clovis w 1929 r., nie mógł się spodziewać, że ta wyprawa na zawsze zmieni nasze rozumienie historii Ameryki. Młody harcerz realizował swoje dwie największe pasje – krajoznawstwo i szukanie śladów obecności Indian. Jednego dnia zauważył ogromne kości i groty strzał wyłaniające się spod odsłoniętej gleby przez rozpoczynający się właśnie Dust Bowl – serię burz piaskowych, które wywołały w latach 30. katastrofę ekologiczną, erozję gleb i wielką migrację ludzi.

Jako nastolatek wakacje wykorzystywał na zwiedzanie wystaw i muzeów poświęconych prehistorii. W Denver zobaczył po raz pierwszy kości dinozaurów, a w Los Angeles wystawę z modelami zwierząt z epoki lodowcowej. Dzięki temu był świadom podobnych odkryć, do których doszło kilka lat wcześniej w oddalonym 300 km od Clovis mieście Folsom. Afroamerykański kowboj i archeolog amator George McJunkin, naprawiając zepsutą po powodzi tamę, odnalazł kości bizonów i groty strzał. Przez wiele lat próbował zainteresować nimi historyków i archeologów – bezskutecznie. Wykopalska prowadzone przez pracowników Muzeum Historii Naturalnej w Denver (tego samego, które odwiedzał Whiteman), ruszyły dopiero w 1926 r., cztery lata po śmierci McJunkina.

Whiteman myślał, że odkrył coś podobnego, poinformował więc najważniejszy instytut historyczny w kraju – Smithsonian Institution – o znalezieniu „kości starożytnych słoni i indiańskich grotów”. Młody harcerz poniósł jednak taką samą porażkę, jak jego poprzednik z Folsom.

Inspekcja, która przyjechała sprawdzić znaleziska, nie była zainteresowana badaniem tego miejsca.

Powód był prosty – ówczesni historycy nie wierzyli, że na terenie obu Ameryk mogły istnieć prehistoryczne kultury przypominające te, które już wówczas znane były chociażby z Europy. Okolice Clovis na zainteresowanie ze strony archeologów musiały poczekać jeszcze kilka dobrych lat.

Liściaste ostrza

90 lat później sytuacja wygląda już inaczej. Tzw. kultura Clovis, od nazwy miasta Whitemana, jest jednym z symboli prehistorycznej Ameryki.

– Rozwijała się na terenie Ameryki Północnej ok. 13,5–12,9 tys. lat temu. Jest to część tzw. okresu paleoindiańskiego – tłumaczy dr Michał Wasilewski, archeolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak wynika z publikowanych w magazynie „Nature” wyników badań, 80 proc. rdzennych Amerykanów obu kontynentów wywodzi się bezpośrednio właśnie od ludzi z Clovis, którzy dotarli tam z Azji, prawdopodobnie przez lądowy most w miejscu obecnego Morza Beringa. Przez lata uważano ich za pierwszych ludzi w Nowym Świecie, jednak późniejsze odkrycia (np. datowane na tysiąc lat wcześniej Monte Verde w Chile) podważyły taki scenariusz.

Symbolem łowców-zbieraczy z Clovis są ostrza o smukłym kształcie liścia. Najbardziej wyróżnia je sposób przygotowania: tzw. kanelowanie. – To specyficzna technika obróbki narzędzi. Polega na ścinaniu podstawy narzędzia, zazwyczaj ostrza, dwoma tzw. odbiciami. Miało to walor funkcjonalny: ułatwiało oprawę ostrza – tłumaczy dr Wasilewski. Wykonane tą techniką ostrza są tak popularne,



Różne rodzaje kamiennych narzędzi wykonanych technologią kanelowania, znalezione na stanowiskach archeologicznych Ameryki Północnej i Południowej. Te precyzyjnie przygotowane cienie, liściaste ostrza dawały się łatwo osadzić na drzewcu, były też na tyle lekkie, że broń prawdopodobnie nadawała się do miotania. Znalezione na ostrzach ślady krwi wskazują, że przy ich użyciu polowano na różne ssaki, m.in. owce, niedźwiedzie, renifery i woty.

że w USA powstają nawet ich falsyfikaty, sprzedawane nieświadomym kolekcjonerom. Amerykańska telewizja publiczna PBS w programie „Pierwsi ludzie” nazwała je „pierwszym amerykańskim wynalazkiem”.

Tej techniki na próżno szukać wśród pozostałości kultur z Azji Północno-Wschodniej, z której wywodzili się przodkowie Clovis. Korzystały z niej za to późniejsze niż Clovis kultury – kanelowane narzędzia odnajdywane są w wielu miejscach od północnej Kanady po Patagonię na wykopaliskach z okresu późnego plejstocenu (np. kultura Folsom, którą odkrył kowboj McJunkin).

W piaskach Arabii

Chociaż kanelowanie jest charakterystyczne dla Ameryk, przez lata odnajdywano rozproszone przykłady tej techniki na innych kontynentach. Już w latach 1920-25 znaleziono dwa takie narzędzia w Laugerie-Haute na południu Francji. Uważa się jednak, że powstały one przez przypadek, przy próbie stworzenia innego ostrza. Inny przykład, odkryty w syberyjskim Uptar, też jest mało reprezentatywny – charakterystycznej obróbce poddano tylko jedną stronę ostrza.

Z czasem zaczęto odkrywać coraz więcej kanelowanych ostrzy na Półwyspie Arabskim. Pierwsze z nich znaleziono już w latach 60. XX w. na terenach obecnego Jemenu i Omanu. Niedawno zespół Rémy’ego Crassarda z francuskiego Centrum Narodowego Badań Naukowych odkrył ponad 7,5 tys. kamiennych artefaktów w grocie Manajza znajdującej się w dolinie Sany w środkowym Jemenie. Wśród nich były kanelowane groty (sześć, w tym trzy niedokończone) i odłupki (21), które powstały w trakcie ich wytwarza-

nia. Miały powstać 8–7,7 tys. lat temu. Podobne przedmioty odnaleziono także podczas wykopalisk w Khor ad-Dahariz w południowym Omanie. Tam znaleziono 39 kawałków grotów, 7 niedokończonych ostrzy i 11 odłupków.

– 8 tys. lat temu w regionie południowej Arabii, wschodnim Jemenie i zachodnim Omanie mieszkali głównie pasterze, najprawdopodobniej prowadzący przynajmniej częściowo koczowniczy tryb życia – mówi „Tygodnikowi” Rémy Crassard. – Ci ludzie nie znali jeszcze rolnictwa, mieszkali w jaskiniach i prawdopodobnie w szałasach lub przenośnych schronieniach. Cieszyli się wilgotniejszym klimatem, niż obecnie występuje w tym regionie. Dzikich zwierząt i roślin było pod dostatkiem.

Zrób to sam

Badając te znaleziska, Crassard ze współpracownikami postanowili wykorzystać eksperymentalną archeologię. Od 2013 do 2018 r. rzemieślnik specjalizujący się w wytwarzaniu narzędzi z epoki kamiennej podjął 226 prób stworzenia grotów jak najbardziej podobnych do tych, które znaleziono na Półwyspie Arabskim. Wykorzystał do tego różne techniki – uderzania, naciskania; bezpośrednio lub za pomocą prymitywnych dłut. Próbował używać narzędzi z miękkich kamieni (wapienia, piaskowca), rogów i kości (jeleni i łosi) oraz twardego drewna (bukszpanu).

Uderzając rogami zwierząt i za pomocą dłuta uzyskał narzędzia różniące się od odnalezionych. Trochę lepiej sytuacja wyglądała z tymi obrabianymi kamiennymi młotkami. Te wytworzone uderzeniami drewnianego młotka lub naciskiem narzędzi z kości, rogów i drewna były najbliższe grotom sprzed 8 tys. lat. Posiłku-

jąc się też analizą statystyczną, autorzy badań uznali, że prehistoryczni rzemieślnicy z terenów Półwyspu Arabskiego najprawdopodobniej kanelowali narzędzia, wykorzystując nacisk lub uderzenia miękkim kamieniem lub drewnem.

Pozostało jednak pytanie o przeznaczenie tych narzędzi. Znaleźiska z Arabii są aż 5 tys. lat młodsze od amerykańskich odpowiedników. Uważa się, że członkowie kultury Clovis i ich następcy stosowali kanelowanie, aby groty były smuklejsze i łatwiej dało się je osadzić. Z tym że groty stosowane w Arabii miały nieco bardziej trójkątne kształty, często nie były też kanelowane akurat w miejscach, które ułatwiają umocowanie.

Dlatego naukowcy doszli do innego wniosku. – Interpretujemy tę technikę kanelowania jako pokaz kunsztu, najprawdopodobniej dla celów społecznych – wyjaśnia Crassard. – Dzisiaj wciąż trudno nawet doświadczonym rzemieślnikom odtworzyć te narzędzia. Dodatkowo, wytwarzano je z ładnych kamieni: kolorowych krzemieni albo czertu, przypominającego z wyglądu jaspis.

– Różnica w użyciu tej technologii w Arabii i Ameryce jest trudna do zdefiniowania. W Ameryce też debatowano o tym, jaka była funkcja kanelowania. Może chodziło nie tylko o oprawę ostrza, ale to obecnie główna interpretacja – dodaje Crassard. Michał Wasilewski zauważa natomiast, że techniki kanelowania znane z Półwyspu Arabskiego i Ameryki są analogiczne jedynie, gdy chodzi o technologię: – Nie ma pomiędzy nimi absolutnie żadnych powiązań kulturowych, żadnego wynikania czy dyfuzji, transmisji wynalazku kulturowego. To technologie stworzone zupełnie niezależnie. ©

Z ODDECHEM



GRAŻYNA MAKARA

Józef Rurawski, Kielce, wrzesień 2020 r.

MARSZ PRZEZ PUSTYNIĘ

JÓZEF RURAWSKI, HISTORYK LITERATURY:

Że kogoś zabiłem? Nie spędzało mi to snu z powiek.
Za dużo przeszedłem, żeby tak przeżywać.

JÓZEF RURAWSKI: Założyć przyłbicę?

KALINA BŁĄŻEJOWSKA: Chyba wystarczy, że ja będę w masce.

To niech pani siada, może trochę dalej. Jak pani mnie znalazła, dlaczego mnie i po co mnie?

Trafiłam na Pana w internecie i stwierdziłam, że będzie Pan świetny do wywiadu. Ale jaki wywiad?! Z takim staruszkiem?

Uważam, że jak ktoś ma poniżej osiemdziesiątki, to jest za młody na porządny wywiad. A dziewięćdziesiąt to w sam raz.

Kupiłem ostatnio znakomitą książkę o bitwie warszawskiej, „Lato 1920”. I uświadomiłem sobie, że jestem tylko dziesięć lat młodszy od tej bitwy!

Nawet Piłsudskiego Pan zdążył poznać, jeśli to prawda...

Prawda, ja nie ubarwiam. Raczej mam odwrotną tendencję: do pomniejszania faktów, stosownie do mojej miary. Byłem z matką na spacerze w Alejach Ujazdowskich i z budynku, gdzie dziś jest Kancelaria Premiera, wyszedł Piłsudski. Wyrwałem się mamie, podleciałem do niego i szybko wyrecytowałem wierszyk, którego mnie nauczyli w przedszkolu.

Powie Pan?

(*Wystukując rytm:*) „My dwa Józie, ty i ja, ciebie cała Polska zna, mnie zaś jeszcze nie zna nikt, bo ja jestem mały smyk, ale jak urosnę duży, będę wiernie Polsce służył”. Nic nie powiedział, cmoknął mnie w czoło i odwrócił w stronę matki. A adiutanci mi zasalutowali. Później zażądałem podwójnej krepy, bo to umarł mój osobisty znajomy.

Dziecko, co by pani... Jednak będę mówił „dziecko” i „córko”, bo pół wieku tak mówiłem do studentów. Pięćdziesiąt sześć lat dokładnie: najpierw na Uniwersytecie Warszawskim, potem w Instytucie Kształcenia Nauczycieli, a wreszcie tu, w Kielcach. Moje życie się bardzo prosto układa: do pięćdziesiątki Warszawa, po pięćdziesiątce Kielce.

Czuje się Pan kielczaninem?

Ja się czuję sobą. Natomiast kielczaninem nie czuję się wcale. Ściągnął mnie tu dowódca z powstania, też polonista – organizował Wyższą Szkołę Pedagogiczną i potrzebował pracowników. Przyjechałem i zostałem, bo... (*Wskazuje na prof. Alinę Białą, która przynosi napoje i słodycze*) Ineczko, posiedź z nami. Tyle lat, a ja wciąż mówię do niej „Ineczko”. Trzydzieści sześć lat, że też ona wytrzymała...

Jak się Państwo poznali?

Jak w większości takich przypadków: była moją studentką. Już ma habilitację, ale to przecież smarkate jest stworzonko.

I co się robi, żeby tak długo być razem?

Trzeba się kłócić trzy razy w tygodniu. I na zmianę przeproszać. Znacząca ona przeprosza raz na dwa miesiące, a resztę to ja. To jest jedyny sposób. No i jeszcze trzeba mieć Benię (*pokazuje na kotkę drapiącą dywan*). Kawę pijesz?

Z mlekiem.

Z mlekiem matki wysłałaś upodobanie do kawy? Już mi się podobasz. Musisz tę maskę ściągnąć. Ja się odchyłę... Ineczeko, daj centymetr, zmierzmy, czy jest przepisowa odległość. O, ta buzia zupełnie inna! Patrz, jaki fajny dołek ma w brodzie. I chowa! Komu Pan Bóg dał urodę, tego mocno pstryknął w brodę.

Ja za tym dotkłem nie przepadam.

Ale inni przepadają! A jakiś jeden to na pewno. Dobra, zagadałem cię, a teraz słucham. Proszę pierwsze pytanie.

Na ile lat się Pan czuje?

Kiedy wychodzę z domu, czuję się na góra sześćdziesiąt. Kiedy wracam – na sto dziesięć. Nogi mi siadają. Mimo to spaceruję przynajmniej trzy razy w tygodniu. A to trzecie piętro bez windy, koniec świata. Natomiast sam świat, wyliczyłem, jest oddalony o 856 metrów.

Co jest tym światem?

Echo, wielki dom towarowy z księgarniami i kawiarniami. Bo ja muszę mieć cel. A dalej to już nigdzie nie zajdę.

Niedawno mój syn pisał do kogoś i pochwalił się, że ma ojca: „Ojciec ma blisko dziewięćdziesiąt lat, ale umysł siedemdziesięciolatka”. Obraziłem się.

No raczej!

Bo intelektualnie to się czuję bardzo młodo. To znaczy na jakieś pięćdziesiąt pięć.

Kiedy człowiek zaczyna się starzeć? Kiedy się urodzi.

Pytam o moment graniczny, gdy to zaczyna przyspieszać.

Jednego momentu konkretnego nie ma, bo gdy się pojawia na horyzoncie, to

się go natychmiast odsuwa. Wiem: człowiek zaczyna się starzeć wtedy, kiedy zaczyna rezygnować z zainteresowań. Inna sprawa, że całe nasze życie jest pasmem rezygnacji. Na przykład dla miłości rezygnuje się ze znacznej części swobody. Natomiast proces starzenia przebiega inaczej: ja nie wybieram, po prostu zauważam, że coś przestało mnie interesować, a nic nowego nie wypełnia opuszczonego miejsca.

To jak marsz przez pustynię w ciepłym ubraniu: pierwsze dwie rzeczy, które z siebie zdejmujesz, zdejmujesz świadomie. A potem nawet nie zauważasz, że ściągasz kolejne. Bo cały czas jest za gorąco.

I co Pan ściągnął? Z czego zrezygnował?

(*Rozgląda się po pokoju i wskazuje na gitarę*) O, na przykład z gry i śpiewu. Z wieczorów, które ciągnęły się do samego rana. Z alkoholu. Nie byłem pijakiem, ale w tej chwili jestem abstynentem, ze względów czysto zdrowotnych. Z czego jeszcze... Inka, mów prędko!

ALINA BIAŁA: Straciłeś dar gotowania.

JR: Mało tego: jak człowiek rezygnuje i próbuje znowu, to już nie wychodzi jak kiedyś. Traci się nie tylko chęć, ale i umiejętności. No i z podróży zrezygnowałem. Ostatni raz byliśmy za granicą dziesięć lat temu, w Wiedniu. Już nawet nie myślałem, że uda mi się pojechać do Warszawy. To znaczy pojechać by mi się udało, tylko musieliby mnie wozić na wózku. To samo z krakowskim Kazimierzem: jeszcze nie widziałem i już nie zobaczę. (*Od biera telefon i chwilę rozmawia*). Przyjaciół lekarz, który mnie trzyma przy życiu. Bo ja mam dziesiątki tych chorób.

Nie wygląda Pan.

Cukrzyca, udar, cztery zawały... Mało? Czwartą to był taki, że na sygnale i w ostatniej chwili.

To ile razy już się Pan żegnał z życiem?

O, zdarzało się. Stałem pod murem. To pili mnie w kanale ulicznym. Strzelali do mnie. A jakby doliczyć choroby, to pewnie do dziesięciu by doszło. Bardzo sobie cenię życie (*zjada kawałek ptasiego mleczka*).

Jest jak na filmach? Ma się całe życie przed oczami?

Moje życie by się nie zmieściło w takim momencie. Ale niewątpliwie jakieś

elementy się widzi. Twarze raczej. Inna sprawa: w sytuacji skrajnej człowiek nie może się za bardzo bać. Tylko wtedy widzi ostro. Kiedy miałem ten ostatni zawał, to wiedziałem, że jadę karetką i że prawdopodobnie nie dojadę. Myślałem tylko: „Jak sobie Inka poradzi...” (*milczy i wzdycha*). Ale mówiąc szczerze, dopiero pierwszy raz umieram. Więc jeszcze nie wiem, jak to jest.

W wywiadzie, który znalazłam na YouTube, mówił Pan, że ciągle patrzy w przyszłość. Przygotowując się do podróży.

Oswajam się nie ze śmiercią, bo to oczywiste, tylko z umieraniem. Wiem, że ten proces następuje we mnie. Ta rezygnacja. Jedyne zainteresowanie, jakie mi zostało... (*pokazuje na bibliotekę*). Do dziś nie ma tygodnia, żebym nie kupił dwóch-trzech książek. Tam stoi cały Prus, kupiony za pierwszą uczelnianą pensję. A tam księga pamiątkowa, taką mi dali piękną, jak przechodziłem na emeryturę. Bo okazało się, że najdłużej pracowałem jednak w tych Kielcach. I po tylu latach znam tu może cztery ulice. Wszędzie jeździłem taksówką.

Na taksówce też Pan jeździł.

Boże, ona wszystko o mnie wie! Jeździłem na lewo, na taksówce kolegi. Robiłem specjalne nocne trasy.

Czyli?

Na lotnisko. Wykorzystywałem znajomość języków. To był rok 1970, a ja bez pracy i z zakazem druku. Jedyna rzecz, którą mogłem robić, to chodzić z córką do Łazienek. Paraliż całkowity, rok bez perspektyw. Straszny.

Bał się Pan, że te perspektywy już się nigdy nie pojawią?

Ja się niczego nie bałem. Poszedłem do KC, gdzie za naukę odpowiadał mój dawny kolega. I powiedziałem, że będzie chryja, bo popełnię samobójstwo, z hałasem. Trochę pomogło. A potem pomogli inni... Ciekawa rzecz: w sytuacjach skrajnych ratowali mnie ludzie, po których nigdy bym się tego nie spodziewał.

A ci, po których by się Pan spodziewał?

Uciekali na drugą stronę ulicy. Jeden jak mnie z daleka zobaczył na Nowym Świecie, to tak dał dyla, że prawie go

→ samochód rozjechał. Inny jak mnie spotkał, to sięgnął po portfel. Powiedziałem, że nie trzeba.

To były represje po Marcu '68?

Nałożyły się dwie sprawy. Rzeczywiście, 8 marca znalazłem się na dziedzińcu Uniwersytetu, choć pracowałem wtedy tymczasowo w Lipsku. Powstał problem: skąd on się wziął? Normalnie go nie ma, a jak jest draka, to przyjeżdża aż z NRD, żeby rozrabiać. A ja przyjechałem po samochód. Dali mi znać, że jest do odbioru, i wsiadłem w nocny pociąg, nie mając zielonego pojęcia, co się dzieje. A ponieważ to był Dzień Kobiet, przywiozłem dla koleżanek z Wydziału parę szminek i innych babskich dupereli. Tylko dlatego zajrzałem na uczelnię, żeby im to wręczyć. Wszedłem, zobaczyłem, no i troszkę zostałem. Wyłapywałem studentki i mówiłem: „Sp... Spieprzaj, kochaneczka, bo tu będą łać”.

A druga sprawa?

Potworna skarga studentki rosyjskiej do ambasady polskiej w Berlinie, że na publicznym wykładzie mówiłem o Sołżenicynie i byłem absolutnie pijany. Skarga poszła do KC, zrobił się galimatias. Dyrektor Instytutu powiedział: „Nie przejmuj się, na pewno zostaniesz”. A w tydzień później: „Jestem bezradny”. Tyle że odszedłem w wyniku, jak to się nazywało... „normalnej rotacji kadr”. Już nigdy na UW nie wróciłem, świństwo mi zrobili, zabrali kilka lat najlepszych, kiedy coś jeszcze mogłem napisać.

Pan był w Partii?

Byłem. I absolutnie się tego nie wstydzę.

Od kiedy do kiedy?

Zacząłem pracować jako tak zwany zastępca asystenta na trzecim roku studiów, czyli w 1951, a do Partii wstąpiłem jakiś rok później. Myślałem: jeśli mam mieć do czynienia z młodymi, to z jednej strony powinienem im mówić prawdę, nie odrzucać mojej przeszłości, a z drugiej nie mogę ich nastawiać przeciw rzeczywistości, która będzie ich przyszłością. Byłem w Partii prawie do końca.

Nawet po stanie wojennym?

Oczywiście. Mam jedną satysfakcję: nawet szukając jak najgłębiej, nie znalazłem pani nikogo, kogo bym tym skrzywdził. Wielu za to pomogłem.

Starość jest jak marsz przez pustynię w ciepłym ubraniu:

nawet nie zauważasz,
że ściągasz kolejne warstwy.
Bo cały czas jest ci za gorąco.

Nigdy Pan nie chciał rzucić legitymacją?

Nieraz chciałem. Ale... Jestem wojenne pokolenie. W tym pokoleniu jak już człowiek się czegoś podjął, to nie wolno mu się wycofać. To jest niemoralne i nieuczciwe.

A konspiracji kiedy się Pan podjął?

W 1942 roku.

Jako dwunastolatek?

Ja chodziłem do szczególnej szkoły, koedukacyjnej i demokratycznej. Nazywała się Szkoła Ćwiczeń przy Państwowym Pedagogium. Chodziło tam wiele dzieci z ciekawych rodzin, w tym dzieci oficerskich...

Pan nie był dzieckiem oficerskim.

Mój ojciec był inkasentem w Tramwajach Miejskich. Matka nie pracowała.

I w tej szkole mieliśmy znakomitych nauczycieli. Był wśród nich pułkownik AK, dzięki któremu powstała tam jedna z pierwszych tajnych drużyn harcerek.

Dotarł do Pana rozkaz o powstaniu?

Nie! Ale to nie był problem. Po pierwsze, miałem własny pistolet. Wprawdzie nie było wolno, ale potrzebowałem na własny użytek.

Do czego czternastolatkowi potrzebny pistolet?

Żeby się nie dać różnym takim. A po drugie, tego dnia byłem w dobrym miejscu, przejściowym domu na Niemcewicza. Tam była masa powstańców. Wpadli zaraz żandarmi, postrzelili kolegę. Walnąłem w któregoś, uciekłem i znalazłem grupę, z którą mogłem wyjść z powstania.

Bo powstańcy z Ochoty mieli dobroć się i wrócić.

Teraz będzie o przypadku, który w życiu bardzo dużo znaczy. W tej kamienicy mieszkał mój nauczyciel z niemieckiej

szkoły handlowej. Zabrał mnie do siebie na obiad i mówi: „Nie chodź z nimi. Idź do domu”. Oczywiście nie było mowy, żeby siedzieć do domu, ale wziąłem sobie do serca to „z nimi nie chodź”. Tę grupę jeszcze tej samej nocy Niemcy rozstrzelali pod Pęciami.

Walczył Pan całe powstanie?

Tylko do 13 czy 14 sierpnia. Prowadziłem ciężko rannego sierżanta, który używał mnie jako podpórki, i zza rogu wpadliśmy na – jak się wtedy mówiło – Ukraińców. Cofnąłem się i z tego mojego walterka „pyk pyk”. Oni się wściekli, rzucili na nas i od razu pod mur. Szczęśliwie siedział jakiś Niemiec, wyższy rangą, a ja znałem niemiecki zupełnie nieźle i zacząłem mordę drzeć, że jesteśmy jeńcy, a to oficer. Odpędził Ukraińców i wziął nas na przesłuchanie. Potem trzymali nas w kościele na placu Narutowicza. Stamtąd całą grupę pogнали na zachód. Koło mnie siedział młody Ukrainiec, spytałem, gdzie nas prowadzą. Pokazał gest podcinania gardła. Czort wie, dlaczego nie chcieli nas rozstrzeliwać na miejscu.

I co Pan zrobił?

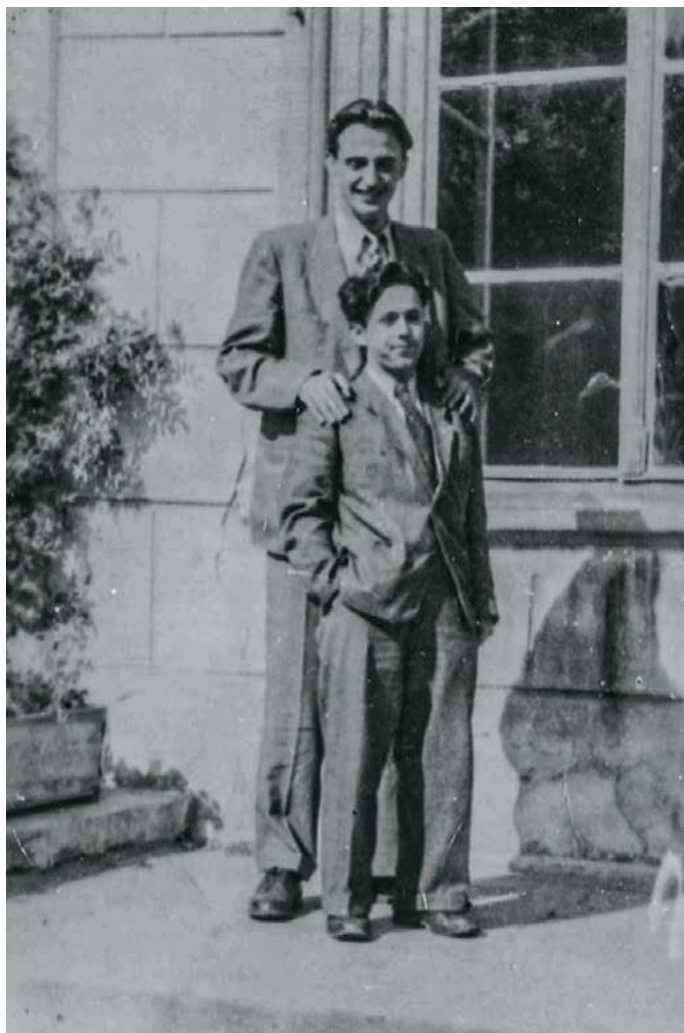
Puściłem tę informację do tyłu. Jakiś oficer dał rozkaz, że przy Zieleniaku uciekamy. Bandyci z Zieleniaka myśleli, że to jest szturm, i walili, gdzie się tylko dało. Przy bramie poszła seria po murze, wiązka cegieł spadła mi na ramię, ból cholerny. Straciłem przytomność i leżałem tam do rana. Wyjść z Zieleniaka nie można było, ale wejść – proszę bardzo. Wszedłem, zobaczyłem, co tam się dzieje...

Mordy, gwałty, rabunki...

Ale już nie było odwrotu. Wyprowadzili mnie stamtąd w krótkich portkach i koszu i wywieźli do obozu przejściowego we Wrocławiu. Szczególny rodzaj upodlenia. Tam zapakowali mnie w pociąg z kilkoma kolegami, wysadzili nas na dworcu w Kłodzku. Pociąg odjechał, przyjechali chłopci. Po robotników: jeden sobie wybrał tego, inny tamtego...

Targ niewolników.

I tylko mnie nikt nie chciał. Bo poszarpany, morda brudna taka, że nie wiadomo, czarna czy co... I jeszcze ta ręka jakaś dziwna... Wreszcie przyjechała spóźniona młoda kobieta z synem. Ten krzyknął: „Jaki on brudny!”. Na to ja po



ARCHIWUM PRYWATNE JÓZEFA RURAWSKIEGO

Z Andrzejem Drawiczem na zjeździe młodych pisarzy
w Oborach pod Warszawą, 1951 r.

niemiecku: „Gdybyś się tydzień nie mył, też byś tak wyglądał”. „O, mówisz po niemiecku!”. To przesądziło. Przyjechaliśmy do chłopca, popatrzał, splunął. Ale był przyzwoity. Złapał mnie potem na podpijaniu mleka dla żołnierzy, mógł do obozu wysłać, a powiedział tylko: „Niech cię wezmą do fabryki”. Wylądowałem w Bystrzycy Kłodzkiej.

Co za fabryka?

Nawet nie wiem. Najpierw sprzątałem hale, potem byłem pomocnikiem dekarza. Nosilem dachówki po rozchwieanej drabinie, w drewniakach, w śniegu. Więc jak noga się zsunęła, to wpadałem czym tam nie trzeba na te szczeble... A potem obsługiwałem piec karbidowy. Po wojnie wszyscy uciekali ode mnie, bo śmierdziałem karbidem.

Że przeżyłem, zawdzięczam jednej Niemce.

Niemce?

Tak. Zima się zaczęła, a ja nie miałem nic ciepłego do ubrania. Chodziłem na halę, żeby się ogrzać. Stoję przy grzejniku, podchodzi jedna z pracownic. Nic nie mówi, bo Niemcom nie wolno było z nami rozmawiać. I pokazuje, że jest paczka pod kaloryferem. Spojrzałem na nią, kiwnęła głową, że dla mnie. Wyniosłem, otwieram: sweter, koszula, czapka, rękawiczki, szalik, cholera wie co. Uratowała mi życie.

Wie Pan czemu?

Bo jej syna wzięli do niewoli, a był w podobnym wieku i też Józef, znaczy Joseph. Znowu: przypadek. Po wojnie powiedziała mi: „Wiedziała, że jak ja tobie pomogę, to ludzie pomogą mojemu synowi”. Z pomocą Rosjan zaopatrzyłem ją w dwa konie i duży wóz i pojechała do Amerykanów.

W powstaniu miał Pan pseudonim Guzik. Skąd taki?

Tak mnie wołali: Józik-Guzik. Kolega przyleciał na przerwie: „Guzik, dawaj prędko pseudonim!”. „To już masz”. Co za różnica, muszę być zaraz Wołodyjowski? A po wojnie byłem Motor.

Bo?

Biegałem bardzo szybko. „On ma motor w dupie”, mówili. Guzika bardzo unikałem, dla bezpieczeństwa.

W Muzeum Powstania jest baza powstańców...

...a mnie w niej nie ma.

Dlaczego?

Nie chciałem. Szczerze mówiąc, nie byłem jeszcze w Muzeum. To jest inne życie. Niepotrzebne.

Kult powstania, który wytworzył się w ostatnich latach, też jest niepotrzebny?

To nie jest kult powstania, tylko politycznej burzy i rozróby. Prawdziwy kult istniał gdzieś do roku 1953, kiedy trzeba było po cichu. A że teraz gówniarze, i to narodowcy, którzy nie mają pojęcia, o czym mówią, przywłaszczają sobie powstanie... Czepia się gówno okrętu i woła: „Płyniemy!”.

Po wojnie wrócił Pan do Warszawy i...

...trochę sobie posiedziałem na Cyrylu [w budynku przy ul. Cyryla i Metodego 4 mieścił się Stołeczny Urząd Bezpieczeństwa Publicznego – KB]. Sypanął mnie kumpel, jak dostał w skórę. „Cyryl jak Cyryl, ale te metody!”.

Pan miał piętnaście lat.

A to młodszych nie bili w dupę? Dziecinko... Nawet było sympatyczne. Uczyli mnie pić wódkę łyżką: drobiony razowy chleb wrzucali do wódki i trzeba było to zjeść cynową łyżką z cynowej miski. Jak zjadł, to był swojak. Potem chłopaki z celi się przydawały, gdy już miałem samochód. Żeby części zdobyć.

Siedział Pan ze zwykłymi kryminalistami?

Tylko! Nie było żadnych politycznych. Wypuścili mnie po sześciu tygodniach, bez śledztwa, bez niczego. Pewnie się

→ zajęli poważniejszymi. Było ciasno, wyrzucali niepotrzebnych.

A co z rodzicami? Przeżyli wojnę?

Tak. Matka dostała zawału na ulicy, też był taki ładny letni dzień jak dzisiaj. Ojciec również chorował – miał naraz raka płuc i gruźlicę. Bywało, że matka w jednym szpitalu, ojciec w drugim, a ja latałem między nimi z dwójką chłopców. Możesz ich zresztą kojarzyć: Grzesiek i Jarek Lindenberg, pierwszy dziennikarz, drugi dyplomata.

Dlaczego nie Rurawscy?

Oddzielna historia. Jak rozmawiasz z takim starym człowiekiem, to gdzie nacisniesz, coś nowego wyskakuje. Kiedy moja pierwsza żona poznała miłość życia, zabrała dzieci. Potem chciała z nimi wyjechać, więc zwróciła się do mnie o zmianę nazwiska, żeby nie było kłopotów z wywożeniem ich za granicę.

Ma Pan inne dzieci?

Córkę. Rurawską, z drugiego małżeństwa.

To ile tych małżeństw było?

Dużo. Faktycznych to dwa. Ale ja liczę inaczej: jedna wielka miłość do pięćdziesiątki i druga wielka miłość od pięćdziesiątki. Patrzenie, jak ta tajna policja się wyspecjalizowała.

Drugą miłość poznałam, a pierwsza?

A pierwsza... 1 października 1951 roku to był bardzo ważny dla mnie dzień: początek pracy, początek roku akademickiego, i jeszcze ukazał się mój artykuł o Staffie. Mało tego, łączę po dziadzińcu, słyszę: „Motor!”, widzę młodsze koleżanki z liceum. Stoją z jedną, której nie znałem. Najładniejsza, od razu wpadła mi w oko. Jakie tam „wpadła” – to był wstrząs... Okazuje się, że to Czeszka, córka *attaché* kulturalnego, znanego poety-komunisty. Dwa lata trwała ta wielka miłość.

Krótko.

Dwa trwała, a przetrwała o wiele więcej. Tylko nie mieliśmy pozwolenia na ślub. Był problem z jej ojcem, alkoholikiem. Jedynie ona nad nim panowała, musiała wrócić do Pragi go pilnować. Ja z kolei nie mogłem wyjechać, bo musiałem zajmować się własnym ojcem. Po jej wyjeździe jakiś czas pisaliśmy do siebie – wtedy jeszcze były listy normalne, nie

takie duperele jak teraz. Aż zadzwoniła: „Musimy sobie inaczej ułożyć życie”.

Myśle, że wszystkie dobre cechy i emocje, jakie można z człowieka wydobyć, to miałem dla niej. No i oczywiście dla chorego ojca.

I co się z tą Czeszką stało?

Niedobre rzeczy, w tej rodzinie się kotłowało potwornie. Wiem, że w końcu znalazła sobie kogoś, wyszła za mąż. Czy żyje? Nie wiem.

A Pana nałogi?

Czterdzieści sześć lat paliłem. Zaczęłem pierwszego dnia powstania. Zaraz po tej drace na Niemcewicza podali mi szklankę wódki i papierosa. I poszło! Wódka nie, papierosy tak. Choć był taki rok, że dopiłem się do białych myszek.

Po tym, jak Pana wyrzucili z Uniwersytetu?

Wcześniej, chyba w 1961 r. Kiedy rozpadło się to pierwsze małżeństwo i oddałem synów jako Lindenbergów.

I jak Pan z tego wyszedł?

Miałem znajomego, który pracował w Tworkach. Przypadkiem spotkaliśmy się, poszliśmy na kawę, ja zacząłem opowiadać – oczywiście nie o sobie, tylko niby o koledze, który widział białe myszki. A on się nachylił, podwinął mi powieki, prawą, lewą, i mówi: „Słuchaj, jeszcze trzy tygodnie. Mogę dla ciebie naszykować kaftanik”. Tak mnie przestraszył, że chyba pół roku nie piłem. A potem już normalnie.

Ze Stanisławem Grzesiukiem tak żeśmy się zapijali. Mój najbliższy przyjaciel.

Jak się poznaliście?

Przy okazji gruźlicy, którą przywiozłem sobie z wojny.

Pan miał gruźlicę?

Zaczęłem. Wysłali mnie do prewatorium do Kościeliska, potem musiałem lądować na przeglądach w Otwocku. I tam trafiłem na Grzesiuka. Wprowadzili mnie do jego pokoju, Stasio siedział w szlafroku, w fezie z pomponikiem. Wziął bandzolkę i zagrał „Bal na Gnojnej”. Na mnie w ogóle nie zwracał uwagi. Dopóki nie zacząłem śpiewać. Jeszcze tego wieczoru żeśmy polecili na wódkę.

W sanatorium?

W Otwocku? Oczywiście!

Grzesiuk długo nie wiedział, że ma gruźlicę.

Wiedział, że jest chory, ale na co, to się nie zastanawiał. On był chory na obóz, po prostu. Nauczył mnie łykać całą garść tabletek. Teraz mi się przydaje, Inka mi szykuje porcyjki na cały tydzień.

Pan twierdzi, że on nie zmarł na gruźlicę, tylko dokonał eutanazji.

Byłem u niego w szpitalu w wieczór przed śmiercią. Dokładnie mi powiedział, jak mam się zająć jego dziećmi.

Żona Grzesiuka wiedziała?

Że to było samobójstwo? Nigdy jej nie mówiłem. On nie chciał, żeby mówić.

(Prof. Alina Biała przynosi zupę). Będziemy coś jedli?

AB: Pomidorową. Głodna pani?

JR: Zje! Należ Kalinie... Rosła kalina z liściem szerokim...

Lenartowicz?

Tak, poezja romantyczna. A to imię po Kalinie Jędrusik?

Mamie się chyba bardziej podobało imię niż aktorka.

W październiku wyszła biografia, ale nie samej Kaliny, tylko małżeństwa, Jędrusik i Dygata. Koniecznie muszę kupić. Sam widziałem, jak Dygat walił ją po łbie w Alejach Ujazdowskich, na progu U Akatorów.

Znaczy policzkował?

Tłukł ją! Łepkę trzymał, walił i wyciągał na ulicę.

Dlaczego?

Może za dużo wypijała, może za mało, może nie z tym, co trzeba. Broniewskiego też widziałem, jak szarpał tę swoją żonę, tyle że w kawiarni Związku Literatów. Wyleciał na Krakowskie, nie było go pół godziny, wraca z bukietem róż, który ledwo obejmował. I rzuca jej pod nogi.

Ani Dygatów, ani Broniewskiego do brze nie znałem, bliżej się trzymałem z Newerlym, Hłaską, Borowskim, taką ferajną. W jakie czasy, moja pani, żeśmy zaszli...

Najciekawsze. Dla mnie przynajmniej.

Ty studiowałaś polonistykę?

Nie. Ale wygrałam olimpiadę polonistyczną. Pisałam o dziennikach Nałkowskiej i Dąbrowskiej.
Jezu, dwie straszne baby.

Wspaniałe!

Dąbrowska to była jędra cholerna, Nałkowska przynajmniej zawsze miała na twarzy wyraz zainteresowania drugim człowiekiem. Nawet z takim gnojkiem jak ja rozmawiała. Kiedyś zacytowałam coś z jej dorobku, a ona: „Pan to zna na pamięć?!”.
Do dziś mogę godzinami deklamować. Umykają mi nazwiska, tytuły, ale teksty zostały. Gdy miewałam problemy ze snem, to albo liczyłem dziewczyny i gdzieś tak przy dziewięćdziesiątej szóstej zasypiałem, albo mówiłem sobie „Kwiaty polskie”. Tak do połowy.

Nie wierzę.

W czasie wojny w wakacje codziennie latałem do biblioteki. Bibliotekarka też nie wierzyła, że to wszystko czytam, więc cytowałam jej fragmenty. Teraz czytam dużo wolniej.

Ale dlatego, że bardziej się Pan zastanawia nad lekturą?

Skąd. Ja się już nad niczym nie zastanawiam. To jedna z tych cech, które się traci mimochodem. Czytam już raczej bez emocji. W ogóle coraz mniej rzeczy mnie emocjonuje, coraz więcej wydaje mi się tak dalekich od mojego jestwa...

Polityka też?

Jestem na bieżąco, ale nie powiem, czym mi to zwisa i gdzie. Tu już wystygłem. (*Odsuwa talerz*) Jeszcze będziesz mnie dźgać pytaniami?

Czy Pan wie, że kogoś zabił? Mówił Pan o dwóch strzelaninach.

Tego pierwszego na pewno nie zabiłem, drugiego najprawdopodobniej tak. On przestrelał z dwóch powodów: byłem dla niego za nisko i był w dupę pijany. A ja mu strzeliłem w brzuch, tak że musiało się skończyć źle.

Myślał Pan o tym potem?

Nie.

Żadnych moralnych rozterek?

Absolutnie. Za dużo przeszedłem w czasie wojny, żeby w ten sposób prze-

W sytuacjach skrajnych
ratowali mnie ludzie,
po których nigdy bym się tego
nie spodziewał.

**A ci, po których bym się
spodziewał, uciekali
na drugą stronę ulicy.**

żywać. Wydarzenie wojenne. Nic, co by spędzało sen z powiek.

Zdarzało mi się nie spać z innych powodów. W snach wracał ten moment z kanałem, z 1943 roku. Jedna z najstraszniejszych rzeczy, jaka mnie spotkała. Z tym nie mogłem sobie poradzić.

Jak ta sytuacja wyglądała?

Normalnie, złapało mnie dwóch chłopaków, podnieśli pokrywę i: „Dawaj pieniądze albo cię utopimy”.

To byli szmalcownicy?

Tak.

Kiedy przestali się śnić?

Nie umiem powiedzieć. Na ogół wojna bardzo rzadko mi się śni, a jeżeli już, to dziwnie. Nie śnią mi się makabryczne obrazy, tylko poczucie odpowiedzialności. Odpowiadam za jakąś grupę ludzi i muszę znaleźć wyjście. To tkwi do dzisiaj, niestety. Są zresztą przesłanki, żeby powracało.

Co człowiek przeżył strasznego, zostaje w nim na zawsze. Istotą jest umieć sobie z tym poradzić.

A jak ktoś sobie nie poradzi?

Zostaje solistą. Kimś trudnym do współżycia, komu się rzadko kiedy powodzi. Bo wszystkich dokoła o coś podejrzuwa.

Dlaczego Pan się nie ukrywał?

Istniały podstawy, żebym się ukrywał, ale ja miałem legitymację szkolną, świadectwo chrztu, nie było problemu.

AB: Opowiedz o swojej cichej bohaterce.

JR: Niemcy zażądali od wszystkich polskich dzieci świadectw chrztu. A ja nie byłem chrzczony. I nauczycielka mówi: „Józiu, wszyscy oddali już metryki, a ty jeszcze nie”. No idiotka, ale nieważne. Zacząłem męczyć ojca. To nie była pro-

sta sprawa, bo wymagała księdza i świadków. A przecież za to była kara śmierci.

I kto się zgodził?

Dowiedziałem się dopiero w 1955 r., kiedy potrzebowałem tego świadectwa do ślubu. Spojrzałem na podpisy: przyjaciel ojca, o którym bym nigdy nie powiedział, że jest gotów, i sąsiadka, drobna krawcowa, babinka taka, że pięciu groszy byś za nią nie dała.

Jeszcze jedną rzecz ci chciałem pokazać. Ostatnio napisała do mnie studentka, której nie oblałem, choć mogłem. Odnalazła mnie na Facebooku, żeby podziękować. Po sześćdziesięciu latach! (*Szuka wiadomości na smartfonie*) Krzyżem świętym się zegnaj, kiedy do tego podchodzę... Jest!

„Byłam w podbramkowej sytuacji i Pan o tym wiedział... Nie zapomnę do końca życia tego dnia, kiedy wyszłam z egzaminu z trójką w indeksie...”.

To największa satysfakcja, jaką można mieć z pracy. A takich rzeczy były dziesiątki. Na tym właśnie polega człowieczeństwo: że ktoś, kto powinien być zgorzkniały i zniszczony, potrafi zdobyć się na empatię.

Ostatnie pytanie: jest coś, czego Pan żałuje?

Tylko tego, że życie ucieka. Czasem o byle cień człowiek ma żal do człowieka, a życie jak osioł – ucieka. Gałczyński, dla odmiany.

To teraz tak uczciwie i szczerze – jeżeli dziennikarka może i uczciwie, i szczerze – warto było się do Kielc fatygować?

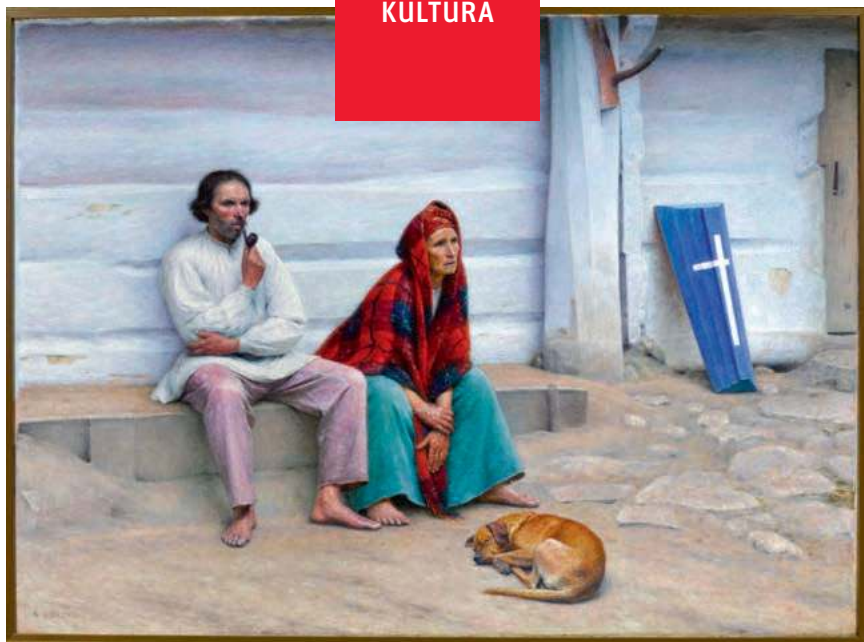
Oczywiście.

To jedź, ale zadzwoń czasem. Niech zostanie ta siła fatalna!

© Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA

JÓZEF RURAWSKI (ur. 1930) jest profesorem, historykiem literatury. Pracował na uczelniach w Warszawie, Kielcach, Lipsku i Pekinie. Prowadził lekcje języka polskiego w Telewizyjnym Technikum Rolniczym i audycje literackie w Polskim Radiu. Autor monografii Władysława Reymonta i Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Wydał zbiór felietonów „Wódka, wódeczko... Motyw alkoholu we współczesnej prozie polskiej”.

Obszerniejsza wersja tej rozmowy ukazuje się w najnowszym „Tygodniku Powszechnym – Wydanie Specjalne” pt. „Święto spotkania”. W sprzedaży od 18 listopada.



DAREMNE RAMY

Kiedy Muzeum Narodowe czciło obrazy polskości, w teatrze bunt przeciwko władzy obrazów wzniecał Oliver Frlić, ten od „Kłątwy”, która tak oburzyła albo zachwyciła Polaków.

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

USTAWIONA PRZED MUZEUM NARODOWYM w Warszawie papieska instalacja Jerzego Kaliny przesłoniła otwartą tam właśnie wystawę „Polska. Siła obrazu”. Przesłoniła chyba chwilowo, bo emocje wokół papieża z meteorytem z wolna opadają, a ekspozycję oglądać można do 20 grudnia, więc jest jeszcze czas, by ją zwiedzić.

Wystawa stanowi – jak napisano w katalogu – „nową odsłonę retrospektywy sztuki polskiej”, którą Muzeum Narodowe i Instytut Adama Mickiewicza przygotowały we współpracy i dla filii Luwru działającej w Lens. Tamtą wystawę otwarto niemal dokładnie rok wcześniej pod znacząco inną nazwą: „Polska (1840–1918). Namalować duszę narodu”.

„Dusza” owa, pozostając pod obcą władzą dokładnie w tym samym czasie, gdy

w Europie kształtowały się nowoczesne państwa narodowe, nie miała wielu możliwości, by okryć się politycznym i ustrojowym „ciałem”, wytwarzała więc siebie jako przedstawienie, w tym także jako obraz. Istniała, bo była wciąż przedstawiana, odgrywana i wystawiana.

Jeśli tytuł „Polska. Siła obrazu” czytać dosłownie, można uznać, że wystawa ma pokazać, w jaki sposób poprzez obrazy stworzona została Polska wyobrażona, co nie znaczy – nierealna. Jak wiadomo nie od dziś, narody są „wspólnotami wyobrażonymi”, więc to, co powstało dzięki sile obrazu, nie jest fantazją i iluzją, ale rzeczywistością oddziałującą na każdą sferę bieżącego życia, z reakcjami na koronawirusa włącznie. Czyż nie jest echem Somosierry żądanie „antycovidowców”, by „skończyć z pandemią”?



Animula vagula

Mylne byłoby jednak mniemanie, że wystawa warszawska ma jakieś ostrza krytyczne. Zorganizowana oczywiście w ramach pięcioletnich obchodów stulecia odzyskania niepodległości, wpisuje się raczej w autopanegiryczną narrację akcentującą wielkość i wspaniałość Polski jako kreacji stworzonej w odpowiedzi na sytuację zniewolenia.

Już na wstępie deklaruje zdecydowanie, że okres zaborów, w którym „uksztalowały się miejsca wspólne wyobraźni Polaków” oraz „rodzaj powszechnego języka obrazowych formuł” (cytaty z umieszczonych na wystawie tekstów), traktuje jako „interregnum”, a więc dziwny i paradoksalny czas, gdy wspólnota pozostaje bez własnej władzy, a to, co tworzący ją ludzie robią, jakby nie



PIOTR LIGIER / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE x2

Józef Brandt „Wyjazd z Wilanowa Jana III i Marysieńki Sobieskich”.
Po lewej: Aleksander Gierymski „Trumna chłopiska”

przynależy do polskiego życia. W czasach „interregnum” dusza polska żyje poza wrogą jej realnością, chroni się w świat mitu, a jeśli spogląda na teraźniejszość, to zawsze z bólem i melancholią napędzaną przez traumę. Taki przekaz jasno płynie z pierwszych sal.

Ekspozycja zaczyna się od „Rejtana” Jana Matejki i „Melancholii” Jacka Malczewskiego, tworzących rozpaczliwie cykliczny dramat narodu, który daremnie usiłuje powstać z upadku i wrócić do życia. Patrząc na płótno Malczewskiego, stojąca obok mnie starsza pani mówi nagle: „Powstańcy, powstańcy, powstańcy – chłopcy umierające”. Jest w jej głosie kulturalnej warszawianki, która w niedzielne popołudnie przyszła obejrzyć ważną wystawę, jakieś znużenie oczywistością tego obrazu. Nie da się

go podważyć, bo jak tu zanegować realność umierania tych „chłopów”, ale zarazem widziało się go już tyle, tyle razy, że poza powtarzaniem nic już zrobić się nie da. To znużenie czuję i ja, gdy oglądam kolejne Matejki w sali „Mitologia narodowa”. „Wernyhora”, „Dzwon Zygmunta”, „Stańczyk”, Napoleony Michałowskiego i bladeść Radziwiłłówny Simmlera – wszystko się stało i nic się nie od stanie, choć przecież kiedyś gdzieś tam tęgie pyski...

Z koła niemal chocholech znużeń wyrywa mnie spojrzenie rzucone z ukosa na bezwstydnie ujawniające się w tej mitycznej sali marzenie o imperium. Niedaleko od siebie wiszą „Sztandar Proroka” Juliusza Kossaka i „Wyjazd z Wilanowa Jana III i Marysieńki Sobieskich” Józefa Brandta – płótna sławiące potęgę zwy-

cięczy spod Wiednia. Wpisana weń legenda „przedmurza chrześcijaństwa” ma dziś oczywisty wymiar islamofobiczny, jak na dłoni widoczny w podmianie chorągwi tureckiego dostojnika na legendarny „sztandar Mahometa”. Z kolei na obrazie Brandta na pierwszym planie widoczni są czarnoskórzy służący królewscy, z pewnością kupieni od handlarzy niewolników. Biegą z latarniami w mroźny dzień po śniegu, a ich przerażone twarze przesłaniają i unieważniają dumę polskich jeźdźców z królewskiego orszaku.

Piesek śpiący

W kolejnych salach kolejne obrazy coraz mocniej wyrrywają się z narzuconej im ramowej narracji, która pęka pod naporem ich siły. Gdyby na „Dramat

→ terażniejszości” w sali poświęconej powstaniom spojrzeć nie z perspektywy martyrologii Grottgera, ale przez naznaczoną traumą i przesyconą śmiercią codzienność Malczewskiego, to może nie szukalibyśmy „duszy polskiej” na wznawianych co pokolenie mszach za ojczyznę, zamiast tego pochylając się uważniej i troskliwiej nad szeroko otwartymi oczyma patrzących na nas z boku dzieci?

Gdyby zamiast opowiadać znów baśnie o „wielokulturowej Rzeczypospolitej”, sięść na dłużej przed „Trumną chłopską” Aleksandra Gierymskiego i zapytać, jaki zacięty w napięciu ciała ból pochyła plecy kobiety i jakie lata okrucieństw wyuczyły męczyznę obojętności pozwalającej mu spokojnie palić fajkę, może mniej byłibyśmy skłonni do rojenia snów o odnowie „Sarmacji”? Może czas byłby najwyższy, by myślenie o Polsce zaczynać nie od bieli papieża i czerwieni morza, przez które przenosi kosmiczny kamień, ale od porażającego błękitu tej trumienki dziecięcej opartej o białą ścianę?

Tyle lat już minęło, gdy wezwany tym błękitem pojechałem bez pozwolenia rodziców do Krakowa na „Polaków Portret własny”. Tyle wizerunków, konterfektów, ikonicznych scen przesunęło się przed oczyma. A ten błękit nadal śpiewa w sposób, którego nie jestem w stanie wytrzymać i któremu nie mogę się oprzeć. I jeszcze myśl, że Polska to ten piesek zwinięty spokojnie u stóp i śniący sen, w którym trumny nie ma, a są kolorowi Huculi, kołomyjki, Sichulskie dzieci modlące się do Boga brzęczącego pszczołami w lipach...

„Trumna chłopska” ostatecznie rozbija podpowiadaną przez komentarze narrację wystawy. Po niej już nic nie chce się ułożyć. Wypisaną na ścianie pochwałę dworu polskiego jako ostoji polskości kompromitują wiszące w tej samej sali wiejskie karczmy i chaty z tłoczącymi się przed nimi chłopami. Ci mocni mężczyźni i energiczne kobiety żyjący poza tą „ostoją”, do tej „ostoi” ledwie wpuszczani tylnymi drzwiami, byłiby więc z polskości wykluczeni?

Wykluczeni byłiby z niej też ci aheroicznie brzydzy i nędzni robotnicy i robotnice z „Roku 1905” Witolda Wojtkiewicza, który salę dalej rzuca wyzwaniem podniosłej martyrologii Grottgera? Ale przecież patronująca im Jutrzenka Swobody, choć odarta z wszelkich znamion świę-

tego obrazka, nadal jest wizerunkiem polskiej Madonny.

Obrazy wymykają się opowieści, bo ich siła nie w tym, że malują fantazmatyczną polską duszę, ale w tym, że niepodległe wystają spod duchowo-mitycznej narracji, rozrywają ramy „dziedzictwa narodowego” i snów o potęgze, wskazując na podziemną rzekę płynącą pod staraniami ornamentatorów i dostarczycieli masochistycznych rozkoszy. W galerii polskiego Symbolicznego to polskie Realne dopomina się swego miejsca i głosu. Niebezpieczne, jak to Realne przypomina, że nie staje się przed obrazem bezkarnie.

Europa (wy)obrażona

Krzysztof Rutkowski nauczył mnie przed laty, że przypadek jest najwyższą formą konieczności. Taki właśnie przypadek sprawił, że w tę samą niedzielę, gdy mogłem obejrzeć wystawę w Muzeum Narodowym, Nowy Teatr w ramach Festiwalu „Nowa Europa. Zbliżenia” pokazał przedstawienie Olivera Frljicia „Imaginary Europe” zrealizowane jako część projektu European Ensemble.

Już same podstawowe informacje atakują kłopotliwym nagromadzeniem powtórzeń. Czy nie za dużo tej Europy zespolonej, zbliżanej i imaginowanej za europejskie pieniądze oczywiście? Czy nie

Może czas byłby najwyższy,
by myślenie o Polsce
zaczynać nie od bieli
papieża i czerwieni morza,
przez które przenosi
kosmiczny kamień,
ale od porażającego błękitu
dziecięcej trumienki
opartej o białą ścianę
w obrazie Gierymskiego?

zbyt nachalnie wciska się ta sponsorowana przez brukselskich technokratów wciąż „nowa” wspólnota wyobrażona, do której kiedyś aspirowaliśmy z radością, a którą dziś szef wszystkich szefów piętnuje jako wrogą mafię? Czy nie przeciw-



skuteczne jest wynajmowanie Frljicia, osławionego bluźniercy, by z wielonarodową i wielojęzyczną grupą młodych aktorów i aktorek realizował teatralną utopię europejskiego zespołu?

Frlijć nie byłby sobą, gdyby nie zaczął od konfrontacji z tymi pytaniami i gdyby przez całe przedstawienie nie powracał do podstawowej i zarazem konkretnej sytuacji, w której aktorki i aktorzy podejmują swoje działania wobec tej, a nie innej grupy widzów. Nie byłby też sobą, gdyby nie wyrzucił mitu europejskiej jedności, brutalnie i bez znieczulenia inscenizując narodowe konflikty i napięcia ledwo przykryte wspólnotą interesów. Jednak najważniejszym zadaniem, jakie postawił swojemu zespołowi w „Imaginary Europe”, wydaje się zmierzenie z siłą obrazu, tyle że nie czczoną i z odpowiednim dystansem podziwianą, ale jak najdosłowniej podważaną i rozbijaną.

Aktorki i aktorzy grają na pustej scenie, w której centrum znajduje się wielki prostokąt. Na początku czarny (co okazuje się nawiązaniem do „Czarnego kwadratu” Malewicza), zostanie następnie ujawniony jako rodzaj ogromnych puzzli pokazujących kolejno dwa obrazy mistrzów francuskiego, a więc i europejskiego romantyzmu: „Tratwę »Meduzy«”



„Imaginary Europe”, reż. Oliver Frljić,
projekt European Ensemble

MATERIAŁY PRASOWE SCHAUSPIEL STUTTGART

Théodore’a Géricaulta oraz „Wolność wiodącą lud na barykady” Eugène’a Delacroix. W przedstawieniu przywoływane są także inne obrazy (np. słynny „Anioł Historii” Paula Klee, oczywiście w interpretacji Waltera Benjamina), ale to te dwa wyznaczają przewodnie tematy dwóch części spektaklu.

Pierwsza jest – zaskakująco jak na Frljicia – jawnie żałobna, niemal rozpaczliwa. Opowieść o rozbitkach z „Meduzy” rozgrywana na tle obrazu przez grupę ogołoconych ze wszystkiego aktorów zaczyna się trochę jak wykład z reinterpretacji krytycznej, ale stopniowo przechodzi we wcielaną przez European Ensemble apokalipsę Starego Kontynentu, a nawet coś w rodzaju egzekwii nad jego rozpadającym się trupem. Nie ma wątpliwości – to my jesteśmy rozbitkami z „Meduzy”, pożerany przez pragnienie, za którym płyniemy, by w końcu odkryć, że jego głos należy do krwiożerczych syren. Zamiast wyspy – tratwa, zamiast Utopii – ludożerstwo.

Elevatio Crucis

Po dynamicznej przerwie, w której powinniśmy razem z aktorami układać z klocków kolejną europejską ikonę – „Wolność wiodącą lud na barykady”

Delacroix (nie robimy tego jednak, bo pandemia każe trzymać dystans) – krytycznej reinterpretacji poddane zostaje samo dzieło, które stało się bodaj najbardziej rozpoznawalnym i oczywistym wizerunkiem rewolucji. Tej jednak oczywiście nie będzie i nawet przez chwilę nikt na tej sali nie zdaje się poważnie i z rewerencją traktować obrazu francuskiego romantyka jako wezwania do jej wywołania. Krytyczne analizy aktorów ujawniających męskie fantazje i patriarchalne schematy wpisane w postać półnagiej Wolności, problematyzujące gest samowmalowania się artysty w szeregi bojowników, a w końcu dowodzące, że walka jest przegrana i wszyscy za chwilę polegną – nie robią na nikim specjalnego wrażenia.

Wolność może dziś co najwyżej powieść antycovidowców na marsz ochrzczony jej imieniem. European Ensemble i jego widzowie świetnie to wiedzą, więc o ile o „Tratwie »Meduzy«” mówili i słuchali z przejęciem, o tyle z płótna Delacroix co najwyżej przedrwiwają jak z dawnego lidera protestów, który został premierem i nawołuje do spokoju.

Ale na scenie jest jeszcze jeden wizerunek – wniesiony na początku, pokazany, a cały czas czekający z boku jak Czecho-

wowska strzelba. To malowany krucyfiks kojarzący mi się z romańskimi krzyżami z włoskich katedr, choć nie jest tak smukły i kolorowy. W Warszawie wnieśli go na front sceny polscy członkowie zespołu: Jaśmina Polak i Jan Sobolewski, tuż po tym, gdy wyładowali na kolezance z zespołu skumulowaną nienawiść do Niemców i Rosjan.

Wydaje się, że odegrają za chwilę kolejny bluźnierczy żart – Jezus okazuje się członkiem European Ensemble, z którym oboje rozmawiają, udzielając mu na zmianę głosu. Dialog jest początkowo utrzymany w stylu ludowej farsy – Jezus obiecuje, że wejrzy na tego spośród widzów, kto tu i teraz się rozbierze. Ale wygłup zaczyna z wolna poważnieć. Nie żeby stawał się całkiem serio, bo tego właśnie nikt by chyba na serio nie wziął – ale w całej tej żartobliwej atmosferze pojawiają się słowa o tym, że wartości, które Jezus ucieleśniał, etyka, której nauczał, powinny znaleźć się w samym sercu Europy. Nawet streszczone brzmi to jak żart, bo przecież trudno uwierzyć, że znany z ostrego ataku na Jana Pawła II chorwacki reżyser na serio mówi niemal to samo, co „polski papież”. Tyle tylko, że słowom towarzyszy tu i słowa przekracza działanie – doprawdy niespodziewane.

Gdy Polak i Sobolewski przestają mówić, usiłują sprawić, by krzyż stał samodzielnie. Już wydaje się, że odnieśli sukces i mogą odejść, ale odsuwają ręce, krucyfiks znów się przechyla i trzeba go podtrzymać. I tak co chwila. Trwa to długo. Na tyle długo, by nie móc nie zobaczyć tego obrazu: w warszawskim teatrze Ukrzyżowanego podtrzymują aktorzy przedstawienia wyreżyserowanego przez artystę, który w innym warszawskim teatrze stworzył przedstawienie zakończone demonstracyjnym krzyża ściąganiem. Tak było w „Kłatwie” w Teatrze Powszechnym parę lat temu.

Wszystko, co można by tu jeszcze powiedzieć, nie wydaje się potrzebne. Obrazy nie tyle ujawniają i wyrażają, ile kształtują i ustanawiają. Anioł Historii może i patrzy w przeszłość, na morze ruin i grobów, ale ten, kto go maluje, uwalnia go od samego siebie i pozwala spojrzeć w teraźniejszość.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



HERWIG PRAMMER / MATERIAŁY PRASOWE

Andrew Morstein (Andronico), Sofia Vinnik (Asteria), Rafał Tomkiewicz (Tamerlano), Kristján Jóhannesson (Bajazet), Valentina Petraeva (Irene), „Bajazet”, Wiedeń, 26 września 2020 r.

Nowa odsiecz wiedeńska

DOROTA KOZIŃSKA

Krystian Lada to młody warszawiak, mieszkający na stałe w Belgii. Studiował dramaturgię na Uniwersytecie Amsterdamskim. Parał się dziennikarstwem i pracą redakcyjną. I jest wybitnym reżyserem.

KIEDYŚ BYŁA TU KARCZMA POD BIAŁYM Wołem, założona przez pastery i handlarzy bydła na rogatkach ówczesnego Wiednia. W 1762 r. zatrzymał się tutaj Leopold Mozart – w pierwszej podróży z dwojgiem swoich cudownych dzieci: córką Nannerl i sześciolatkiem synem Wolfgangiem Amadeuszem. W latach 20. XIX wieku w budynku dawnej oberży ruszyła elegancka restauracja i hotel Zur Stadt London. Działała tu także stacja dyliżansów pośpiesznych, z której 19 sierpnia 1829 r., punktualnie o dziesiątej, Fryderyk Chopin wyruszył w podróż do Pragi. „Zapakowałem już

mój tłumoczek, jeszcze tylko muszę się udać do Haslingera, a stamtąd do kawiarni naprzeciw teatru, gdzie Gyrowetza, Lachnera, Kreutzera, Seyfrieda itp. zastanę. Za dwie noce i jeden dzień będziemy w Pradze; o 9-tej wieczorem siadamy do eilwagenu, śliczny będzie wjazd, śliczna kompania” – pisał tamtego dnia o świcie w liście do Feliksa Wodzińskiego.

W hotelu Zur Stadt London, zwanym też Hôtel de Londres, zatrzymywały się też inne znakomitości, m.in. Nietzsche, Liszt i Wagner. W 1848 r. aresztowano tu Roberta Bluma, niemieckiego poetę-radykała, przeciwnika rozbiorów Polski

i autora dramatu o Tadeuszu Kościuszcze. W końcu stulecia budynek zmienił właściciela. Nowy gmach hotelu Rabl, łączący elementy secesji ze stylem neobarokowym, wzniesiono w 1902 r., według projektu modnego wówczas architekta Carla Caufala.

Osiem lat później hotel przeszedł w ręce prężnej spółdzielni Český dům i stał się reprezentacyjną siedzibą czeskiej wspólnoty w Wiedniu. Leoš Janáček zamieszkał w hotelu na czas przygotowań do wiedeńskiej premiery „Jenufy” w 1918 r. Działyły tu m.in. teatr, stowarzyszenie chóralskie i dolnoaustriacki oddział Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Przedstawienia i koncerty organizowano w ciasnej, usytuowanej w bocznym skrzydle sali balowej.

Tyle historii, a miejsce wciąż niepozorne. Fasadę budowli, w której od 1942 r. mieści się hotel Post, łatwo przegapić w ciasnej zabudowie uliczki Fleischmarkt. W połowie ubiegłego stulecia, po rozlicznych perypetiach, wylądował tu zespół Wiener Kammeroper, założonej wkrótce po wojnie przez węgiersko-austriackiego dyrygenta Hansa Gabora. Dokładnie osiem lat temu kompania przeszła pod zarząd Theater an der Wien. W przyhotelowej salce ruszyła scena

młodych, próbujących swoich sił nie tylko w operach barokowych i współczesnych, ale i w kameralnych adaptacjach arcydzieł z żelaznego repertuaru. Nikt nie przewidział, że w roku 2020 Kammeroper zmieni się z czegoś w rodzaju studia operowego w kipiący tygiel idei – eksperymentalne laboratorium rozwiązań na wyjście z kryzysu, który dotknął boleśnie całe środowisko muzyczne i ani myśli ustąpić.

Zwierzę teatralne

Szczęśliwcy, którym udało się zdobyć bilety na wrześniową premierę „Bajazeta” Antonia Vivaldiego – w liczbie niespełna 150 osób, bo połowa miejsc na widowni musiała zostać pusta – stanęli w bocznym zaułku, tęsknie popatrując przez szybę na nieczynną kawiarnię teatralną. Kiedy wreszcie otworzyły się drzwi, czym prędzej włożyli maseczki i podreptali do środka, żeby zająć miejsca i otrząsnąć się z wieczornego chłodu.

Z początku nikt nie zwrócił uwagi na niepozornego mężczyznę w okularach, który krzątał się wokół, znosząc kolejne rekwizyty, po czym z uśmiechem na twarzy wypróbował ich własności akustyczne. Po chwili do widzów zaczęło docierać, że mężczyzna szykuje na scenie studio nagraniowe. Minęło kilka minut. Tajemniczy okularnik wtargął zza kulis ostatni przedmiot: staroświecką szpulę taśmy magnetofonowej. Przykucnął na proscenium i włożył ją do kanału orkiestrowego. W tej samej chwili z czeluści buchnęły dźwięki włoskiej uwertury. Oczywiście granej na żywo. Dopiero wówczas wszyscy zrozumieli, że nowy spektakl w reżyserii Krystiana Lada zaczął się wcześniej niż sama opera. Za chwilę mieliśmy się przekonać, że niepozorny człowieczek ze sceny kryje w sobie tożsamość bezwzględnego okrutnika Tamerlana.

W ubiegłym roku, kiedy nominowałam Ladę do Paszportu „Polityki”, nie miałam jeszcze pewności, czy chcę wyróżnić reżysera i dramaturga, czy raczej kogoś w rodzaju aktywisty operowego. Uzasadniałam nominację Lada jego wiarą w żywotność formy; przeświadczeniem, że opera przemawiająca językiem nowoczesnego teatru trafi do serc publiczności równie cennie jak dobry film albo powieść; odwagą poruszania w inscenizacjach palących spraw dzisiejszego świata.



Krystian Lada podczas prób spektaklu „Sigismondo” w Teatrze Słowackiego w czasie Festiwalu Opera Rara, 20 stycznia 2020 r.

Młody warszawiak, mieszkający na stałe w Belgii, trafił do opery zupełnie inną drogą niż większość polskich reżyserów. Studiował za granicą – literaturoznawstwo i dramaturgię na Uniwersytecie Amsterdamskim. Nie miał jeszcze trzydziestki, kiedy został dyrektorem do spraw dramaturgii i promocji kultury w teatrze La Monnaie. Parał się dziennikarstwem i pracą redakcyjną. Pisał libretta, sceniczne adaptacje literatury i scenariusze do programów telewizyjnych.

Szlify dramaturga zdobywał pod okiem najlepszych, m.in. Iva van Hovego i Pierre’a Audiego. Uczestniczył w Programie Kształcenia Młodych Talentów ENOA (Europejskiej Sieci Akademii Operowych). Był członkiem zespołu doradczego przy Opera Europa, organizacji *non-profit* z siedzibą w Brukseli, zrzeszającej europejskie teatry i festiwale operowe. Trzy lata temu założył The Airport Society: stowarzyszenie artystów i działaczy, którzy eksplorują subtelny sieć powiązań między operą współczesną a światem technologii i rzeczywistością bieżących zjawisk społecznych. Właśnie w tym gronie zadebiutował jako reżyser: performansem „Aria di Potenza”, w którym uwypuklił „operowy” aspekt wystą-

pień polityków, zestawiając je ze słynnymi ariami.

Zwróciłam na niego baczną uwagę niedługo później, w 2018 r., kiedy reżyserował spektakl „I Capuleti e i Montecchi” Belliniego w Operze Wrocławskiej. Przekonałam się już w rozmowie przedpremierowej, że mam do czynienia z wrażliwym i nowoczesnie myślącym „zwierzęciem teatralnym”, a nie z kolejnym aroganckim postępowcem, który wdarł się przemocą na scenę operową. Lada skrzętnie wyłowił tropy zawarte w tekście muzycznym i spróbował je oddać językiem współczesnego teatru. Co więcej, dowiódł, że ma poczucie humoru: we wrocławskim przedstawieniu ubrał bojowych Kapuletów w mundury bractwa kurkowego i zaprosił na premierę delegację prawdziwych strzelców. Stawili się w pełnej gali i nie ustawiali w zachwytach nad koncepcją reżysera.

Od tamtego czasu zrealizował kilka skrajnie odmiennych przedsięwzięć – od monumentalnego, plenerowego „Nabucca” we Wrocławiu, poprzez wstrząsającą instalację „Unknown, I Live With You” w dawnej kaplicy zakonu brygidek w Brukseli, z muzyką Katarzyny Głowickiej, na kanwie poezji uczestniczek Afghan Women’s Writing Project – spektakl, o którym później pisałam, że ludzie płakali, zasłaniali oczy, po czym wracali, żeby obejrzeć i usłyszeć to wszystko raz jeszcze – aż po „Sigismonda” Rossiniego na krakowskim festiwalu Opera Rara, w którym brawurowo zderzył narrację muzyczną z odniesieniami do malarstwa historycznego Matejki.

Tanio i z miłością

W podobnym duchu – na śmieszno i straszno – zrealizował wiedeńskiego „Bajazeta”. Materię tej trzyaktowej opery, skomponowanej w 1735 r. na otwarcie karnawału w Weronie, doprawdy trudno ogarnąć. Nie do końca też uczciwie nazywać ją dziełem Vivaldiego, jest to bowiem →

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

→ przykład modnego w tamtych czasach pasticcia, gatunku, w którym łączono odcinki muzyczne z oper różnych kompozytorów, scalając je w nową opowieść z całkiem nowym librettem.

Powikłaną historię losów osmańskiego sułtana Bajazeta i jego córki Asterii w niewoli u Tamerlana, władcy Turków uzbeckich, Vivaldi skompiłował dość przewrotnie. „Dobrym” postaciom napisał arie sam, tymczasem lotrów wyposażył w muzykę innych kompozytorów: Giacomellego, Hassego i Broschiego – być może po to, by złośliwie podkreślić, kto tu rzeczywiście się zna na rzemiośle muzycznym.

Lada odwołał się do prastarej konwencji teatru w teatrze, umieszczając akcję opery w studiu, którego właściciel – jak już nietrudno się domyślić, Tamerlan – realizuje słuchowisko o Bajazecie. Na jasnej, prawie pustej scenie, wyposażonej jedynie w sprzęt nagrywający i rekwizyty do efektów dźwiękowych (świetna scenografia Didzisa Jaunzema), toczy się dramat z udziałem aktorów, którzy nie tyle wchodzą w role swoich bohaterów, ile ujawniają – bezwiednie i często wbrew woli – własną tożsamość, zaskakująco zbieżną z charakterem odgrywanych postaci.

To w gruncie rzeczy spektakl o sile konwencji, stereotypów i zwykłych ludzkich uprzedzeń. Nie „obcy”, wzbudzający postrach Bajazet (islandzki baryton Kristján Jóhannesson), lecz niepozorny Tamerlan (znakomity aktorsko i wokalnie kontratenor Rafał Tomkiewicz) okaże się prawdziwym draniem. Finałowa metamorfoza Tamerlana i szyty grubymi nićmi przez librecistę *happy end* przybiorą wszelkie cechy groteski. Tylko „dobry” Idaspe (w tej

W Kammeroper gwiazd nie ma.

Są ludzie młodzi wiekiem i duchem, którzy nie chcą wskrzeszać opery po pandemii, tylko podtrzymać ją teraz przy życiu – wielkim nakładem miłości i minimalnym nakładem środków finansowych.

roli fenomenalna, młodzietka wiedenka Miriam Kutrowatz) – przyjaciel „złego” Andronika – pozostanie do końca zagadką. Będzie obserwował rozwój wypadków z dystansu, a zarazem manipulował wszystkimi. Odpowiedzialny za całość audycji reżyser dźwięku? Wszechwiedzący narrator? Bezpłciowa, wyprana z emocji zjawa, funkcjonująca na obrzeżach ludzkiej egzystencji?

Niektóre pomysły Lada są na granicy szarży – m.in. częściowo animowane projekcje dzikich fantazji Tamerlana i jego popleczników – a jednak bronią się bez trudu. I to z kilku powodów. Dzięki spójności ogólnej koncepcji. Za sprawą idealnej współpracy z resztą ekipy, zwłaszcza z Natalią Kitamikado, twórczynią wyśmakowanych plastycznie kostiumów. Przede wszystkim zaś dlatego, że Lada rozumie specyfikę formy operowej. Nie poprzestaje na uwielbieniu jej rzekomo staroświeckiej i egzotycznej urody. On z tą

pięknością potrafi rozmawiać w jej ojczystym języku.

Za pulpitem wiedeńskiego „Bajazeta” stanął śpiewak i dyrygent Roger Díaz-Cajamarca, który prowadził Bach Consort Wien z energią i zapalem, choć może niezbyt subtelnie. Na szczęście wokaliści znów mogli liczyć na zorientowanego w materii muzycznej reżysera. Lada wie, jak rozłożyć akcenty w barokowej arii *da capo*, kiedy śpiewaka zachęcić do improwizacji, a kiedy powściągnąć jego pomysły, czy zostawić go z pustymi rękami, czy wręcz przeciwnie, obładować go mnóstwem rekwizytów, żeby skupił się, na czym trzeba.

Jeśli ten sezon w Theater an der Wien uda się zrealizować bez większych przeszkód, na mikroskopijnej scenie przy Fleischmarkt czekają nas inne niespodzianki, m.in. kameralna adaptacja „Tristana i Izoldy”, a zarazem debiut reżyserski gwiazdy wiedeńskiej Staatsoper, basa Günthera Groissböcka. W Kammeroper gwiazd nie ma. Są ludzie młodzi wiekiem i duchem, którzy nie chcą wskrzeszać opery po pandemii, tylko podtrzymać ją teraz przy życiu – wielkim nakładem miłości i minimalnym nakładem środków finansowych.

Każdy wiedeńczyk zna piosenkę o „kochanym Augustynie”, ulicznym muzykancie, który podczas plagi czarnej śmierci w 1679 r. uchlał się do nieprzytomności, wylądował na całą noc w dole z trupami i przeżył. Nie każdy wyciąga z niej właściwe wnioski – to nie jest przypowieść o tym, że artyści są nieśmiertelni. To piosenka o nadziei, że ktoś ich wyciągnie z tego dołu z wapnem. Krystian Lada i młodzi z Theater an der Wien z pewnością są tego warci. © DOROTA KOZIŃSKA

REKLAMA



Świata nie zmieniłem. Niestety

KEN LOACH, REŻYSER:

W filmach oglądamy bogatych ludzi w ładnych pomieszczeniach. Ale skąd się to bogactwo wzięło? Gdzie się podzieli ci, co te piękne pomieszczenia zbudowali? Tych pytań zadawać nie należy.

RAFAŁ WOŚ: Wyobraźmy sobie, że przyleciałem z innej planety. A Pan ma tylko 30 sekund, żeby mi wytłumaczyć, co jest nie tak z naszym światem. Co by Pan mi powiedział?

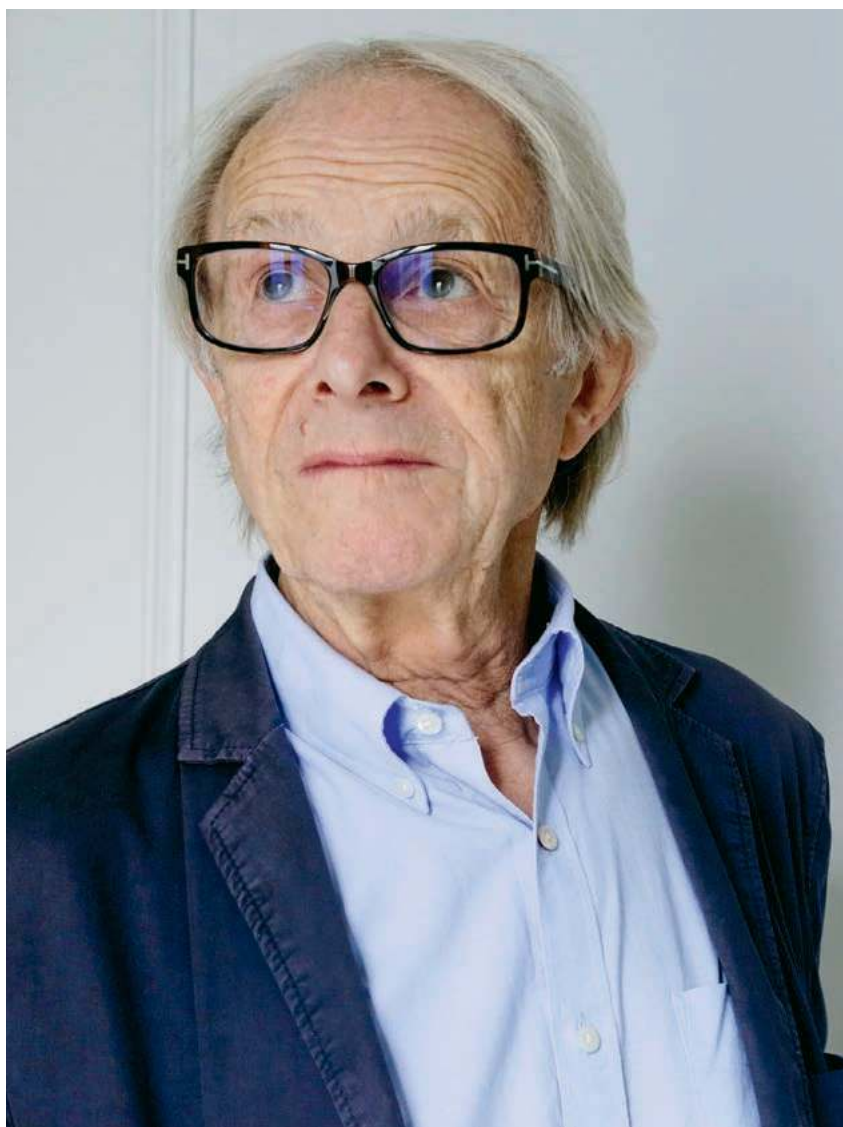
KEN LOACH: Powiedziałbym, że problemem naszego świata jest wyzysk ekonomiczny. Ten wyzysk skutkuje przywilejami dla jednych ludzi i niesłychanym upodleniem innych ludzi. To mechanizm, który wypycha nasz świat w kolejne katastrofy.

Najnowszy Pana film, „Nie ma nas w domu”, jest właśnie o tym. I wszystkie poprzednie też były o tym samym. Obawiam się, że ma pan rację.

Tylko po co światu te wszystkie filmy Kena Loacha? Tyle już razy w różnych odśłonach pokazał Pan, ile zła i nie-szczęścia wyrządza ludziom realny kapitalizm. I co z tego? Świata Pan nie zmienił.

Znów ma pan sporo racji. Wojna, w której uczestniczę, jest długa. W pełni zdaję sobie sprawę, że jej skala może przekraczać skalę mojego życia i w ogóle życia pojedynczego człowieka. Dlatego my socjaliści tak często podkreślamy znaczenie wspólnoty. To nie jest tylko moja walka.

Tak się tylko mówi.



CLAUDE MEDALE / GETTY IMAGES

KEN LOACH (ur. 1936) jest brytyjskim reżyserem filmowym i teatralnym. Z wykształcenia prawnik, zaczynał w latach 60. od filmów dla telewizji BBC. Dwukrotnie zdobył Złotą Palmę w Cannes za „Wiatr buszujący w jęczmieniu” (2006) i za „Ja, Daniel Blake” (2016). W polskich kinach można teraz zobaczyć jego najnowszy film „Nie ma nas w domu”.

Nie. Tak jest naprawdę. Przecież nawet tzw. „moje filmy” nie są tylko moje. Świat zewnętrzny czci reżyserów, ale to uproszczenie. Każdy, kto robił coś kiedyś przy filmach, wie, że jest to przedsięwzięcie z natury zbiorowe. Ja np. nie piszę scenariuszy.

Dlaczego?

Ze scenarzystą Paulem Lavertym działamy razem od 25 lat. Pomysł na filmy rodzą się z naszych długich rozmów na najróżniejsze tematy. Gadamy o życiu, ludziach, o filmach, o piłce. Z tego powstają bohaterowie, sceny i tematy kolejnych naszych produkcji. Fakt, że od początku

pandemii widzimy się rzadziej niż kiedyś, bardzo mi doskwiera. A przecież są jeszcze relacje z ekipą na planie, z aktorami.

Wzemy „Riff-Raff”.....

To Pana film z 1991 r. W Londynie zaczyna się boom budowlany, który zmieni oblicze tego miasta, czyniąc je najdroższym na świecie. A Pan robi film o ekipie budowlanców, którzy pracują przy przebudowie starego szpitala na lofty. Ich praca odbywa się na warunkach, które u nas w Polsce – bardzo trafnie – określa się dziś „śmieciowymi”.



→ **Bez ubezpieczenia, bez chorobowego, bez pewności, kiedy i ile zechcą zapłacić.**

Czułem się wtedy wypalony. Lata 80. to był dla mnie trudny czas. Drogie mi ideały praw pracowniczych i solidarności społecznej zostały w czasach rządów Margaret Thatcher brutalnie złamane. A ja nie potrafiłem znaleźć odpowiedniego języka, by o tym opowiedzieć. Wtedy spotkałem operatora Barry'ego Ackroyda. Wziął kamerę na ramię i razem znaleźliśmy nową energię do robienia filmów. Zrobiliśmy ich potem jeszcze wiele.

Znając Pana socjalistyczne poglądy rozumiem, że to robienie filmów razem jest nie tylko drogą do celu, ale celem samym w sobie.

Dokładnie tak. To, co robię, jest częścią czegoś większego. Wielkiej walki o prawo do godnego życia dla każdego człowieka.

Ktoś może jednak powiedzieć, że to mówienie o byciu na wojnie z systemem jest trochę przesadzone. Nikt Pana przecież nie prześladował ani nie cenzuruje. Mało tego, każdy Pana kolejny film jest wydarzeniem. Dwa razy dostał Pan Złotą Palmę w Cannes. Że nie wspomnę o innych nagrodach.

Oczywiście, że tak to działa. Zamykają cię w małym pudełku. Jak gdyby mówili: a teraz reżyser Loach pokaże państwu obrazek, nad którym wszyscy uronimy łezkę. Już? Powzruszaliśmy się? To teraz wszyscy grzecznie wracamy do naszych codziennych zajęć. Myśli pan, że tego nie wiem?

I nie boli to Pana?

Przyznaję, że nie jest to szczególnie powód do zadowolenia. Ale wiem jednocześnie, że nie jestem ani pierwszym, ani ostatnim, który jest w takiej pozycji ustawiany. Tak właśnie działa system klasowej opresji. Jedni wyzyskują, a inni są wyzyskiwani. A wielu po prostu na tym układa korzyść. Nie bardzo ich obchodzi ten wyzysk. Cały system zaś przy pomocy swoich strażników – mediów, polityków, krytyków czy po prostu establishmentu – próbuje ten stan rzeczy utrzymać. Mówią np., że filmy pokazujące świat z perspektywy klasowej są sztampowe, nieciekawe, nieważne, nudne. Prawdziwe problemy są rzekomo zawsze gdzieś indziej.



Kadr z filmu „Nie ma nas w domu”

Gdzie?

Wszędzie. Byle tylko nie stawiać fundamentalnych pytań o wyzysk ekonomiczny. To dlatego w większości produkcji kinowych ostatniego półwiecza oglądaliśmy ładnych i bogatych ludzi w ładnych pomieszczeniach. Ale skąd się to bogactwo wzięło? Albo gdzie się podziali ci, co te piękne pomieszczenia zbudowali? Tych pytań zadawać nie należy.

No ale jednak nie jest Pan twórcą niszowym ani przemilczanym.

Bo system jest sprytny. I raz na jakiś czas dopuszcza odmienny punkt widzenia. Im pewniej się czuje, tym bardziej dopuszcza. Ugoszczą cię wtedy w Cannes albo w innym ładnym miejscu. Może nawet zrobią przy okazji jakąś zbiórkę na ubogich. Nie uderzając oczywiście w żaden sposób w same przyczyny biedy.

W wywiadach często nawołuje Pan do tego, by być wściekłym na system. Ale w tym, co Pan teraz mówi, tego gniewu nie czuję. Czuję pogodzenie.

Nie biorę tego do siebie. Po prostu zbyt długo już jestem na tej wojnie, by się dziwić, że po obejrzeniu moich filmów świat nie przewraca się do góry nogami. Nie wierzę, że ludzie wyjdą z kina i przestaną wyzyskiwać albo odwracać oczy od wyzysku. To tak nie działa. Nie oczekuję, że moje filmy zmienią świat. Świat można zmienić metodami politycznymi. Sztuka nie zmienia świata. Polityka zmienia.

To ostatnie twierdzenie mocno wyróżnia Pana z grona współczesnych artystów. Większość z nich raczej stroni od polityki.

Ja nie stronię.

Pana aktywność polityczna to rzecz dość dobrze opisana, ale przypomnijmy ją tym, którzy nie znają życiorysu Kena Loacha aż tak dobrze.

Od pierwszych filmów – z początku telewizyjnych, a potem kinowych – chciałem pokazywać wyzysk ekonomiczny i biorące się z niego patologie. Na przykład problem bezdomności albo słabe perspektywy edukacyjne, które system oferował dzieciom z klasy robotniczej. Wtedy nie wiedziałem jeszcze oczywiście, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Najgorsze?

Jeszcze w latach 60. czy 70. wiele rzeczy mnie irytowało. Również dlatego, że byłem młody i bardziej radykalny. Gdy patrzę na to dziś, to trochę się wstydzę, bo wiele stawianych przeze mnie problemów miało charakter czysto akademicki. Trochę utopiiny. Pewnie zbyt mało doceniałem fakt, że istniały wtedy jednak znaczące zdobycze państwa dobrobytu wywalczone przez klasę robotniczą w czasie dwóch wojen światowych i niezliczonych wystąpień klasowych. W tamtym świecie ten kruchy powojenny kontrakt społeczny pomiędzy biednymi i bogatymi nie został jeszcze zerwany. Państwo respekto-

wało fakt, że ponosi odpowiedzialność za zdrowie, dobrobyt i bezpieczeństwo finansowe swoich obywateli. A potem nastąpiła Thatcher.

I to jest to najgorsze? Rok 1979.

Tak. Ona nie tylko porzuciła zobowiązania tego kontraktu społecznego, który lepiej lub gorzej, ale jednak spajał nasz naród. Ona ten kontrakt społeczny ostentacyjnie podarła, uderzając w klasę robotniczą przy pomocy całego arsenału dostępnych jej środków. Od przemocy państwa po pogardę mediów. To był dla mnie moment osiągnięcia prawdziwej politycznej dorosłości. Zobaczyłem, że polityka to jest życie. To jest nagi ekonomiczny los milionów ludzi. A nie tylko jakieś tam rozważania teoretyczno-ideologiczno-akademiczne. Nagle pojawiło się dotkliwe bezrobocie, które w zasadzie odebrało pracownikom możliwość obrony.

Marks nazywał to celowym działaniem klas posiadających, polegającym na utrzymywaniu tzw. rezerwowej armii pracy, przy pomocy której można stale szachować pracujących.

Dobrze, że pan wspomina Marksa. Bo moim zdaniem Margaret Thatcher była marksistką.

Słucham?

Tak, ona była marksistką w perwersyjnym tego słowa znaczeniu. Wypowiedziała klasie robotniczej otwartą wojnę, po czym tę wojnę wygrała. Wygrała ją dzięki kombinacji trzech ciosów. Po pierwsze, wykorzystała wspomniane już bezrobocie. Nie możesz się bronić ani organizować w warunkach wysokiego bezrobocia. To jest mrzonka. Do skutecznej obrony kolektywnej potrzebna jest przecież solidarność. A solidarność nie ma szans zaistnieć w sytuacji, gdy na miejsce protestującego pracownika czeka kilku innych zdesperowanych bezrobotnych. Im dłużej trwa taka sytuacja, tym nieufności jest więcej. Thatcher tę nieufność celowo podsyciała. Wedle zasady „najpierw skłócimy klasę robotniczą ze sobą, a potem będziemy nią zarządzać”.

To pierwszy cios. A kolejne?

Po drugie, zaczęła wprowadzać prawa antyzwiązkowe. A po trzecie – celowo wywoływała strajki tam, gdzie wiedziała, że może je wygrać i zdobyć przeciwko

**Zawsze byłem zdania,
że nie ma sensu zatrudniać
profesjonalnego aktora**

**do roli kierowcy
albo budowlańca.**

nim poparcie klasy średniej. To był przypadek górników. Thatcher rozerwała nasze społeczeństwo po liniach klasowych. Stała się stroną zwycięzców. Utwierdziła panowanie klasy panującej.

Po raz pierwszy od początku naszej rozmowy mam wrażenie, że się Pan wzmożył.

Lata 80. to jest dla mnie doświadczenie pokoleniowe. Zaraz potem przyszło drugie fundamentalne odkrycie. Zwycięstwo Partii Pracy pod wodzą Tony'ego Blaira w 1997 roku. O tym też trudno mi mówić spokojnie, bo uważam go za najwerniejszego ucznia Thatcher. I nie chodzi o jednego człowieka, tylko o reprezentowany przez niego sposób myślenia, który zatriumfował wtedy w Partii Pracy. Nastąpiło ostateczne popsucie państwa dobrobytu.

Co pokazuje Pan np. w „Ja, Daniel Blake” z 2016 r.

Tak. Ale Blair to także prywatyzacja usług publicznych, dopuszczenie do wypchnięcia mniej zamożnych z najdogodniej położonych dzielnic miast i oddanie ich bogatym oraz spekulantom. No i imperialistyczna wojna w Iraku. To, co się stało w Wielkiej Brytanii, pokazuje, jak formalna demokracja nie zapewnia demokracji faktycznej. To jasne jak słońce.

Teraz jest lepiej czy gorzej?

Ścieżka została wtedy ułożona. Na takim gruncie Cameronowi łatwiej było wprowadzić oszczędności budżetowe po kryzysie. A zwolennikom brexitu łatwiej było przeprowadzić kampanię na rzecz wyjścia Wielkiej Brytanii z UE.

Mamy w naszym kraju od 40 lat jeden wielki antyspołeczny rząd. Od Thatcher przez Blaira po Borisa Johnsona.

**Zostawmy na koniec politykę
i wróćmy do filmu. Pan ma 84 lata.**

Zgadza się.

Proszę się nie gniewać za pytanie, ale jak to możliwe, że 84-letni reżyser z sukcesami nadal robi filmy, które tak dobrze trafiają w społeczne dylematy ludzi znacznie młodszych i należących do innej klasy społecznej?

Może to dlatego, że mój przyjaciel i scenarzysta, wspomniany już Paul Laverty, jest szczawikiem – ma zaledwie 63 lata. (śmiech)

Znam twórców, którzy nawet jeśli zaciekawili się tematami przemocy ekonomicznej, potem je porzucali. Zwykle na rzecz tematów bliższych zainteresowaniom swojej klasy. Artystyczny zapal poświęcają więc albo wojnom kulturowym, albo introspekcji. A Pan nie – czemu?

Pokażę to panu na przykładzie „Nie ma nas w domu”. Najpierw był pomysł, zrodzony z rozmów z Paulem Lavertym. Zaczęliśmy od szukania kontaktu z organizacjami, które starają się zrzeszać ludzi pracujących w ten sposób, jak bohater naszego filmu. To znaczy są kierowcami-kurierami i rozwiją różne rzeczy w ciągłym niedoczasie i pod groźbą kar. Jak im się coś stanie albo zachorują, nikt im oczywiście nie pomaga. Oficjalnie są przecież samozatrudnieni. Wolni biznesmeni.

Znamy to w Polsce doskonale.

Organizacji, które by tych ludzi zrzeszały, prawie nie ma. I trudno się dziwić, bo ci ludzie są tak zarobieni, że nie mają czasu się organizować. Więc Paul się zakręcił i poszedł do takiej ich bazy, gdzie odbierają towary. Jakoś tam się dostał i zaczął zagadywać ludzi. Oczywiście to trochę trwało. Paul jest człowiekiem bardzo sympatycznym i łatwo nawiązującym kontakty. Ale zanim udało mu się zbudować więzi zaufania, upłynęło trochę czasu. W końcu jeden z kierowców zgodził się wziąć Paula ze sobą. Zaczęli razem jeździć. Paul cały czas opowiadał to mnie. Ja też zacząłem się spotykać z naszymi bohaterami. Pytałem, słuchałem. Najważniejsze jest to słuchanie.

I jak wyglądało takie spotkanie. Znali Pana filmy?

→ Może jeden albo dwa. To oczywiście wzmacniało naszą wiarygodność. Ludzie mniej więcej wiedzieli, czego się spodziewać. Nie musieli się obawiać, że nadużyjemy ich zaufania, by przedstawić ich w złym albo prześmiewczym świetle. Ale o moich filmach z nimi nie rozmawialiśmy. W gruncie rzeczy to ja ich pytałem.

Rozumiem, że ten typ przygotowania filmu to nie tylko przypadek „Nie ma nas w domu”, który ma właśnie polską premierę.

Dokładnie tak. Oczywiście ja jestem coraz starszy, więc coraz więcej przygotowań spada na Paula. Ale model za każdym razem był podobny. Zawsze byłem zdania, że nie ma sensu zatrudniać profesjonalnego aktora do roli kierowcy albo budowlanca. Odtwórca głównej roli nie musi być naturszczykiem, ale powinien mieć jakieś doświadczenia pracy fizycznej. Albo przynajmniej na jakimś etapie życia obracać się wśród klasy robotniczej.

Grający głównego bohatera „Nie ma nas w domu” Kris Hitchen zaczynał jako aktor, ale potem miał się różnych zajęć. Był przez lata hydraulikiem jeżdżącym własnym autem od zlecenia do zlecenia. Z kolei grająca jego żonę Debbie Honeywood była w prawdziwym życiu nauczycielką zajmująca się dziećmi z problemami edukacyjnymi. Miała więc wielkie osobiste doświadczenie troszczenia się o innych. Wystarczyło, że zrobiła kurs pielęgniarstwa, którym miała się trudnić grana przez nią bohaterka – w ten sposób udało się zbudować postać. Postać, którą profesjonalna aktorka musiałaby zagrać. A ona nią była. Dzięki temu mogłem pytać ich na planie: „Jak by to twój bohater zrobił?”. Dodawało im to pewności siebie i budowało cały film. To mechanizm, który się w naszych filmach powtarza, i jestem z niego bardzo zadowolony.

To aż takie ważne?

Tak, bo przynajmniej na tym małym odcinku rzeczywistości udaje się tworzyć świat rządzący się inną logiką niż wilcze prawa kapitalizmu. Tu udaje się wygrać.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Dick Johnson nie żyje”

Zabawa w umieranie

ANITA PIOTROWSKA

Kirsten Johnson, twórczyni filmu, i jej ojciec, jego bohater, pokazują język śmierci – ale też swoim widzom.

ISTNIEJE PRZESĄD, ŻE JEŚLI POGŁOSKA o czyjejś śmierci okaże się przedwczesna, to pochopnie uśmiercony żył będzie jeszcze długo. Podobne zaklinalnie rzeczywistości zdaje się uprawiać twórczyni dokumentu „Dick Johnson nie żyje”. Amerykańska reżyserka Kirsten Johnson już w tytule, brzmiącym niczym złowroźna fraza z „Zagubionej autostrady” Davida Lyncha, wielokrotnie uśmierca swego sędziwego ojca, przygotowując w ten sposób na nieuchronne siebie, bliskich i jego samego. Przed kamerą rozgrywa się współczesna *ars moriendi*.

Wszyscy – reżyserka, ojciec i jej dzieci – mają przy tym sporo śmiechu. Dlatego podczas oglądania filmu Johnson rzuca się w oczy przede wszystkim jakże odmiennie kulturowo podejście do spraw ostatecznych. Zdecydowanie bardziej halloweenowe niż w klimacie naszych Zaduszek. Raczej z urną na kominku niż ze zniczem na cmentarzu. Choć

może po prostu Dick, emerytowany psychiatra z Seattle, i jego córka, od lat pracująca w przemyśle filmowym, posiadają podobny, nieco błazeński temperament. I bardzo czarne poczucie humoru. Na przestrzeni kilku lat Kirsten organizuje w rodzinie swoiste warsztaty umierania, inscenizując przed kamerą kolejne śmierci ojca. Ten przystaje na jej pomysły ochoczo, jakkolwiek można by zapytać, na ile decyduje o tym on sam, a na ile jego postępująca demencja, która wcześniej dotknęła również jego żonę. Oglądamy więc kronikę mniej lub bardziej wymyślnych upadków i wypadków, w których prawie 90-letni wdowiec entuzjastycznie odgrywa swoje role. Czasami robi to z pomocą wynajętych kaskaderów. Wiadomo jednak, że za którymś razem nikt go w tej roli nie zdoła zastąpić ani ochronić. Pytanie tylko, kiedy to nastąpi. I czy zdążymy się zorientować, że to już naprawdę koniec?

Twórczyni filmu i jego bohater pokazują język śmierci, ale też swoim widzom. Niby łatwo rozpoznać, że tabletki w dozownikach są autentyczne w przeciwieństwie do lejącej się obficie sztucznej krwi. Są jednak chwile, kiedy nie bardzo wiadomo, czy ukazwane w zbliżeniu oczy Dicka szklą się od prawdziwych łez. Wreszcie: czy kamera Johnson drży od nadmiaru rzeczywistych emocji, czy mamy do czynienia li tylko z filmowym efektem, mającym uwiarygodnić daną scenę.

Podobnych konfuzji jest na ekranie sporo, jak przystało na film dokumentalny, który co i raz zawałającym gestem próbuje rozpychać swoje granice. Elementy czysto kreacyjne – wszystkie te ustawienia, kołaże, stylizacje na musical i tani horror, na slapstickową komedię i nieme kino – próbują być w kontekście wiodącego tematu czymś więcej niż filmową atrakcją. „Dick Johnson...” bywa wzruszający w swoich wysiłkach oswojenia bądź przechrzta śmierci. Zużyta metafora kamery jako maszyny posiadającej moc uniesmiertelniania nabiera tu nowego sensu. Nie tylko sam akt filmowania, ale i wspólne fantazjowanie o śmierci spełniają funkcję czegoś na kształt podwójnego bajpasa, który – jak się dowiadujemy – został kiedyś wszczepiony Dickowi. Film też ma za zadanie przedłużyć mu życie, przynajmniej to świadome i aktywne.

Johnson traktuje zatem swój dokument terapeutycznie, chwytając się narzędzi różnego rodzaju i kalibru. Stąd owo zapętlenie w umieraniu, które bohater porównuje do przygód bohatera „Dnia świstaka”. Stąd dosłowne „przymierzanie się” do trumny i zaaranżowany wyjazd Dicka do Kalifornii, gdzie spotyka swoją miłość z czasów studenckich oraz współwynawców z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Córka zafunduje mu także zmaterializowaną wizję prywatnego nieba – z górami popcornu, strumieniami czekolady i ożywionymi podobiznami gwiazd filmowych. Sceptyk powie, że wszystko zostało sfingowane jedynie w ramach efektownego projektu, podczas gdy sympatyk zobaczy w tym po prostu spełnienie czyichś przedśmiertnych (i pośmiertnych) życzeń. Równocześnie w dokumencie Johnson poja-

wiają się zupełnie inne materiały filmowe – te z rodzinnego archiwum Johnsonów, a wśród nich domowe wideo z nieżyjącą matką reżyserki. Zapewne autentyczne. Główny bowiem paradoks „Dicka Johnsona...” polega na tym, iż sam będąc dokumentem, na każdym kroku przypomina, że każdy film to zawsze mniejsze lub większe oszustwo.

„Prawdziwe życie jest ciekawsze niż wymyślone” – odpowiada reżyserka na pytanie ojca, czemu właściwie została dokumentalistką. Portfolio ma zresztą wielce prestiżowe: prócz osobistego „Cameraperson” (2016) znajdziemy tam nazwisko Michela Moore’a czy głośny dokument „Citizenfour” o Edwardzie Snowdenie – Johnson to przede wszystkim uznana operatorka filmowa. Jej nowy autorski projekt, będący niewątpliwie listem miłosnym do odchodzącego ojca i próbą uporania się z własną stratą, imponuje głównie na poziomie oryginalnego konceptu, w mniejszym zaś stopniu jest wyrazem dokumentalnej wrażliwości. Przynajmniej klasycznie rozumianej. Nie przypadkiem na festiwalu Sundance „Dick Johnson nie żyje” zdobył nagrodę za „nowatorstwo w opowiadaniu non-fiction”, po czym trafił do dystrybucji na największej platformie streamingowej, zbiera zewsząd przychylnie recenzje i... chwilami aż nadto czuje się w nim to myślenie Netflixem czy przyszłymi Oscarami.

Reżyserka w podobny sposób traktuje dokumentalną narrację, co fabularyzowane wstawki. Rzadko kiedy pozwala ojcu po prostu być przed obiektywem albo przebić się przez piętrowy scenariusz. Zbyt rzadko otwiera się na nieprzewidywalne i na niewymuszoną intymność. Zanadto swoją opowieść sentymentalizuje. Może jednak mało kto poszukuje dzisiaj w kinie dokumentalnego puryzmu. Zwłaszcza teraz, kiedy realne stało się tak bardzo dotkliwe. O wiele silniejsza, o wiele bardziej naturalna jest potrzeba zwykłego-niezwykłego pocieszenia. W tym akurat wypadku przybiera ono postać brawurowej zabawy w umieranie. ©

DICK JOHNSON NIE ŻYJE (*Dick Johnson Is Dead*) – reż. Kirsten Johnson.
Prod. USA 2020. Dostępny na Netflixie.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Kobieta



Dokumentalny, reż. Yann Arthus-Bertrand, Anastasia Mikova, Francja 2019, Canal+ Dokument, 30 X, 17.15
Dwa tysiące kobiecych

głosów z 50 krajów świata składa się na współczesny obraz „drugiej płci”. W wypowiedziach słysząc i moc, i słabość, wielkie wyczyny i doznawane krzywdy. Ale przede wszystkim różnorodność doświadczeń i poglądów, które zyskują w dokumencie uniwersalny wymiar.

2. Efekt motylka



Dokumentalny, reż. Jarosław Szmidt, Polska 2020, vod.tvp.pl, od 30 X

To film, który wywołuje żywe emocje i zadaje niemal fizyczny ból – a jednocześnie uskrzydla. Bohaterką jest siedmioletnia Zuzia, cierpiąca na pęcherzowe oddzielanie się naskórka. Jedynie kosztowna operacja w USA może poprawić jej stan zdrowia. Reżyser towarzyszy rodzinie w tej podróży, filmując nadzwyczajny heroizm dziewczynki i jej bliskich.

3. Zdrajca



Sensacyjny, reż. Marco Bellocchio, Włochy i inne 2019, vod.pl, Cineman, Player, UPC, Vectra, Orange, Platforma Canal+, Premiera Canal+

Cosę Nostrę i jej niegdysiejszy mīt uosabia tym razem nie monumentalny „ojciec chrzestny”, ale gorliwy funkcjonariusz mafii, Tommaso Buscetta. Wstawił się tym, że poszedł na współpracę z prokuratorem Falconem, pogrążając współtowarzyszy. Bellocchio i świetny aktor Pierfrancesco Favino w przepysznej aurze szekspirowskiej tragedii pokazują jego wzlot i upadek.

4. Twoja twarz



Eksperymentalny, reż. Tsai Ming-liang, Tajwan/Francja 2018, Arte TV

Coś dla wielbicieli filmowego minimalizmu. Tajwański mistrz i japoński kompozytor Ryuichi Sakamoto portretują na ekranie trzynaście postaci – z jednym tylko wyjątkiem (aktor Lee Kang-sheng) anonimowych. Efektem jest poemat złożony z twarzy i słów, spojrzeń i dźwięków, z intymnych wyznań i czystej kontemplacji.

JAN

Klata:

Obleżone pałace Boga



DEPOZYTARIUSZE WŁADZY, RZECZNICY wiary Matki Kościoła Powszechnego – matki, która nie wyklucza – postanowili niepostrzeżenie przykręcić śrubę pod płaszczykiem pandemii, kalkulując cudze ryzyko, ryzyko przestraszonych ludzi, ludzie potencjalnie zakażonych, potencjalnie niosących chorobę swoim bliskim. Z góry wykluczyli opór, licząc na powszechność wizji potencjalnej choroby i śmierci setek tysięcy ludzkich istnień. Czyżby się przeliczyli? Czyżby współcześni uczeni w piśmie czegoś o naturze ludzkiej nie doczytali w złoconych księgach?

Spadkobiercy nędznych rybaków dusz z Galilei pozamykali się w swych posiadłościach przed kobietami, zasłonili

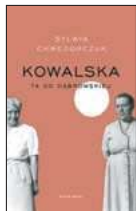
kordonami zbrojnych, pogasili świece, włączyli panoramiczne telewizory i obserwują rozruchy. Hierarchowie – korona stworzenia, książęta Kościoła, arystokraci ducha, depozytariusze najgłębszych prawd wiary, nosiciele arki przymierza, nie przymierzając, elita elit, *crème de la crème* struktury władzy, duchowej oczywiście, gdzieżby tam innej, inna władza tylko ręka rękę myje, jedna ręka błogosławi, druga pałuje. Rozpętali piekło.

I teraz biedni dusz-pasterze patrzą na poruszone kobiety pod bramami, coraz głośniejsze kołaczące do bram posiadłości. Gdzie się dusz-pasterze podzieją, gdy nie pomogą zasięki z radiowozów, nie wytrzyma forsowania elektryczny pastuch, potulne niegdyś stadko wyrwie się na wolność? Wyświechtane formułki przestaną działać po linii najmniejszego oporu, system się zawiesi, imploduje, odsłaniając beczelne kłamstwa i „nie pamiętam”? Zaczną się pytania o sens rezydencji, bogactwa, przywilejów, królowie i książęta staną się nadzy – a to nie będzie przyjemny widok, choć wiekopomny.

Czy wiernym będzie dane? Czy wierne po prostu same sobie otworzą i zaczną zwiedzanie? Zwiedzać pałace Boga – za prawdę, chwalebne to i sprawiedliwe, rzekłby Chrystus, zapewne, zaprawdę rzekłby, gdyby się pod niego gracko nie podszyto. ©

Lektor:

Kobieta z cienia



■ Sylwia Chwederczuk,
**KOWALSKA.
TA OD DĄBROWSKIEJ**
Marginesy,
Warszawa 2020, ss. 368.

TYTUŁ PRZEWROTNY, BO CAŁA książka została napisana jakby przeciw niemu. Wydobywa postać Anny Kowalskiej z cienia jej sławniejszej koleżanki. Rysuje portret mocnej kobiety o skomplikowanym życiu emocjonalnym, u której silny impuls twórczy łączy się z przenikliwym intelektem i samokrytycyzmem. Kowalska czuje się „skazana na pisanie”, równocześnie dostrzega rozdziew między pisarskimi zamiarami a ich realizacją.

Pełnię talentu pokazuje dopiero w późnych opowiadaniach, jednak – jak zauważa prof. Grażyna Borkowska – biografka „każe zobaczyć w niej, także w jej niespełnieniach, osobowość realizującą się w sztuce życia, aktywną, odważną, pragmatyczną i szaloną”. Anna Chrzanowska przychodzi na świat 26 kwietnia 1903 r. we Lwowie. Rodzice są niezamożni, drugim domem dziewczynki staje się mieszkanie babki Francuzki i ciotek, gdzie żyje się

na znacznie wyższym stopniu. Podczas studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza poznaje starszego o dziesięć lat Jerzego Kowalskiego, profesora filologii klasycznej, i wkrótce wychodzi za niego za mąż. Są nietypową parą: ona tęga (złośliwy Stefan Napierski nazwie ją później „bella kamiennia”), on szczupły i drobny. Łączy ich nie tylko uczucie, ale wspólne pasje, podróże, lewicowe poglądy. Tworzą gościnny, pięknie urządzone dom; Maria Kuncewiczowa wspominać będzie jego „dionizyjską atmosferę”. Publikują cztery wspólnie napisane książki. Wojna burzy ten w miarę uładny świat: Lwów trafia pod okupację sowiecką, no i pojawia się Maria Dąbrowska, która wraz ze Stanisławem Stempowskim uciekła z Warszawy. Dąbrowska przeżywa najpierw zauroczenie piękną Stanisławą Blumenfeldową (w 1942 r. zamordują ją

Niemcy), stopniowo jednak zacieśnia się jej znajomość z Kowalską. I zaczyna się związek, który przetrwa do śmierci autorki „Nocy i dni”. Sięgając do dzienników obu pisarek i do nieznanych wcześniej listów Chwederczuk pokazuje, że był on oparty na wzajemnej fascynacji, namiętny, gwałtowny i spełniony także w wymiarze fizycznym. W 1946 r. rodzi się córka Anny i Jerzego (dwa lata później Jerzy umiera), ale temperatura wzajemnych uczuć Kowalskiej i Dąbrowskiej nie słabnie. Sądząc z cytatów, ich korespondencja może stać się jedną z najniezwyklejszych książek o miłości w naszej literaturze. Klimat listów krążących między Wrocławiem, gdzie w 1945 r. osiedli Kowalscy, a Warszawą przypomina chwilami burzę z piorunami. Zapiera dech. ©

PAWEŁ

Bravo:

Pasztet po brukselsku



TRZY. O TYLE PROCENT SPADNIE W TYM roku globalne spożycie mięsa (od wielu lat stale rośnie). Analitycy wiążą to bezpośrednio z zaburzeniami w produkcji wywołanymi pandemią. Pamiętacie przypadki masowych ognisk np. w zakładach

Tonnies w Westfalii? Nieważne, że potem skala problemu okazała się mniejsza, niż głosiły media, łańcuch dostaw się jednak zaciął. Ale to także kwestia percepcji – jednocześnie znacznie podskoczyła sprzedaż wszelkich roślinnych zamienników mięsa. W pierwszej, wiosennej fazie panicznych zakupów na zapas w Ameryce – nawet dwuipółkrotnie.

I ten wzrost trwa do dzisiaj. Także dlatego, że zniechęceni do wyjścia z domu, częściej kupujemy przez internet. To szczególnie łatwe z produktami, które się nie psują. Sam doceniłem dzięki temu, jak łatwo teraz uwolnić się z niewoli Lavazzy i innych gigantów, i ściagam do paczkomatu kawy mniejszych marek (macie kawiarkę stawianą na gaz? Spróbujcie Vergnano Gran Aroma). Ale nie wyobrażam sobie, że bym zamawiał z dostawą świeże mięso, choćby nawet pakowane hiperpróżniowo w kosmiczną nanofolię z cząsteczkami srebra. Nie ten poziom zaufania. Mam powody sądzić, że znani mi rzeźnicy i sprzedawcy wędlin są ponadprzeciętnie często wyborcami Konfederacji, ale i tak nie odstąpię od kontaktu z nimi – a kiedy to niemożliwe z racji siły wyższej, zostaję chwilowo jarosem.

Ale nikt o tym tapnieću rynku nie mógł wiedzieć wiosną zeszłego roku, kiedy Komisja Europejska do pakietu korekt wspólnej polityki rolnej dopisała wyzebraną przez lobby mięsne propozycję, by zakazać używania słów „stek, eskalopka, burger” itp. do nazywania produktów niezawierających mięsa. Wegeburger albo sojowa kiełbaska rzekomo wprowadzają klienta w błąd, budzą nieuprawnione skojarzenia. Takie nazewnictwo jest wręcz, jak napisał nadgorliwy piarowiec branży mięsnej, „aktem kulturowego zawłaszczania” (oj, grubo, w słowniku akademickiej dyskusji to najcięższy możliwy zarzut).

Poprawek Komisja zgłosiła prawie trzysta. Przejrzałem na wrywki tak z setkę. Na oko połowa była sensowna – czy w każdym razie odnosiła się do jakichś aspektów życia za szklaną ścianą biurowców – a druga połowa pozorna. To normalne, każdą bowiem legislację trzeba napchać słowną watą, paragrafami pisanymi dla samego pisania, żeby wyglądało poważniej, dając rację bytu urzędnikom i ich ciężko odchowanym nadgodzinom. Z tego powodu właśnie czasami go-

dzą się oni na propozycje, które na zdrowy rozum podważają w ogóle sens istnienia ich instytucji. Unijne młyny miały powoli, ale jednak jesienią tego roku parlament dostał do przegłosowania pakiet zmian. Tyle że sytuacja się zmieniła i coś, co rok temu mogło się wydawać tylko zabawnym przykładem hiperregulacji, zaczęło w kontekście ogólnej zapaści budzić bardziej ponure, anarchistyczne myśli.

Za sprawą pandemii parlament przestał być co prawda ekologicznym szkodnikiem i hipokrytą, i nie spala już morza ropy na comiesięczne przejazdy z Brukseli do Strasburga. Ale nadal z powodu wysokich cen nieruchomości w belgijskiej stolicy spora jego część rezyduje na Księżycu. Sądząc po zawartości mojej skrzynki mailowej, przez drugą dekadę października posłanki, posłowie, aktywiści nie mieli na głowie innych problemów niż walka o wegeburgera. Jakbyśmy naprawdę nie mieli rozumu i rozeznania w języku, by zrozumieć sens słowa „warzywny”. Zwłaszcza słowo „burger” jest dla polszczyzny (niemczyzny, włoszczyzny itd.) na tyle świeże, że budzone przez nie przyjemne skojarzenia nie są w naszych mózgach tak ściśle powiązane z mięsem, jak np. pocziwe słowo „smalec”, na sam dźwięk którego tyje, a cholesterol mięciutko smaruje mi żyły.

Poprawka przepadła, można odłożyć gazetę, przetrzeć blat i zająć się obiadem. A ten niewczesny epizod urzędniczej nadgorliwości wpisać do kajetu z dowodami, że język stanowi parametr naszej głębokiej ekologii na równi z tlenem, węglem i energią słoneczną. Że oprócz sieci neuronów i połączeń białkowych o egzystencji decyduje gramatyka i semantyka. Zresztą nie trzeba nam tego tłumaczyć w tygodniu, w którym znów widzimy, do jakiego stopnia władza, zdolność tłumaczenia i wzniecania buntu płynie z aktu definicji słów takich jak „człowiek”. Albo z nagiej siły bardzo grubych słów, czasem zapisanych w formie gwiazdek, które, mam wrażenie, definiują nowe pokolenie w naszej polityce. ©P



Ofiarą obrony branży mięsnej przed natarciem wegetarian mogły paść tradycje dotychczasowe rozmaitych zastosowań słowa „kiełbasa” i jemu pokrewnych. Prym dla mnie w tej dziedzinie wiedzie salame al cioccolato znane w północnych Włoszech. Kilka lat temu wspominałem tu o nim, ale w nawiązaniu do dawnych peerelowskich ersatzów, jakimi były bloki czekoladowe (barwione herbatą, wzbogacane mlekiem w proszku). Warto je sobie przypomnieć jako pełnoprawny deser do zjadania np. z jakimś słodkim sosem typu zabaione. Topimy w kąpieli wodnej 2 tabliczki czekolady deserowej, odkładamy do ostudzenia. 150 g miękkiego masła pracownicy ucieramy drewnianą łyżką ze 120 g cukru. Następnie dodajemy po kolei 2 rozkłócone jajka, ciągle mieszając. Kiedy stworzą w miarę jednolitą masę, wlewamy ostudzoną czekoladę i dodajemy łyżkę rumu albo czegoś podobnego. Wsypujemy 250 g drobno pokruszonych herbatników. Masę dzielimy na pół, każdą część zawijamy w papier do pieczenia i rolujemy aż do uzyskania „kiełbaski”, którą porządnie schładzamy, a następnie podajemy w plasterkach.

ZMYŚŁY



*Strony albumu z wyrwanymi fotografiami,
prawdopodobnie Mielno, 1957 r.*

TROSKLIWE ZMYŚLENIA

Jaką wiedzę przekazują porzucone albumy fotograficzne?
Jak można zatroszczyć się o pamięć chwil,
które stanowią właściwą tkankę naszego życia?

MACIEJ TOPOLSKI

DWIEŚCIE KOLOROWYCH FOTOGRAFII AUT: STOJĄ NA PODMIEJSKICH parkingach i nad jeziorami, są prezentowane na wystawach motoryzacyjnych, pędzą po autostradzie. Nowa Gwinea, Anglia, USA, Niemcy, Hiszpania, Polska. Wszystkie te fotografie samochodów – osobowych, sportowych, busów, tirów, kamperów i vanów – umieszczone zostały w oprawionym w bordową imitację skóry amatorskim albumie z lat 80.

Kto jest autorem albumu i jaki zamysł stał za jego stworzeniem? Czy wykonał go starszy pan pozujący z napojami gazo-

wanymi przy czerwonym fiacie? A może jego znajomi przesyłali mu wszystkie zdjęcia – spod Portu Lotniczego im. Maurice’a Bishopa na Grenadzie i z baru nad Morzem Bałtyckim? Nie wiem.

HISTORIA W PYTANIACH Kolekcjonuję amatorskie albumy fotograficzne od kilku lat i odpowiedź „nie wiem” jest jedną z najczęstszych, jakie formułuję w odniesieniu do tej formy wizualnej pamięci. Paradoksalna sytuacja. Albumy powstają do dziś,

nie tylko jako obiekt materialny (niech za przykład posłużą albumy tworzone z okazji ślubu czy pierwszej komunii świętej), ale i wirtualny (znany najlepiej użytkownikom mediów społecznościowych). I jako takie pełnią funkcję przechowalni wspomnień, ale również medium autokreacji. Paradoxs ujawnia się w momencie, w którym album – obiekt przynależący do życia prywatnego, nie publicznego – trafia na targi staroci czy aukcje internetowe. To, co miało być przechowalnią wspomnień, okazuje się świadectwem zapomnienia.

Wszechobecność zdjęć i siła, z jaką tworzą i przekazują znaczenia, może przytłaczać. Fotografie potwierdzają prawdziwość zdarzeń (fakt wykorzystywany w trakcie rozpraw sądowych), służą jako metafora określająca niezawodność pamięci (fotograficzny znaczy tyle, co precyzyjnie odzwierciedlony), myślenie wolne od uprzedzeń (jak obiektywny jest obiektyw?), wreszcie są zdolne zatrzymać czas (wykonanie zdjęcia jest równoznaczne z uwiecznieniem). Wszystko to ukazuje, jak ludzkie poznanie zostało zdominowane przez myślenie wizualne, a więc i jak niezachwiana jest wiara w fotografię jako technologię dostarczającą wiedzę o świecie. Moje „nie wiem” może brzmieć zatem rozczarowująco, ale może być również początkiem troksliwego zmyślenia.

Nie pamiętam, kiedy kupiłem album w czerwonej skórkowej oprawie. Wiem jednak, co mnie poruszyło – ramki wyrysowane sumieniem, niebieskim długopisem od linijki na każdej stronie albumu. Ramki ponumerowane, czasem z datą dzienną, czasem z komentarzami typu „Dwie teściowe” lub „U Ceśków na imieninach”. Łącznie ramek jest 204, a wypełnione są 145 zdjęciami, z których ostatnie przedstawia 11-miesięcznego chłopca. Potem nic, żadnych zdjęć, żadnych komentarzy. 59 pustych ponumerowanych ramek czeka.

Opowieści tworzone za pomocą fotografii umieszczonych w albumach często się urywają. Są zdjęcia, nagle nie ma zdjęć. Połowa stron w albumie czeka na ciąg dalszy. Co się stało? Czy później nic nie było do uwieczniania, nic ważnego do zapisania światłem?

To porzucenie dziwi jeszcze bardziej, kiedy wiem – mówiąc szczerze, jestem prawie pewien – że kronikę prowadził pocziwiec w okularach, typowy urzędnik. On przygotował wszystkie ramki, brał linijkę, stawiał mocno kropki w odpowiednich miejscach i kreślił równiutkie linie. Wyobrażam go sobie, jak siedzi przy małym biurku, wieczorem, w świetle lampki i wkleja jedno zdjęcie po drugim. Rozpoznaje go po zdję-

ciach. Wystarczy odpowiednio długo patrzeć, zobaczyć, jak i gdzie chcą być fotografowani, jak układają swoje ciało, co robią z dłońmi, jak ich mięśnie pracują pod skórą. Sporo w tym z nauki patrzenia, znacznie więcej – zmyślenia.

On (beziemienny) i ona (Hania) – poniżej – biorą ślub cywilny 30 kwietnia 1964 r. Na pierwszych trzech fotografiach stoją na schodach, na tle wysokich drzwi, uśmiechają się. Żadnych gości, żadnej fety. Po ślubie – kolejne 11 fotografii – idą na obiad do jego matki, piją szampana, do wazonu włożyli bukiet goździków przyozdobionych asparagusem. Hania, ubrana w kostium, wygląda na zmęczoną. Gdyby nie podpisy pod ramkami, nie wiedziałbym, że szampan jest z 1927 r., że jego matka to skarb porównywalny do żony, że obiad był właśnie po ślubie. A poza tym – same pytania.

Może Hania wcale nie była zmęczona, tylko czuła się źle w towarzystwie teściowej? Czy zdjęcia, na których pozują we troje, wykonywał niewidoczny teść? Jakiego koloru były hiacyncy w wazonie przestawionym ze stołu na komodę? Jak pachniały? Dlaczego nowożeńcy nie zaprosili więcej gości? Jaka jest ich historia? I czy zależna jest od odpowiedzi na te wszystkie pytania? Nie. Słowo „historia” wywodzi się od starogreckiego

czasownika oznaczającego „pytać”, „dowadywać się”. Pytając o rzeczy, jest się historykiem. Kiedy pyta się o konkretną rzecz, pozwala się jej przetrwać.

Okularnik z pewnością znał odpowiedzi na wszystkie te pytania. Ale w momencie, w którym album przestał być jego własnością – przechodził z rąk do rąk, trafiał na jeden i drugi rynek staroci, żeby wreszcie dotrzeć do mnie – także odpowiedzi przestały należeć do niego. Nie może im zaprzeczyć, nie może ich potwierdzić. To nie jest przypadek odosobniony.

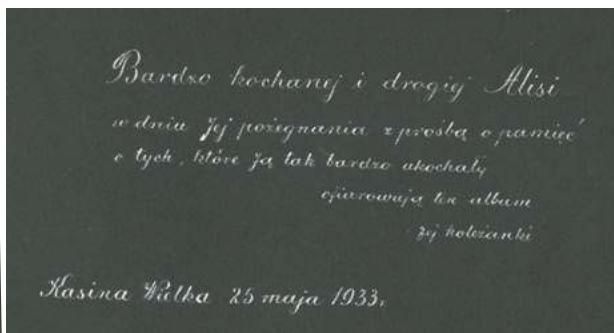
Fotografie amatorskie – choć teoretycy raczej skłonni są oddzielać amatorów, czyli „tych, którzy kochają” (łac. *amat*), od użytkowników – są podatne na zmyślenie, dlatego że nie posiadają kontekstu emocjonalnego, intelektualnego lub estetycznego, które by je tłumaczył. I bronił. Na podstawie tych fotografii jestem w stanie wymyślić przynajmniej kilka wersji historii dotyczących ich ślubu i obiadu z teściową.

BEZ ODPOWIEDZI Opowieść opiera się zazwyczaj na rozsianych po albumach informacjach, nie tylko tych, które odnajduje się w fotografiach, ale też w komentarzach otaczających zdjęcia, na rewersach, w przedmiotach dołączanych do albumu (monety, bilety, zasuszone kwiaty, szpilki, wstążki) czy w innych rodzajach obrazów (wycinki gazet, pocztówki, rysunki).





Dziewczęta na zielonej szkole, Kasina Wielka, 1933 r.



→ Niech za przykład posłuży album z brązową okładką z załedwie 20 zdjęciami i trzema rysunkami. Miejscowość Kasina Wielka położona jest 50 kilometrów na południe od Krakowa. To tam, 25 maja 1933 r., 35 dziewcząt zapisuje w albumie swoje imiona i nazwiska oraz dedykację: „Bardzo kochanej i drogiej Alisi w dniu Jej pożegnania z prośbą o pamięć o tych, które ją tak bardzo ukochały // ofiarowują ten album // Jej koleżanki” (powyżej po prawej).

Od czterech lat rodzina Szyborskich mieszkała w Krakowie, gdzie Wisława – choć tak naprawdę Maria, czyli Marychna, Ichna – uczęszczała do Szkoły Powszechnej im. Józefa Joteyko przy ulicy Podwale 6. Szkoła miała posiadłość w Kasinie Wielkiej, gdzie uczennice wyjeżdżały na kilka tygodni w roku. W albumie fotograficznym Ichna Szyborska sporządziła rysunek przedstawiający bawiące się pośród traw dziewczęta w różnokolorowych sukienkach.

Gdyby nie fakt, że ponad 60 lat później Szyborska otrzymała Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, album byłby zwykłą pamiątką ze szkoły letniej, z upamiętniającymi wspólne gry i posiłki zdjęciami, po których można się jedynie prześlizgnąć. Bo kim była Zosia Gedliczkówna, która wykonała w albumie rysunek klasy? Która z nich jest Wandą Paporzówną? Co stało się z Alisją, której album był dedykowany? Nie wiem, czy w takich momentach historia milczy, czy raczej zamienia się w jeden wielki pyłajnik.

Albo zielony, pięknie zachowany, niewielkich rozmiarów album zawierający 30 fotografii psa rasy foksterier. W trawach,

na ławce, na poduszce, w parku, z jakimś nakrapianym pudlem. Album otwiera fotografia pocztówkowa, która została wysłana z Berlina z dzielnicy Charlottenburg do uzdrowiska Bad Pyrmont na północy Niemiec. Pocztówkę, jak się okazuje, napisał sam foksterier, a informuje Hildegardę, prawdopodobnie jego wcześniejszą właścicielkę, że oto wiele otrzymał już od swoich nowych państw. Obrożę, smycz i koszyk, taki przymocowywany do roweru, więc może teraz podróżować. Ostatnio – czytamy dalej – foksterier był na wycieczce nad wodą, ludzie kąpali się mimo niskiej temperatury. Sam bardzo z początku się przestraszył, to był jego pierwszy raz na plaży. I tutaj „psie” pismo robi się nieczytelne, z podpisu potrafię odczytać jeszcze litery „r”, „c” i „k”. Zdjęcie pocztówkowe ma ślad po pinezce, musiała więc Hildegarda (wyżej) patrzeć na nie często w Bad Pyrmont. Patrzeć, zdrowieć i tęsknić?

Każdy album jest odrębną opowieścią. Począwszy od okładki, informacji o producencie, miejscu zakupu, przez wyrwane fotografie i ślady użytkowania, skończywszy na wrznięciach, jakie towarzyszą pierwszemu oglądaniu. Opowieścią rozproszoną, składaną ze szczegółów, często kapryśną i nielo-

Łodzie w przystani, Jaffa, 1935 r.

■ Wszystkie reprodukcje w wielkości naturalnej.

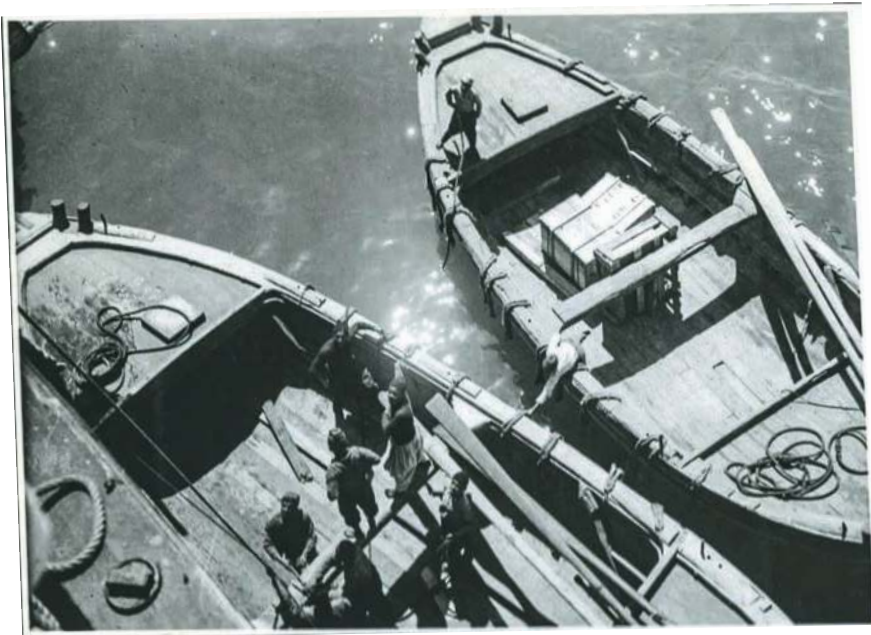
giczną, jak wszystko, co nie zostało zapisane na wielkich kartach historii. Opowieścią tworzoną w miejscach, gdzie fotografia traci swoją zdolność do przekazywania wiedzy o świecie, zaświadczenia o prawdziwości zdarzeń czy zachowywania wspomnień. Mówiąc inaczej: gdzie fotografia traci swoją siłę. I domaga się troskliwego podejścia. Czujnego i czułego.

FATUM AMATORA W XX wieku powstał termin „fotografia rodzinna” – przestała ona być, jak twierdzi historyk fotografii, kurator i konserwator w Centre Pompidou w Paryżu Clément Chéroux, „przywilejem wyłącznie ojca, głowy rodziny”, zajęli się nią wszyscy, również kobiety i dzieci. Wtedy album stał się przechowalnią zdjęć wykonywanych przez amatorów, zdjęć uderzających swoją schematycznością. Chéroux dodaje: „Zawsze widnieją na nich dzieci, krewni, przyjaciele, zwierzęta domowe, codzienne zajęcia, zakochani, ceremonie, święta, miejsca odpoczynku i turystyka. W sumie dość wąski katalog tematyczny osób, sytuacji i przedmiotów, który pojawia się na przełomie wieków i trwa do dzisiaj”.

Zabawne i zastanawiające jest, że Chéroux używa w odniesieniu do fotografii rodzinnej słowa „zawsze” – tak jakby ta technologia, uznawana za jedną z najbardziej zmiennych, była jednocześnie podległa w tym wydaniu przeznaczeniu, żeby nie powiedzieć: tematycznemu fatum. Co więcej, to „zawsze” niweluje wielką różnorodność i rolę fotografii amatorskiej, która dzisiaj – zwana już *social photo*, a więc fotografią społecznościową – stanowi istotne dla milionów ludzi na całym świecie medium komunikacyjne. Oczywiście, większość albumów, które kupuje, zawiera zdjęcia podlegające opisanemu schematowi, jednak właśnie sposoby, w jaki autorzy fotografii wyłamują się ze schematu, zmieniają go czy wypełniają, są najbardziej interesujące.

Tak jest w albumie dwustu zdjęć skupionych na życiu zakonnic Heleny we Frankfurcie nad Odrą, zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Album rozpoczyna się od fotografii ołtarzyka z Matką Boską ze sporych rozmiarów napisem AVE MARIA, potem pojawia się zaskakująco dużo zdjęć kobiet. Z rowerami, na dróźnie, nad rzeką, z konewką, z dziećmi, pośród kwiatów, drzew, z piłką, z wazonem, z trzymaną jak floret gromnicą. Zdjęć mężczyzn jest mało. Naburmuszony i gruby ksiądz w korytarzu, martwy ksiądz w trumnie. Gdzieś Chrystus Pan ukazujący swoje jaśniejsze serce, gdzieś kilku starszych mężczyzn w piżamach szpitalnych.

Zastanawiająca jest różnica w przedstawianiu kobiet i mężczyzn; może ona dużo znaczyć, bardzo dużo. Kobiety przedstawiane są w parach i grupowo, spędzają czas razem. Mężczyźni natomiast jawią się jako odlegli, samotni, chorzy lub nieżywi. Ale co przychodzi mi na myśl, związane jest ze szczególną wspólnotą kobiet, do której Helena należała, z jej życiem zakonnym. Przypomina ono funkcjonowanie na wyspie, na któ-



rej mężczyzn po prostu nie ma. Ostatnia fotografia w albumie ukazuje dwie kobiety stojące na trawniku, obejmujące się w pasie i patrzące na siebie uważnie, z uśmiechem. Przed nimi, u ich stóp, stoi skrzat ogrodowy, ma idiotyczną czapkę i zamknięte oczy.

Albo album, na którego okładce przyklejono plaster z napisem „Bliski Wschód-Syria-Turcja”. Zawiera 69 zdjęć z podróży, która rozpoczęła się 9 kwietnia, a zakończyła 14 maja 1935 r. Trasa przebiegała następująco: Jaffa, Nazaret, Betlejem, Jerycho, Tyberiada, Damaszek, Bejrut, Sydon, Pireus, Ateny. Podróżujący to prawdopodobnie para (małżeństwo?) zamożnych intelektualistów lwowskich, widać ich na dwóch zdjęciach: w palącym słońcu w Jerycho, przy wejściu do Fontanny Eliasza, oraz w Atenach, na poczęstunku wśród tamtejszej Polonii.

Zdjęcia są świetnie skadrowane, z wycuciem rozłożone na stronie, podpisane drobnym, wyraźnym pismem, kilka z nich jest wyjątkowych, jak to w pobliżu Góry Oliwnej z wielbłądem czy to z mężczyznami na szerokich łodziach w Jaffie. Jest jednak jedno genialne zdjęcie, a zostało wykonane z okna hotelu w Jerozolimie, skąd widać procesję w trakcie trwającego siedem dni festiwalu religijnego Nabi Musa (Proroka Mojżesza). Nie widać tego na czarno-białej fotografii, ale w czasie festiwalu *fellaheen* (chłopi z wiosek) zakładali nowe ubrania w cudownych barwach. Jasnoróżowe, niebieskie, fioletowe kurtki z aksamitu. Żółte suknie z haftami w kolorze czerwieni oraz zieleni, na głowach wszystkich – białe welony.

Ursula (nazwisko jest nieczytelne) urodziła się 6 lipca 1919 r. Pierwsze zdjęcia w jej albumie pochodzą z nadmorskiej miejscowości Heringsdorf: Ursula w białym kostiumiku na plaży. Cztery lata później pojawia się z bratem w zakładzie fotograficznym Fritza Göbela. W roku 1927 roześmiana „mit Puppe Martin”, w roku 1930 w ogrodzie „mit Puppe Christel” (na następnej stronie). 14 listopada 1935 r. spaceruje po Berlinie. W 1940 r. jest w Szczecinie w siedzibie Frauenschaft, niemieckiej organizacji kobiet ściśle związanej z partią nazistowską.

20 sierpnia 1942 r. bierze ślub. 23-letnia Ursula wychodzi za mąż za oficera marynarki III Rzeszy Hertwiga, przystojnego, ➔

→ dużo starszego mężczyznę. Dalej przedstawiona jest podróż po austriackich kąpieliskach: Bad Hall, Linz, Steyr i Kremsmünster. 16 kwietnia 1943 r. oboje spacerują nieopodal zamku Feyregg. Hertwig ubrany jest w biały mundur. 1 maja 1943 r. – ostatnie zdjęcia, Ursula jest we Frauendorf, dzielnicy Szczecina, siedzi przy oknie. Za 12 dni na Frauendorf spadną alianckie bomby. Wszystko obróci się w ruinę.

Można uznać, że zdjęcia zachowane w tych albumach składają się na schematyczne opowieści. Codziennosc życia zakonnego, wycieczka lwowskiej inteligencji i życie jakiejś dziewczyny, która poślubiła żołnierza. Nie różnią się być może od milionów innych opowieści o codzienności, wycieczkach i biografiach młodych kobiet. Zarazem jednak zmuszają do postawienia istotnych pytań: jaką wiedzę przekazują porzucone albumy fotograficzne? Jak trwała jest zapisana w nich pamięć? I jak można zatroszczyć się o pamięć chwil, które – choć może nudne, powtarzalne i schematyczne – stanowią właściwą tkankę życia?

Zadawanie pytań takim albumom pozwala przetrwać zawartą w nich historię. Bardzo łatwo jest uznać je za bezwartościowe, jeszcze łatwiej wyśmiać ludzi, których emocje i relacje opowiadają. Wniknięcie w opowieści tworzone za pomocą amatorskich albumów fotograficznych, podjęcie ich na nowo i rozwinięcie – być może w sprzeczności z prawdą – domaga się szczególnej troski. Pozwala zatrzymać proces ich zapominania.

© MACIEJ TOPOLSKI

Album „Dla kochanej żony Eliesabeth na pamiątkę dnia naszego ślubu dnia 6 września 1952 roku”.

■ Wszystkie reprodukcje pochodzą z archiwum autora.



im Bollinkener Garten mit Puppe Chris

1930





„TP” 41/2020

Kler i militarne pokusy

Czuję się sprowokowana do reakcji tekstem Dariusza Kosińskiego „Sny o potędze w sadzawce”. Instalacja wzbudziła we mnie mieszane uczucia – dla mnie nie tyle tryumfalistyczna, co raczej przemocowa. Papież, mocarz stający przeciw komuś/czemuś z głazem w rękach, kłóci się z tym, jak postrzegam JP2 i chrześcijaństwo. Nie potrafię w Janie Pawle II zobaczyć kogoś, kto jest tak absolutnie przekonany o własnej nieskazitelności i świętości, że odważyłby się rzucić w kogokolwiek nawet kamykiem. Widzę natomiast papieskie przylgnięcie do Chrystusa, który w dziewiątej godzinie dnia nie uległ pokusie, aby okazać swoją władzę nad światem. Nie zszedł z krzyża, aby udowodnić bluźniaczom, że potrafi sam siebie wybawić. Niedawno usłyszałam podczas kazania, że teraz żołnierze próbują mówić generałom, co ci powinni robić. Sprzeciw, jaki te słowa we mnie obudziły, dotyczył m.in. retoryki militarnej, występującej ostatnio *en masse* w wypowiedziach zarówno kapłanów, jak i świeckich w przestrzeni publicznej. Nie mogę się zgodzić, by język walki i szukania wrogów był językiem Chrystusowego Kościoła. Jako uczniowie Mistrza mamy być znakiem, któremu sprzeciwić się będą ze względu na Niego, a nie tymi, którzy walczą.

Z militarnymi pokusami Kościół nie poradzi sobie tak długo, póki męski świat kleru będzie „nieprzemakalny” na bardziej kobiecy (czytaj: ewangeliczny). Czym innym jest radykalizm życia według Ewangelii, a czym innym używanie Ewangelii jako bicia. Ta pierwsza postawa wymaga męstwa, hartu ducha i samozaparcia, jakich życzyć każdemu przyznającemu się do Chrystusa. Sobie w pierwszej kolejności.

JADWIGA BESTER

„TP” 42/2020

Moc kobiet

O Biblii w „Tygodniku” pisać będzie kobieta, cieszy się siostra Anna Bodzińska w tekście Zuzanny Radzik „Opowiadać w Polsce o judaizmie”. Rabiną, Małgorzatą Kordowicz, mówi i pisze o judaizmie od lat, a dziś wystarczy sięgnąć do jej pierwszego tekstu w „TP”, by się przekonać, że jest to głos mocny i odnoszący się do spraw ważnych i aktualnych. Zuzanna Radzik umieszcza Rabinę w nurcie judaizmu konserwatywnego, co w tym przypadku nadaje temu określeniu zupełnie inny niż potoczny wymiar. „Ewidentną niebinarność skrywa też werset z Księgi Liczb (zob. 5, 1-3) – wyrażenie »od mężczyzny do kobiety« oznacza spektrum. Różnorodność jest wartością – Talmud głosi chwałę Bożą, przeciwstawiając mincerza, bijącego identyczne monety ze sztanicy, Najwyższemu, który z matrycy (patrycy?) Adama tworzy różniących się od siebie ludzi” – czytamy. Tu konserwatywne spojrzenie jest spojrzeniem otwartym – na prawdę! Też taką, że

„różność ludzi, którzy nas otaczają, wielokrotnie Bożą obecność wśród nas”. Cieszę się, że Małgorzata Kordowicz została stałą felietonistką. Kobiety mają mocne wejścia na łamy „TP”! Cóż, „Tygodnik” nigdy nie przestaje zaskakiwać. W tym wydaniu i Rabiną, i rozmową – tak poprowadzoną rozmową! – Michała Okońskiego z Karoliną Hamer i Michałem Łuczewskim.

JOANNA RÓŻGA

Mój tydzień z „Tygodnikiem”

Jesteście moim ukochanym czasopismem, w którym odnajduję swój Kościół. Przynosicie mi dobre emocje oraz wiedzę na tematy, którym coraz trudniej przebić się w czasach natłoku treści miażdżących. Z żalem muszę przyznać, że jako mama dwójki dzieci nie mam wystarczająco dużo czasu, by móc zawsze czytać cały numer „Tygodnika”. Ale teksty, które zdołam przeczytać, pozostawiają zawsze refleksję. Ostatnio duże wrażenie zrobił na mnie artykuł Józefa Majewskiego „Rozstania z doktryną”, m.in. na temat stosunku Kościoła do instytucji niewolnictwa. Z dużą uwagą przeczytałam „Sny o potędze w sadzawce” Dariusza Kosiewskiego (sztuką zajmuję się zawodo). Wiele radości mnie i mojemu mężowi dostarcza zawsze Stanisław Mancewicz. Bardzo lubię niesamowicie trafne uwagi – nie tylko te kulinarne – Pawła Bravo. Informacja o rychłym powrocie na łamy Andrzeja Stasiuka już mnie uspokoiła. Z wielką radością powitałam też nową felietonistkę – Dorotę Masłowską.

WERONIKA

H. BARTOSZEWSKA-BUTRYN

PROŚBA O POMOC

Nasz synek Hubert urodził się w lipcu 2019 r. Jego organizm od początku był obciążony ciężkimi wadami: przetoką przełykowo-tchawiczą, która została chirurgicznie zamknięta, rozmiękaniem tchawicy, niedokrwiistością. Hubert nie ma kości promieniowej w lewej ręce i kciuków u obydwu dłoni. Zмага się też z trwałym przykurczem dwóch środkowych palców lewej dłoni. Pierwsze sześć tygodni życia w szpitalu walczył o każdy dzień. Teraz walczymy o sprawność. Hubert jest wesołym, energicznym dzieckiem, któremu ciężko usiedzieć. Do pełni szczęścia brakuje mu jedynie dwóch sprawnych rączek. Po długich poszukiwaniach i konsultacjach udało nam się trafić do doktora Paleya z Paley European Institute. Dzięki dwóm kompleksowym zabiegom jest możliwe, by zagwarantować naszemu dziecku sprawne i prawidłowo ukształtowane dłonie i przedramię. Koszt tych zabiegów jest jednak ogromny. Sami nie jesteśmy w stanie zapewnić Hubertowi leczenia, dlatego zwracamy się do Was. Operacja została wyceniona na 662 tys. zł. Dzięki hojności i pomocy wielu osób udało się zebrać zaliczkę – 132 tys. Spróbujemy zrobić wszystko, by Hubercik mógł przybić piątkę już w 2021 roku. Wpłaty prosimy kierować na konto: **Fundacja AVALON – Bezpośrednia Pomoc Niepełnosprawnym** 62 1600 1286 0003 0031 8642 6001, z dopiskiem „Nowik 12112”.

KARINA I PATRYCJUSZ

NOWIK, KRAKÓW

STANISŁAW

Mancewicz:

O miastach



PRZEZ WIELE LAT LUDZIE, Z KTÓRYMI OMAWIALIŚMY na bieżąco tutejszość, znajdowali zawsze nieco przyjemności w szyderczym prychnaniu bądź znaczącym pukaniu się w czoło, gdyśmy oto, będąc w stosownym nastroju, wyświetlali im czarne,

krajowe scenariusze na przyszłość.

Były to wizje zawsze podobne, a oparte na niezliczonych kontaktach z masami. Zważyć należy, że kontakty takie są możliwe w ramach wykonywania zaledwie kilku zawodów: zduna, lekarza rodzinnego bądź dziennikarza mediów lokalnych, którym się ongiś bywało. Uprawianie dziennikarstwa lokalnego ma różne i poważne wady, ale zaletą jest – za przeproszeniem – pełen dotyk i brak filtrów w obcowaniu z rzeczywistością.

Większość naszych opowieści, które urodziły się w trakcie czynności służbowych, było naonczas brane za zmyślenie, a już te o bliźnich upierających się przy placowatości planety Ziemia uważano za bujdy szczególnie prymitywne, biorące się z lenistwa bądź to z szukania arcyłatawego poklasku u dziewcząt. Otóż – to wyznanie jest szalenie osobiste – jeśli idzie o staranie, o skupienie, o sumienie i o zawodową etykę, to rola narratora była dla nas w życiu najważniejsza. Każdy, kto choć przez chwilę rozumiał i uprawiał profesjonalnie to zajęcie, wie, że etos narratora ma swój śmiertelnie surowy regulamin wykluczający bełkocik, brak kultury języka, nieinteligentne zmyślenia, rozwlekłość i – rzecz jasna – nieudolne konstrukcje.

Narrator, powiadamy to tutaj ze śmiertelną powagą, to zawód bardzo trudny, wymagający rozlicznych i błyskawicznych decyzji. Konieczny jest zaiste małpi refleks w operowaniu skrzynią biegów na poziomie, na którym beznadziejny jest

nawet – dajmy na to, ale bez urazy – Robert Kubica. Lewarek w rękach narratora jest narzędziem strasznym i kapitalnym. Nie da się więc ukryć, że rzetelne i etyczne opowiadanie o ludziach mających zasadnicze, otwarcie wyrażane, wątpliwości na temat miejsca swego urodzenia, że owo na pewno nie znajduje się w żadnym punkcie na powierzchni kuli, że jest to po prostu niemożliwe z powodów fizycznego odczuwania i słusznym wrażeń optycznych, to zadanie bardzo trudne i ryzykowne. Trzeba się było jakże często zderzać z powątpiewaniem oświeconych słuchaczy. Owi bodaj w szóstej klasie szkoły podstawowej zostali odpytani z budowy Układu Słonecznego i dostali wtedy przynajmniej piątki, co zresztą dziś nic nie znaczy. Została wtedy, dawno temu, za strasznego komucha, zbadana także ich elementarna wiedza na tematy przyrodnicze, a to, jak rozmnażają się ludzie, owady, rośliny i bakterie. Wtedy to, będąc dziećmi, potrafili bez namysłu i poczucia obrazy powiedzieć, czymże jest pręcik albo i słupek. Niestety – to wtór – uwolnienie się z dybów szkolnych oznacza niemal zawsze odjazd ku szokującym zgąbczeniom istoty szarej.

No więc ci właśnie prymusi powiadali nam przez całe lata, a były to – nawiasem – opowieści ogromnie felerne pod względem narracyjnym, że snując pogwarke o płaskoziemcach polskich nie tylko brniemy w narrację nieetyczne, klasowe, poniżające, ale też, że nie rozumiemy rudymentów transformacji. Czyśmy przystawali z ludźmi lewicy, pseudolewicy, prawicy, pseudoprawicy bądź to z osobnikami konserwatywnymi albo krępująco niekonserwatywnymi, tylekroć słyszeliśmy na końcu piosnkę tę samą – że modernizacja kraju i ludu jest zdumiewająca i nie ma co powątpiewać w jego zupełnie niezwykłą miłość do nowoczesności i pragnienie oświecenia.

Te przekonania i pewności gasły z latami. Ostatnimi czasy nikt nam się już nie sprzeciwia. Wszyscy, gdy mówimy, patrzą gdzieś w bok, a najsłabsi zatykają sobie piąstkami uszka, gdy oto podnosimy nasz brudny, krogulczy pałuch i powiadamy, jak zawsze, z diabelskim i skrzeczącym uśmieszkiem, że jakkolwiek przez lata nas mamiono Japonią, Szwajcarią czy Bawarią, jakkolwiek obiecywano nam nawet Budapeszt, to zawsze tak naprawdę chodziło o Teheran. Teheran będziemy mieć w Warszawie. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



MISTRZ REPORTAŻU

O ŚWIECIE,
KTÓRY ZNÓW PŁONIE

ZAMÓW Z RABATEM -35%!

Wojciech Jagielski opowiada o świecie, który zmienia się na naszych oczach. Punkty zapalne XXI wieku, bunt i światowe skandale składają się na barwny obraz najnowszej rzeczywistości.

Strona świata to zbiór najaktualniejszych i najciekawszych tekstów Wojciecha Jagielskiego z ostatnich lat publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Zaktualizowane, ukazują świat, który znów stanął w płomieniach.

Barwna i wciągająca opowieść o Bliskim Wschodzie, Afryce, Indiach i krajach Kaukazu; opowieść o miejscowych władcach i przewrotach wywierających wpływ na cały świat; opowieść o skandalach i konfliktach, o których dopiero będzie głośno...

Mistrz reportażu o świecie, który znów płonie.

Premiera: 30 września 2020 r.



KOD RABATOWY W KSIĘGARNI
stronaswiata35

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

znak

TYGODNIK
POWSZECHNY

S-Biznes internet symetryczny dla firm



➔ s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps



S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na ➔ s-net.pl